

1445

POGRANICZE
NADDNIEPRZAŃSKIE.

S Z K I C E
SPOŁECZNOŚCI UKRAIŃSKIEJ W WIEKU XVIII,

PRZEZ

Antoniego Nawasielskiego.

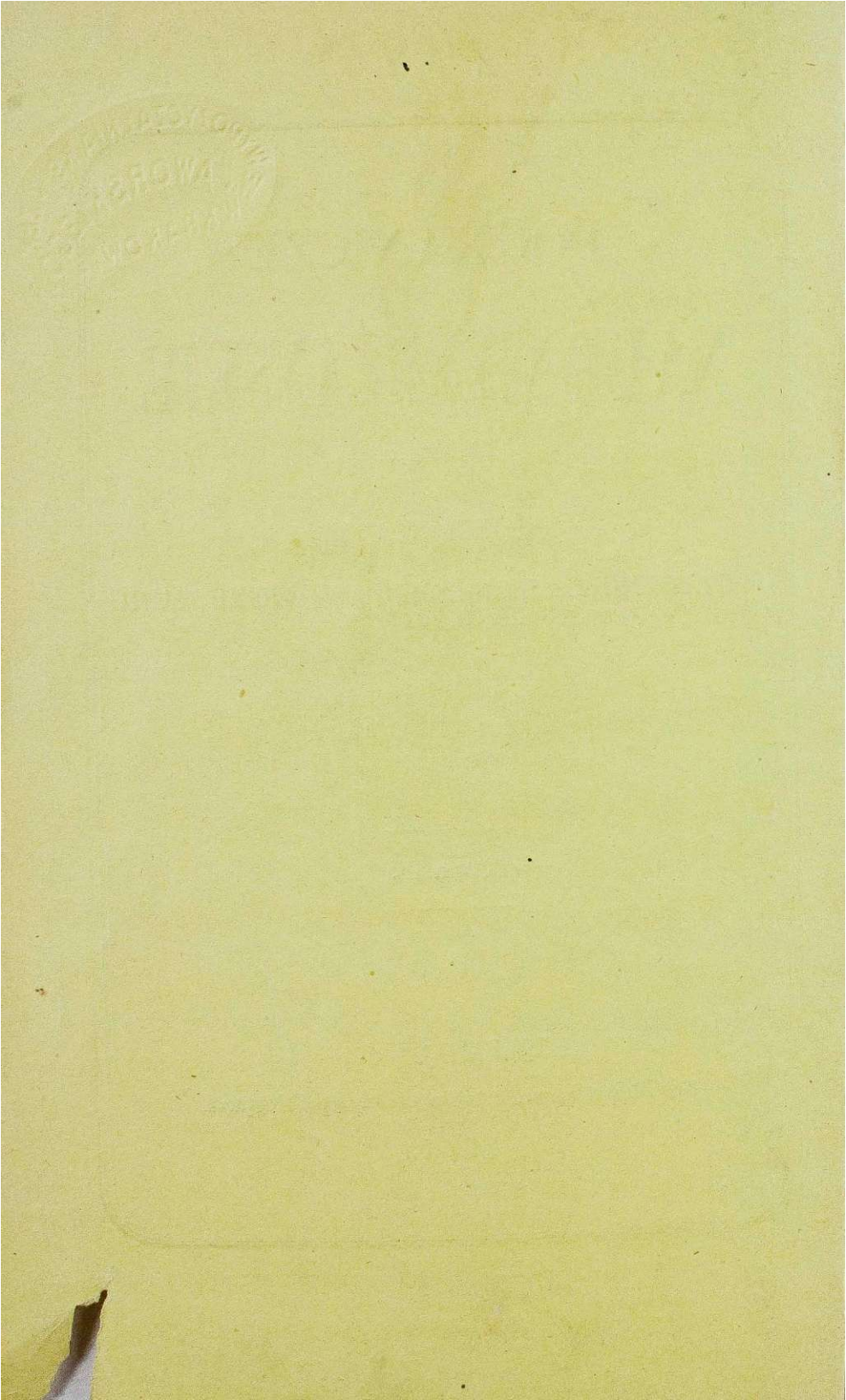
Tom II.

K I J Ó W.

Nakładem **Leona Idzikowskiego** Księgarza.

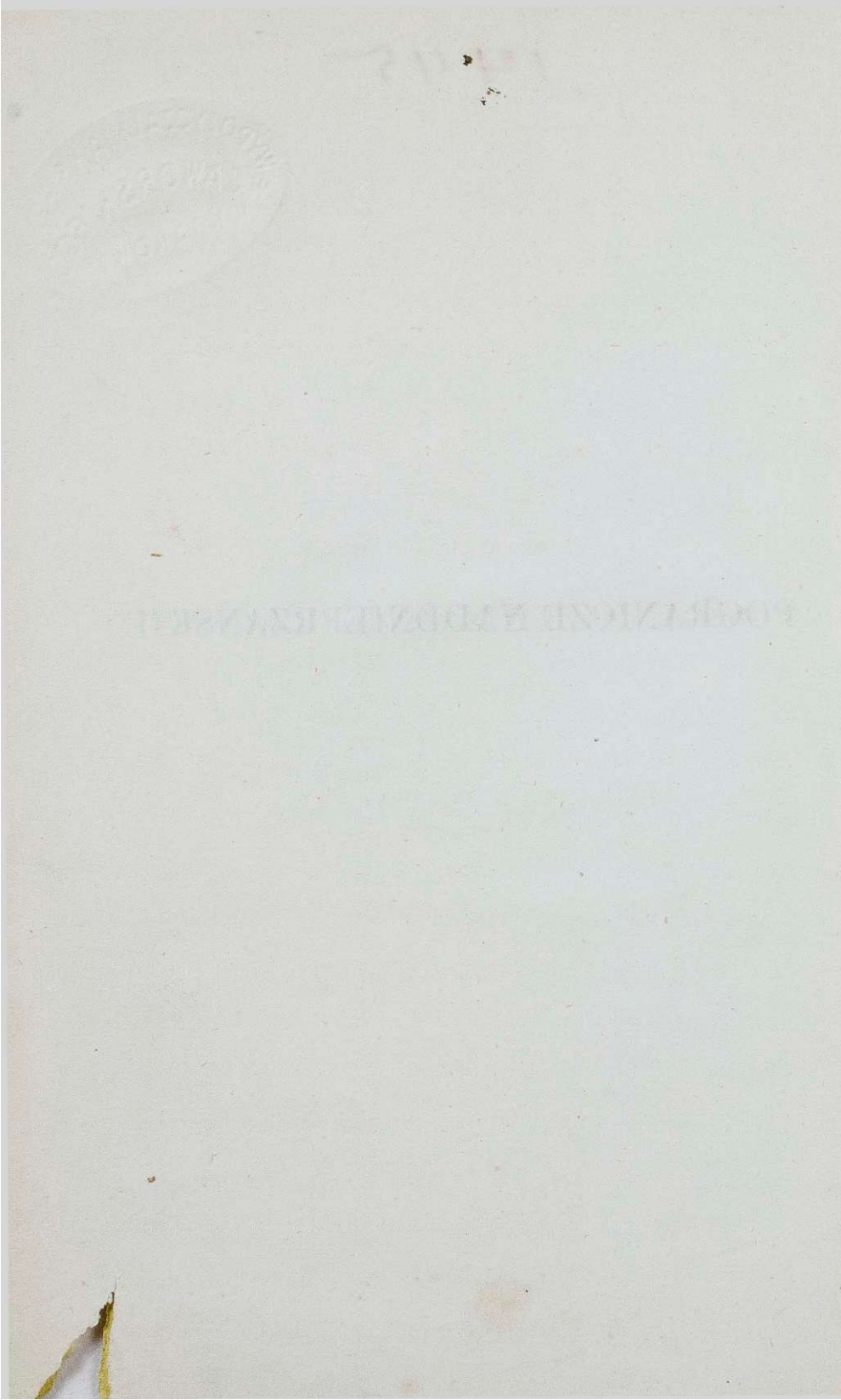
1863.

LEOPOLD SWIDERSKI
Adwokat Przysięgły
W WARSZAWIE
Kapucyńska 8.



|U•|?

POGRANICZE NADDNIEPRZAŃSKIE.



POGRANICZE
NADDNIEPRZAŃSKIE.

S Z K I C E
SPOŁECZNOŚCI UKRAIŃSKIEJ W WIEKU XVIII,

T o m II.

K I J Ó W .

Nakładem **Leona** Księgarza.

1863,

C. D.
- POGRANICIE -
№ 6595 ✓

Wolno drukować.—Kijów, 1862 r. Sierpnia 26 dnia.

Drukarni Gazety Polskiej, w Warszawie.

U

xv m.

Początek powieści naszej miał za miejsce działania swego brzegi Irpienia, więc przestrzeń leśną, ludniejszą, przypierającą do stepów Ukrainy; teraz przenosząc się z działaniem powieści naszej, po nad brzegi Rosi i Taśminy, nie od rzeczy zapewne będzie dać tu czytelnikowi naszemu pewną ogólną historią okolicy tej w wieku XVIII.

W dziejach Ukrainy najważniejszą epoką jest pojawienie się Chmielnickiego Bohdana; zemsta, jaka z osobistej krzywdy ku Czaplńskiemu podstarościeму czehryńskiemu, zapaliła się w sercu jego, przeszła następnie w nienawiść ku Polakom. Żeby ją nasycić, postanowił podburzyć nienawiść ludu Ruskiego ku Polakom; począł mówić przed nim o swobodzie osobliwszej, wystawiać ucisk wiary. Z początku i szlachta prawosławna i lud około roli chodzący, brzydzili się tą wojną, od Iiozactwa i hołoty wywołaną przeciw Rzeczypospolitej. Brzeg prawy Dniepru, więcej niż brzeg lewy był teatrem tej wojny krwawej a długiej i upornej; następstwem tego było to, że część ta Ukrainy całkiem prawie stała się bezludną: nietylko ludność padła na wojnie, ale jeszcze oprócz tego wielka jej część albo wyniosła się na

Wołyń, Polesie i Litwę, albo padła w krwawych potyczkach. Wielu z tej szlachty ruskiej, za której przywileje obstawiał z mieczem w ręku Chmielnicki, tułała się zdała od rodzinnego gniazda; a Jerlicz autor Kroniczki, przechowywał się w murach Ławry kijowskiej. Nareszcie po poniesionej klęsce przez Chmielnickiego, wielu zamieszanych w tej wojnie musiało się wydalić ze stron rodzinnych; mnóstwo przeniosło się na lewy brzeg Dniepru, jak wielu w czasie wojny samej, na tamtej stronie rzeki szukało dla siebie spokojniejszego kąta. Z tych przesiedleń powstały slobody Sumskie, Achtyrskie i Ostrogożskie, obejmujące dziś gubernię charkowską, do naszych jeszcze czasów noszącą także nazwę Słobodzko-Ukraińskiej. Kiedy zaś pod patronatem cara, brzeg lewy Dniepru uformował nową hetmańszczyznę, tu schroniły się pułki kozackie niechętne Polsce; tu Samojłowicz hetman małorossyjski, po zburzeniu Czehryna, a Skoropadzki, drugi hetman, wracając z po nad brzegów Prutu, przesiedlili prawie wszystkich mieszkańców brzegu prawego, z całym ich dobytkiem; nawet rozbierano i przewożono na wozach cerkwie wsi opuszczonych i odbudowywano je na brzegu przeciwnym Dniepru. Traktat Andruszowski dozwolił przenosić się każdemu, ktoby miał chęć do tego; dwaj hetmani zachęcali do tego, jak to widzieliśmy tutaj. Uważano, że lepiej byłoby dla obudwóch krajów, aby na granicy część Ukrainy pozostała pustą; zamiast więc pozostawienia pustką brzegu lewego, wołano spustoszyć brzeg prawy. Lud dotąd jeszcze pamięta tę epokę kraju; nieraz on wspominając dzieje dawne, mówi: „to było jeszcze do czasu przepędzenia ludu' albo „po przepędzeniu go" (do zhonu). Dumy ukraińskie cały ten okres zwą czasem *ruiny*.

Ale nie mogło długo tak pozostać; ten kraj śliczny a żyzny, nie mógł zostać pustym. Zaledwo wojna się skończyła,

zaledwo zagony Samojłowicza i Skoropadzkiego przeszły: na zgliszcza stare, do których przylgnęło tyle krwi męczeńskiej, tyle łez i wspomnień przeszłości, przyciągnęli z obczyzny tułacze nędzni, przyszli obcy. Zawrzało na nowo życie, za wodzą dawnych rodów ukraińskiej szlachty; ci co mieli byli jakieśkolwiek prawa w tym kraju, starostwa i królewszczyzny, dziedzictwa wresjcie, przyszli na nowo próbować losu. Magnaci przysyłali tu oficjalistów swoich; szlachta zaś biedna cisnęła się tu własną osobą swoją. Części południowa i wschodnia Ukrainy zachodniej, były prawie wyłącznie zajęte od-starostw i majątności dużych panów. Umańszczyzna przeszła z domu Strusiów do Potockich; Śmiłańszczyzna od Konięcpolskich w dom Lubomirskich. I tu lud cisnął się zewsząd, płynął jakby z wodą, z wiosną kładą. Nie jeden zawiązał się proces o poddanego zbiegłego z innej szlacheckiej majątności, aby osiąść slobodą w tych nowo-organizujących się osadach.

W połowie wieku XVIII najwięcej zajmowano się tą kolonizacją, osobliwie w Umańszczyźnie, za staraniem Franciszka Salezego Potockiego wojewody ruskiego. W majątkach magnatów Lubomirskich, Sanguszków, Jabłonowskich, Potockich, za najlepszy środek rychłego zaludnienia kraju pustego, uznano oddawanie szlachcie prawa zakładania wsi nowych. Łatwo go udzielano, a zawsze wielu było takich, co gotowi byli z niego korzystać. Rządcy, posessorowie tych dominiów, oficerowie partyi ukraińskiej, wszystko to byli ludzie gotowi osadzać nowe wsie. Obrawszy miejsce stosowne, starali się osobliwie o zebranie ludu dla założenia osady; oddawali więc ziemię od siebie na prawie slobody, czyli woli, to jest uwalniali osadników od wszelkich powinności i czynszów na pewną liczbę lat. Zwykle osadczy zwoływali lud na zbiegowiskach jakich, na jarmarkach, odpustach, albo na prze-

prawach; starali się oni wabić do siebie chłopków najrozmaitszymi obietnicami. Zwykle na te osady w stepach udawali się sieroty, kochankowie, którym rodzice stawali na przeszkodzie, ludzie nareszcie, którzy dla jakichś powodów musieli opuścić swoje strony. Wsie nowe nieraz stawały się jakby miejscem schronienia. Dochowała się tradycja pomiędzy Indem, że księżę Ksawery Lubomirski zaludniając Śra-lańszczyznę, osobiwie opiekował się takimi ludźmi z nieczystym sumieniem; może jaki osadczy dowcipniś wylazłszy na wóz w czasie jarmarku, krzyknął był na żart, że księżę nikogo ze swoich nowych włościan nie wyda, chociażby który przyszedł do niego na słobodę, z cudzą żoną i z cudzemi wołami, a słowa te wbiły się w pamięć ludu i dotąd powtarzają się za prawdę. Tenże Lubomirski, kiedy w dobrach Potockich i wszędzie prawie w nowym zasiedleniu, fundowały się parafie unickie, oddawał ufundowanie ich do woli mieszkańców, a z tego powodu najwięcej miał ludności z za Dniepru, należącej do cerkwi wschodniej. Tu też potem wzrastała na nowo dawna niechęć do Polaków, szerzyły się wpływy obce, bo duchowieństwo okolicy tej wyświęcało się bądź w Kijowie, bądź w Perejasławiu za Dnieprem.

Ale wróćmy do podróży naszych; już się zbliżali oni ku Czerkassom, ku leśnym brzegom Irdynia i Taśminy. Szedł tu trakt duży, kędy ciągnęły karawany za Zaporozie i do jezior Krymskich solnych, dokąd Czumacy udawali się za upoważnieniem poprzednim naczelnika hordy tatarskiej, w stepach *dzikiego polec* koczującej: najczęściej jednak sól dowozili na jarmarki sami Zaporozcy.

Na rozdrożu stała karczma duża, o półtora piętra zbudowana; na facyacie mezoninu, jakiś malarz domorosły wymalował Zaporozca na beczce siedzącego, z wygoloną głową, ogromnym siwym osełdkiem, tylko nad czołem spada-

jącym, przyozdobioną. Był on bez odzieży zwierzchniej, tylko w czerwonych szerokich hajdawerach wyobrażony i butach karmazynowych z podkówkami; w jednym ręku trzymał kufel, drugą wskazywał na kran odkręcony beczki, którym się lał trunek do podstawionego pod nim naczynia. Obok teorbanista grał na teorbanie i śpiewał na całą gębę, a w głębi obrazu widać było kozaka na koniu, w ponsowym kontuszku i czapce siwej; zdawał się przysłuchiwać słowom dumy starej. Pod spodem położony był taki napis: *Prybwwajte kozaki, propywaf szostaki*. (Przybywajcie kozaki, przepijajcie szostaki.)

Karczma ta znana była na całą okolicę, jako stojąca na zbiegowisku wzajemnem kilku traktów, a znali ją wszyscy pod imieniem: *Blocha*, bo doprawdy, arendarz co w niej przesiadywał, jak pchła krew ludzką, tak on ciągnął z kaletek podróżnych wszystkie żywotne ich soki.

Nieopodal była studnia z żurawiem i koryto długie dla wodopoju koni i wołów, przeciągających tędy i zatrzymujących się podróżnych. Zawsze można było widzieć tu stojące długie wałki ciągnących w drogę Czumaków.

Opodal widać było lasy, stające się coraz gęstsze, im bliżej było do Dniepru, od szerokich błót irdyńskich.

Tu, dla zabawy myśliwskiej, przyjeżdżało nieraz dwóch przyjaciół, pan Joachim Puszcza i pan Franciszek Doliwa, zatrzymywali się w karczmie u Josia winiarza i tak im tu było dobrze, że nieraz przez tydzień cały nietylko o polowaniu, ale i o świecie Bożym zapominali.

Dwaj ci mężowie byli sobie wiernymi towarzyszami broni, a obaj należeli do chorągwi partyi ukraińskiej konsystującej w Czerkassach.

Pan Puszcza był szlachcicem majątnym, był *bene natus et possessionatus*, ale zaledwo miesięcy kilka w roku miesz-

kał u siebie na wsi; zwykle zaś wołał bawić przy chorągwi swojej, wraz z nieodstępnym przyjacielem swoim panem Franciszkiem.

Oprócz niego pan Joachim miał zawsze przy sobie kilku nieodstępnych towarzyszy do zabawy i kielicha; nie mógł się on nigdy obyć bez kompanii, więc utrzymywał stale przy sobie kilku opojów, których karmił i przyodziewał dlatego tylko, aby było mu z kim wypić. Pan Joachim Puszcza nie był bowiem pijakiem, aby miał pić sani, albo jak to mówią *do lustra*; w kompanii co innego, rad był sobie pozwalać, ale czegoż to człowiek nie zrobi dla przyjaźni?

Oprócz nieodstępnego pana Franciszka, był jeszcze pan Pius Pokotyło, blady, suchy, cienki, wiecznie zarosły i podwiązany chustką pod brodę, z odętą wargą, usta spalonemi, okiem podbitem, szlachcic. Dla eufonii zapewne zwano go pomiędzy służącymi, pan Opius. Umiał on sycić miody, wybornie preparować nalewki, rozmaite wiszniaki, maliniaki, dereniaki, śliwianki, tudzież na lagier z wina węgierskiego nalewać wina wołoskie.

Był jakiś znowu Kałacer Zakusiło, mówca kompanii. Imię jego było tak rzadkie, że częstokroć brano je za jakąś rangę wojenną i kiedy o nim mówiono -pomiędzy szlachtą, • nieraz dodawano w rodzaju komentarza: „Zakusiło ten, coto w wojsku za kałacera służył.” Mówił górnice, a mówiąc jeżył ustawicznie czuprynę, której nie podgalał, a strzygł tylko.

Nareszcie Jankiel, żyd, krawiec z professyi, ale zapewne musiał on być krawcem *in partibus infidelium*, bo tu tylko pił i zmyślał jakieś bajki wierutne, które wydawał za nowiny.

Pan Joachim był zupełnie, i to w każdym względzie, przeciwieństwem pana Franciszka, chociaż tak się obaj kochali na zabój.

Pan Joachim był chudy, pan Franciszek miał się dobrze; pan Joachim nosił kontusz wążki. po kostki długi, pan Franciszek tużurek miał podcięty; pan Joachim był brunet i smagły, pan Franciszek włos miał srebrny, a twarz czerwoną, i płeć za młodu białą zapewne.

Pan Joachim był w ubiorze zaniedbany, brudny i suknią nosił zwyczajnie taką, jakby plecami swemi powycierał wszystkie ściany; pan Franciszek przeciwnie, zawsze był umyty, wygolony czysto, ubrany starannie, a na sukni znać było ochędóstwo osobliwsze, a bieliznę nosił białości śnieżnej.

Pan Joachim mówić lubił dużo, ale mówił niewyraźnie, jakby mu głos ochrypli i gruby wiązał w gardle; napiły więcej prychał ustami, niż wypuszczał głosu z piersi: lubił dokuczać i przycinać tym, co go otaczali.

Pan Franciszek znowu nie lubił mówić wiele; prawda, że jąkał się niegodziwie, ale to co się mu udało wymówić, mówił gładko, prędko i wyraźnie, a czasem dość dowcipnie nawet.

Nareszcie pan Joachim chodził zwykle zgarbiony we dwoje, a pan Franciszek trzymał się za to tak sztywnie jak trzcina, co tem więcej jeszcze odbijało od siebie, że zwykle dwaj ci przyjaciele lubili prowadzić się pod rękę i iść razem nierozdzielni, jak owe papugi *les imeparables* przezwane.

Jankiel miał fizyonomią lisią, pełną chytrości: do tego i oczy jeszcze miał zezowate. Z powodu jego wzroku pan Joachim, lubiący w mowie posługiwać się językiem i przysłowiami ukraińskiego ludu, nieraz mawiał o nim: „że dłutko zjadł, a świderkiem się patrzył.” (*Dototce zjiw, a swerdlykom dywyfsia*).

W wyborze dworu swego, pan Puszcza okazywał jak naumyślnie gust osobliwszy. Po trzeźwemu, w którym to stanie rzadko bywał wprawdzie, kiedy mu mówiono czasem, że się

otacza dziwnie dobranymi figurami, odpowiadał zwykle: „alboż do naszej kompanii przystanie co *czestnegof*

Lubił oprócz tego p. Joachim łąpać i zaciągać do siebie ludzi obcych, chociażby nieznajomych, aby ich raczyć u siebie i upajać do upadłego. Tu na tej rozstajnej drodze miał wyborne ku temu pole, tu też pod pozorem łowów, najczęściej lubił przesiadywać; tu o każdej porze roku, pretext ten był wyborym: błota, jeziora, spławy i lasy Irdyńskie, przedstawiały wyborne pole myśliwskie, zarówno latem, jak w jesieni i zimą, bo można tu było polować wysmienicie, tak na ptactwo wodne jak i błotne, a obok tego i na grubego zwierza. Najgrubszym przecież zwierzem był dla pana Joachima szlachcic przejeżdżający, kwestarz braciszek, albo jaki ksiądz *utriusque ritus*. Często zaciągnięty w tę kompanię podróżny, znalazłszy wprawdzie bryczkę swoją w stodole zajezdnej, ale bez kół, niemogąc zmykać, chował się przed panem Joachimem gdzieś na górę, na siano żydowskie. Pan Puszcza chodził wtedy z kąta w kąt, opierając się na ramieniu p. Franciszka, pytając ustawicznie: „a gdzież jest *reverendissimus*, czy w grabę się schował?”

Na to lakoniczny a wyprostowany Doliwa odpowiadał zwykle:

- A jak Boo-ga kocham, i znikł i-i-i-i jak kamfora!
- Znaczy się, że nie dotrzymał szlachcic sprawy, *fugom dedit!*

Na to już pan Franciszek odpowiadał wykrzyknikiem samym:

- Oto!
- Daniłko! Jakóbek szukajcie mi tego tchórza! Gdzieś *urraża detyna* w grabę się schował!

Daniłko i Jakóbek byli to dwaj słudzy pana Joachima; już przeszło im było oddawna i to dobrze za czterdziestkę,

pomimo tych imion zdrobniałych jakie nosili, podpuchłe oczy ich, nosy sino-czerwone i ukameryzowane pryszczami, dowodziły, że dwaj ci ludzie należeli także do tego pijackiego cechu. Pan Puszcza lubił pić przy muzyce i śpiewie; Jakóbek grał na skrzypcach. Daniłko na klarynecie. a kozaczek p. Franciszka, Zawerucha, przygrywał na teorbanie. śpiewając dumy i pieśni ludowe, puszczając się przytem czasami kozaka to na *przysiady*, albo tańcząc *czeberiaczke*. Kiedy kompania bywała liczna, a zabawa gwarna, wówczas Jankiel należał także do orkiestry, brzęcząc w takt żelazami i umiał wykonywać to tak głośno i przeraźliwie, że pozyskiwał za to zupełną łaskę swego pryncypała. Wtedy i strzelec grał na *vivat* na waltorni, a inni strzelali, aby wiedziano dokoła, że się pan cześnik bawił.

W takie dni galowe, pan Joachim chodził podochocony w około stołu, nalewał, dolewał do lampeczek i zachęcał do picia, hucząc sobie pod nosem jak bąk, nutę muzyki, wykonywanej przez kapelę; śpiewał zaś zawsze w jeden sposób:

— Du-du-du-du! du-du-du-du!

W domu własnym cześnika, czasami do stołu przy wiczerzy usługiwały dziewczki, i one jeszcze śpiewały głośno, chórem, tęskne pieśni ruskie; wówczas zdarzało się nieraz, że ucztę te przybierały charakter orgij bachanckich, a pani Joachimowi, gdzieś daleko w izdebce swojej, przytuliwszy do łona dziecię, gorzkiemi zalewała się łzami. Pan Joachim nie lubił mieć dam przy ucztach swoich, osobliwie już po pieczystem:

— Lubuniu — tak mawiał zawsze do swojej żony — lubuniu, odprowadź jejmoście i zabaw tam u siebie w Babilonii, a my tu się sami zabawimy. *Kiń z konem, a vii z icolom*—rozumiesz jejmość?

Kiedy goście wyszły, dodawał:

— *Baba z woza, kolesam lechsze!* (Baba z woza, na koła lżej!)

I dopiero poczyną się pijatyka. Ale, kiedy już dobrze rozweselił się duch pana cześnika (bo cześnikiem go tytułowano), przypominał sobie, że miał gości *geneńs femininis*, więc kazał sprzątywftć' ze stołu, oczyścić miejsce, a muzyce grać polskiego.

— A co, panowie, idźmy teraz do Babilonii bawić nasze jejmoście, jak uczciwość każe.

I panie, czy chciały, czy nie chciały, musiały po wszystkich pokojach i korytarzach domu iść polskiego z napilemi panami: najprzód, wyprostowany pan Franciszek wiódł rej, za nim szedł zgarbiony we dwoje pan cześnik, a dalej tłoczyli się wszyscy biesiadnicy i domownicy, wyprowadzał bowiem pan Joachim wszystkich do tańca, co tylko żyło ze szlachty, nawet występowały panny służące. Chowały się nieraz niebogi od niego, ale to nic wcale nie pomagało, bo pod ziemią jeszcze znalazłby pan cześnik. Skoro tylko spostrzegł że której brakło, wołał zaraz:

— A gdzież się podziała, czy w grubę się może schowała?— A znalazłszy ciągnął co miał siły do sali. powtarzając delikwentce przysłowie ruskie:—*Skoczy wraże jak pan każe!* O! mądraś aspanna, schowałaś się! Ale *na mudrosf jest pre-mudro!* - A obracając się do żony, mówił, wskazując na występna: — lubuniu! otóż bo to to! jak uczciwość każe! Szlachecka *detyna*, niech się z nami bawi! Du-du-du-du! du-du-du-du!

Pan Joachim kiedy był trzeźwy, był wcale dobrym i pocziwym człowiekiem, ale napiły, stawał się nudnym i upartym; szkoda, że stan ten był u niego normalnym stanem. Upor jego był osobliwy. Baz uparł się ukarać chłopca swego; chłop kłął się, że nie był winnym, inni świadczyli

za nim to samo; przyszło do ostateczności, chłop wołał: panie wielmożny, jam nie winien, pan podstarości świadczy za mną żem nie winien. A pan cześnik na to:

— Nie winien! ważna rzecz! To kiedyś będziesz winnym!...

Chłop został ukaranym, szczęściem, że pan cześnik, jako każdy Polak prawy, okrutnym nie był. Kara była lekką, a jejmość sama umiała ocierać łzy chłopków i sam pan Joachim po trzeźwemu starał się zawsze wynagrodzić krzywdę wyrządzoną; a kiedy potem stało się tak, że chłop doprawdy * winnym był kary, pan Joachim przypomniał sobie, że on był już karany raz niewinnie, więc powtórzył tylko uradowany:

— Otóż bo to to! Otóż bo to to! (trącając ręką żonę). Lubuniu! Otóż bo to to! Uważasz jejmość? Czyż nie na moje wyszło?—A obracając się do pomięszanego chłopca: — A widzisz Maćku, czy nie lepiejże tak? Dziś jesteś winnym, tchórzysz bracie, boisz się plag zasłużonych, a prawda? A kara już odmierzona, pamiętasz? Więc kwita byka za indyka! Dajcież mu czarkę i niech idzie do domu. A na drugi raz tego nie rób.

Chłop uszczęśliwiony wracał do domu, błogosławiąc przez całą drogę sprawiedliwość i mądrość wysoką pana swego.

Pan Franciszek wykrzyknął tylko:

— Oto!—objawiając przez to podziwienie swoje nad dziwną przenikliwością rozumu cześnika.

Cześnik kochanym był od poddanych.

— To ojciec nasz nie pan—mówili o nim; jakoż poczuwał się on do ojcostwa względem ludu. Na wesela chodził zawsze do chłopków swoich z muzyką i nalewkami; siadał za stołem i błogosławił parę młodą chlebem i solą,

jako ojciec posażony, obdarzając przytem hojnie nowożeńców to krową, to konikiem, to parą byczków z obory własnej, „jak uczciwość każe,” było to ulubione jego wyrażenie.

Pan Joachim stał na ganku austeryi z panem Franciszkiem, kiedy przy wodopoju zatrzymał się wózek i konie powodowe Stanisława i Ignacego. Jako mąż ciekawy, cześnik przyłożył rękę do czoła, chcąc się przypatrzeć przybyłym.

— Jakaś dziecina—rzekł do siebie —nie zdatna do kompanii naszej.

Stanisław chodził około wozu.

— Dzień dobry aspanu—rzekł do niego pan cześnik.— A dokąd to bogowie waszecia prowadzą?

— Do Czerkass—odpowiedział Stanisław, kłaniając się uprzejmie panu Joachimowi.

— Do Czerkass? A w jakim celu, jeżeli wolno jest o to zapytać waszecia.

— Do chorągwi, na służbę.

— Na służbę! Panie Franciszku, słyszysz asindziej, na służbę do chorągwi. A jak honor waszecia?

— Stanisław Junosza, na usługi "W. P. dobrodzieja.

— Stanisław Junosza! O dobrze!—A obracając się do Ignacego, wołał:—A cliodź-no waszeć tu!

Ignacy bardzo niechętnie, drapiąc się za uchem i kłaniając się niezgrabnie, zbliżył się do podgańcza, na którym siedział pan cześnik.

— A kto waszeć taki jesteś?

— Ignacy Psalterzewicz, na usługi JW. pana, -zawsze drapiąc się w głowę, z nogi na nogę przestępując, a patrząc w ziemię nie śmiało, odpowiedział towarzysz Stanisława; nie bardzo rad on był tym znajomościom, robionym w podróży, pomnąc na cięgi jakierni go opatrzeć raczył na drogę pan starosta Kaniowski.

— Ignacy Psalterzewicz? o! cóż waść, sierota, czy co, he?
— Nie! mamci jeszcze w domu, Bogu chwała, rodzica i jejmość matunia żyją także.

— A ojciec waści kto?

— Na parafii...

— Aha! Toś waszeć popowicz, he? Unita przecie? Co?

— A tak to niby wypada —bąknął do reszty pomieszany chłopak.

— *Nie wysokoho kolind* (nie wysokiej prozapii) — rzekł obracając się do pana Franciszka cześnik; przyjaciel zaś jego siedział wyprostowany na ławce, kręcąc w palcach papierki, zwyczajem swoim. Tak nieraz po całych dniach gotów był przesiedzieć w domu.

— Cóż, waszeć takóž wybrałaś się na wojaczkę? he? Gadajże przecie i nie patrz-że się tak z podełba jak wilk; w lesie wyrosłaś, czy co?

— A już to tak....

— Cóż tak?

— Na wojaczkę—wyszeptał niewyraźnie Ignas, myśląc sobie, że już niechybnie skóra jego będzie w robocie.

Szczeńciem dla niego, nadszedł na to od wozu, krokiem śmiałym, z miną diabłą, Błażej, wstrząsając butnie kutasem swego fezu.

Na twarzy cześnika, dotąd znudzonej widocznie, wywołał on podziw i zajęcie pewne. Zbliżając się do ganku, pan Błażej, przyłożył poważnie prawicę do serca najprzód, potem do czoła, do ust nareszcie i wymówił, choć to nie odpowiadało wcale jednemu drugiemu, pochwalonego. To do reszty pomięszalo szyki panu Joachimowi; zaledwo odpowiedział mu na pozdrowienie jak należy, tak był ciekawy tej figury osoWiwszej.

Pan Błażej bez ceremonii usadowił się naprzeciw cześnika, dobył z kieszeni hajdawerów szerokich, kapciucha z tytuniem, wyszywanego jedwabiem na sposób turecki, potem fajki czerezniowej. z cybuchem dość długim, który wskazywał rozmiarem swoim bezdenność kieszeni owej, nałożył fajkę tytuniem, dobył wreszcie krzesiwka, wykrzesał ognia, przyłożył hubkę do lulki, a zapaliwszy ją, puścił przed siebie kłąb dymu mocnego i wcale nie tchnącego aromatem Wschodu.

Cześnik zakaszał się od razu.

— Słuchaj-no ty Mahometo jakiś, odsuń-że się sobie z tym lulczyskiem, bo mnie ten dym dusi.

— E! jakaż z ciebie baba—rzekł z lekceważeniem—kiedy boisz się dymu: ale kiedy już boisz się tak udusić nim, ba! to umykaj ztąd, bo ci to powiadam, że cię wykurzę jak borsuka z nory.—To powiedziawszy, Błażej zaciągnął się, a potem puścił kłęby dymu nosem i uszami nawet, ku wielkiemu podziwieniu Stanisława i Ignacego.

Ta śmiała mowa zdziwiła cześnika.

Pan Franciszek wymówił tylko swoje:

— O to! — Na niego i dym nie działał; siedział wyprostowany, nieporuszony, jak przedtem, kręcąc papierki. Siedział bez żadnego śladu myśli na twarzy, jakby był z kamienia wykuty, albo z drzewa wyrzezany i pomalowany potem.

— E! proszę waszecia z respektem, bo może być źle z waścią, mości poturnaku, czy eunuchu, czy jak tam ci u czarta!

— Tylko nie wygaduj za wiele, bo ci po polsku zamaluję: za gębę w gębę: wiesz to aspan? Jeślim ci solą w oku, ha! tom szlachcie jak i waszeć; jest szabla u boku, jeśli wola, proszę za karczmę, to się tam rozprawimy z sobą. Daj

go katu, butna z waści sztuka, alern i ja nie w zimnem ką-
pany. Skoro wypalę lulkę, stanę na usługi waszmości.

— A i-i-jak Pana Boga mego kocham i-i-i-i dobrze
mówi.

— Ale czy szlachcic jesteś?

— O to pokój, nie gorszym od waści, spuść się w tem
na mnie.

— A dlaczegóż wyglądasz tak jak święty turecki?

— A! to już rzecz nie waścina; czekam, a spróbujemy
się z sobą na rękę; a weź tylko tam jegomość kogo za se
kundanta: moim będzie, przytomny tu jegomość pan Stani-
sław Junosza.

Stanisław uklonił się.

— A moim pan Franciszek Doliwa.

— A to dobrze się bardzo składa, bo mam nadzieję, że
potem pan Doliwa doleje mi nie jedną lampkę wina. Krew
przelana w honorowej sprawie, łączy ludzi tak jak krew oj-
ca lub matki....

— Mówi po ludzku, a chodzi jak Tatarzyn — mruczał
sobie cześnik.

Wyprostowany pan Franciszek, wstał i poszedł do au-
steryi, a za nim pociągnął się pan Joachim, wzruszając ra-
mionami i pryhajac po swojemu.

Wkrótce wyszli obaj na ganek; Jakóbek niósł szerpent-
tynę; pan Franciszek, krocząc na plac, dostał z zanadru
zegarek, popatrzył na godzinę, potem przyłożył go sobie do
ucha, nareszcie otworzył kopertę i począł go nakręcać z fle-
gmą; dokonawszy tej operacji, schował napowrót zegarek
poci suknię i powiedział do cześnika:

— Dochodzi dziesiąta, potrzeba się śpieszyć: *hora cano-
nica* tuż.

A pan Błażej na to:

— Tylko pamiętajcie o tern, panowie, żebyście mię na śniadanie zaprosili. Mówią: albo pij. albo się bij; a ja do wypitej i do wybitej gotów jestem.

— *Protoorna* z waści sztuka, ale teraz mamy z sobą na pieńku: *ad mittem, ?zyj bafko duższyf* (1) mości turczynie.

— Zobaczmy jeszcze.—Mówiąc to pan Błażej, dobył pałasza. przeżegnał się, zmówił Pozdrowienie Anielskie, przeżegnał się jeszcze raz, popluł ręce i stanął w pozycji obronnej.

Pan cześnik uczynił to samo. tylko opieszale i niezgrabnie.

Pan Franciszek i Stanisław stali z boku; pierwszy spokojnie kręcił papierki, drugi pomieszany i ze łzą w oku: pierwszy raz w obecności jego zmierzano sobie wzajemnie ku piersi.

Dalej pod karczmą zebrała się gromadka ludzi, żydzi, Kuźma, Wasylek. patrzyli ciekawie. Ktoś mruknął:

— *Daj Boże v:am pobyfsia, a meni podywyfsia!*

Błażej składał się i zasłaniał, pan Joachim nacierał dość zręcznie, ale w kilka chwil szabla wypadła mu z dłoni skrwawionej. Służalski wypuścił oręż z dłoni i rzucił się do ranionego.

— A macie tu balwierza?—spytał Błażej.—Nie? No to ja sam opatrę ranę: dajcie-no tylko ośrodek chleba i pajęczyny, dość tu pewno tego, bo karczma niegodziwie brudna.

— Przeciął mi palce — rzekł cześnik, wyciągając skrwawioną prawicę do pana Franciszka.

— A jak Boga kocham i-i-i prawda — odpowiedział ten przypatrując się skaleczeniu.

— E! nic! zagoi się wnet, tylko opatrę.

(1) Czyj ojciec silniejszy?

A oglądając się i spostrzegając Daniłka pomieszane-
go zranieniem pana: — Czegóż stoisz opoju i przewracasz
oczami jak cietrzew? Idź, przynieś koszulę jaką starą a cien-
ką, szwabską: potrzeba obwiązać pięść twemu panu. Widzisz,
że go spotkała przygoda.

— To ty chłopcze dobrze mi życzysz? — spytał Błazeja
pan Joachim.

— Bój się waszmość Boga! Jakże? Szlachcie szlachci-
cowi! Wszakcito swoja krew, kość z kości, a krew nie woda,
opiewa przysłowie, jak świat stare.

— A to uściskajmyż się z sobą Mahometo, bo praw-
dziwie nie wiem jeszcze jak ci na imię?

— Z całego serca! Zwę się Błazej Służalski.

— Dlategoż to z waści taka usłużna sztuczka,

— A tak, usłużnym: i obetnę i obwiążę.

— A jak Boga kocham usłużny jest i-i-i zanadto nawet!

— A co panie Doliwa, jak tam na zegarku stoi? *Hora
canonica?*— rzekł, dokonawszy szczęśliwie obandażowania,

— Kwadrans na jedenastą....

— A to pora już przekąsić, jakem poczciwy; biegajże
mazgaju, nakryj do śniadania — rzekł zwracając się do Da-
niłka—Służę panu, ale jak honor? bo to jeszcze dotąd nie
miałem prawdziwego dla mnie zaszczytu poznać,...

— Cześnik Joachim Puszcza,

— Więc służę panu cześnikowi; panie Stanisławie, pa-
nie Ignacy, chodźcie waszmoście, pan cześnik prosi was,
przezemnie, do siebie na traktament,

— Proszę, proszę z całego serca, moi młodzi wojacy;
będziemy służyć poci jedną chorągwią—wymówił pan cześnik,
obracając się do młodzieży.

— Oto, jakże to się szczęśliwie składa—powiedział na
to Błazej, wprowadzając rannego do izby, w której już było

przygotowano do śniadania. Wszędzie sprzęt był myśliwski a ściany karczmy pozawieszane makatami i bronią. ~ Siadajże cześniku, o. tu wygodnie ci będzie, my ci usłużymy: nie ruszaj ręką, na miłość Boga; drogie dla nas zdrowie twoje. Panie Franciszku, wyręcz gospodarza chorego, przepij do gości.

Pan Błażej rozporządzał jak u siebie; bo też gospodarz nie mógł przyjść do siebie po przegranej.

Weszli Pukotyło i Zakosiło i skłonili się; tak to wszystko zaszło było prędko a niespodzianie, że ledwie w tym momencie dowiedzieli się o pojedynku i zranieniu patrona swego.

— Panie Kałacerze, a chodźno waszecz tu — wymówił pan Joachim spostrzegając domowników swoich; — powiedz aspan mowę na powitanie gości, jak uczciwość każe.

Pan Kałacer przybliżył się, potarł czoło, najeżył czupryny, poprawił wąsa i pasa, wziął się wreszcie ręką lewą pod bok, a prawą wyciągnął ku stołu i przytomnym, przemawiając w ten sens:

— *Uncle venis quo tendis?* Nie znana jest zaiste kolej 70-sów ludzkich! Od narodzenia swego, przez żywot cały, dąży człowiek, owo stworzenie mizerne, w przyszłość; ale jak, którądy, *quornodo, quibus amiliis, quo fine*, tego najmędrsza głowa nawet, chociażby tysiące lat medytowała nad tern rozwiązać zapewne nic potrafi. Iitoby nam powiedzieć mógł np., kiedyśmy, Nemrodzi nowi, przed kilku dniami, z weselem w sercu wyjeżdżali na łowy, że spotka tu nas azard taki, takie wylanie krwi, nie bestyi dzikiej, nie krwi Tatarzyna lub hajdamaki, ale krwi drogiej i zacnej pana naszego miłościwego, krwi, której jedna kropla warta jest więcej daleko *in oculis Beipublicae*, niż wszystkie skarby Patkołu. *O! terque, quaterque* przeklęty dzień on oplakany, w którym...

— Et! bredzisz coś dzisiaj ni w pięć ni w dziesięć, Zakusiło; wypij więc lepiej starki, a siadaj i jedz co Bóg dał.

Mówca opuścił ręce, obojętnie mlasnął gębą na wspomnienie trunku, splunął czystą jak woda ślinkę, i ujął w rękę drżącą karafineczkę z gorzałką; nalał jej, podniósł do światła, wypił odrazu, cmoknął gębą na znak zadowolenia wewnętrznego, a podając z kolei karafkę Pokotyło, rzekł do niego, jakby zachęcając:

— Pij waść, dobra, essencya nalana na pestki persykowe; aromat i smak przedni! jedyna dla konkokcyi żołądka! Kieliszczek jeden takiej, to czerwony złoty doktorowi z kieszeni.

Pokotyło nie dał się namawiać długo, wypił i chlebem z solą zakąsił.

Błażej był u stołu jak u siebie, mówił wiele o Turczyźnie, bimbaszy i sobie; częstował, przepijał do każdego, zawsze dodając do tego wszystkiego jakąś dykteryjkę, przysłowie, albo anegdotę z żywota jakiejś osoby publicznej. Pomimo rany odebranej, pan cześnik był wesół i rad z gościa; powtarzał ustawicznie:

— Kocham i mam szacunek dla pana Błażeja; lepsza z nim widzę kłótnia, niż lada z kim zgoda święta: *vivat!* kochajmy się! Panie Błażeju, w wierne ręce wasze.

— Zdrowia życzę dobrego panu cześnikowi—odrzekł ten, powstawszy — przyjmuję i nie zawiodę ufności acana dobrodzieja — i jednym łykiem opróżnił puharek spory srebrny, talarami sadzony, a wyłaczany we środku i po brzegach.

— Oto mi człowiek!—wołał cześnik— oto mi głowa!

/

— Nie dla proporcji—kończył Pokotyło - rzec to można śmieie.

— W kronikach-by o tera pisać wypadło — dodawał pan Kałacer Zakusiło, ryć rylcem na miedzi *in aeternam rei memoriam*.

Jankiel nawet, stojący u progu z wyciągniętą naprzód szyją długą, cmokał gębą na znak podziwu, mówiąc do siebie niby półgłosem:

— *A gold, a dyment!* (złoto, dyament!)

Pan Franciszek milczący zwykle, odezwał się w końcu:

— A jak Boga mego kocham i-i-i leje jak w beczkę!

Młodzieź, jako młokosów, do kielicha nie zmuszano. Stanisław przywołał do siebie pięknego wyżła, nadzwyczaj zmyślnego i bawił się z nim. Pan Kałacer, poczuwając się do obowiązku zajęcia dyskursem młodych gości, mówił Stanisławowi, jakie pies ten umiał sztuki, jak szukał ciepła, przynosił zgubę, sprowadzał służących żądanych i t. d.

Nie uszło to baczości Służalskiego, więc i z tego powodu musiał on wścibić swoje trzy grosze.

— Pies! wyżeł! Od czasu jakem stracił mego wyżła faworyta, nie trzymam przy sobie więcej psów. Mówisz waszeć, że pies wasz zmyślny! Oto mój był zmyślny, to ale. Razu jednego pojechałem w drogę bryczką o mil kilkanaście; wracam, niemasz tłumoka z pościelą, oderwał się widać z tyłu i zgubił się. Na żart powiedziałem psu: *zguba, szukaj!* Zapomniałem o tem. Mówią mi w porę obiadową, psa nie widać; niema go w wieczór, niema nazajutrz, myślę sobie, ktoś musiał mi skraść wyżła. Na trzeci dzień, a było to porą zimową, siedzę sobie u komina, palę fajkę, słyszę za drzwiami coś skrobie się i piszczy, jak mój pies; wstaję, otwieram drzwi: cóż waszmoście mi na to powiecie, patrzę, w sieni stoi mój pies i w zębach trzyma za ucho tłumok mój z pościelą. Potem dowiedziałem się od tych co na to patrzali, że o mil cztery od miejsca ostatniego popasu

mego, ciągnęło psisko pocziwe ów tłumok ciężki; aż drogę zrobił nim po śniegu. Jak padł przed piecem, to dobę całą nie ruszał się, taki był zmęczony; myślałem że zginie z wielkiej aprensji. Takie to psy bywają!

Panu Joachimowi bardzo się podobała ta ciekawa historia.

Błażej Służalski nie opuszczał już dworu pana cześnika; przebrał się, jak *uczciwość kazała*, z nim pozostał, a podróżni nasi sami udali się ztąd do Czerkas. Pan Joachim powtarzał ustawicznie:

— Powiedziałem raz, że pana Błażeja nie wypuszczę od siebie i o tern nawet teraz ani dyszkuruję!

XIX.

Nic tak człowieka nie rozwija, jak przygody i doświadczenie w podróży nabyte. Staś więcej zapewne w tych dniach kilku dojrzał był duchem, niżby przez rok i więcej mógł się w domu rozwinąć. Ileż tu ludzi, ile postaci rozmaitych przesunęło mu się przed wzrokiem; ile poznał i domyślił się świata, ile ten obraz nowy przyrodzenia obudził w nim, w głębi ducha, wątku nowego imaginacyj, marzeń poetycznych i planów na przyszłość! Z domu wyjechał wyrostkiem, tu poczuł się już osobą, młodzieńcem; droga oderwała od istoty moralnej jego ten nerw, co go dotąd trzymał przy życiu zbiorowem domu, chociaż domu obcego dla niego. Więc i w powieści naszej, Stanisław grał wcale podrzędną rolę; bo też w owe czasy, w kraju tym, w którym trzydziestoletni młodzian, dobrze już pod wąsem, kiedy nieśmiało przyznał się bywało rodzicowi je-gomości, że chciałby za błogosławieństwem jego pomyśleć o dozgonnej dla siebie przyjaciółce: dostawał za to nieraz od starego srodze lagą po grzbiecie, a nawet bywał

wypędzonym z izby, jako „młokos,” któremu nie pora jeszcze było myśleć o czemś podobnym. Jakże tu więc nasz Stanisław przed ukończeniem drugiego krzyżyka, mógł okazać się inaczej, jak tylko w postaci skromnego, a pokornego młodzieniaszka? Wstępował on dopiero do szkoły żywota, w której, wedle obyczaju starego przodków naszych, jak wedle obyczaju szkoły Pytagorejczyków, należało milczeć, aplikować się, wyciągać naukę z żywota powszedniego, a pilnie na wąż ją sobie motać, jako mądrość najprzedniejszą. Zaiste, nic nad to nie masz mędrszego! Starsi wtedy wtajemniczali młodszych w życie, wymagając z ich strony, jakoby w ślubach zakonnych: pokory, poświęcenia się, posłuszeństwa i wytrwania. Dopóki tak było, dobrze było.

Ale powróćmy do toku rzeczy naszej.

Podróżni nasi powoli ciągnęli do celu, bo nie było czego pospieszać się bardzo, a naczelnik wyprawy, Kuźnia, dbały o konie które kochał, trzymał się adagium Erazma Rotterdamczyka, *festina lenie*, „śpiesz się powoli.”

Zaledwo któregoś fam dnia stanęli nasi w Czerkasach, nad malowniczymi brzegami Dniepru.

Skoro z najpierwszego wzgórza odkrył się im widok obszerny na rzekę, Kuźnia jakby pomimo własnej woli, powstrzymał konia na którym jechał, powiódł wzrokiem dokoła, a twarz starego rozjaśniła się i uśmiech zaigrał mu na twarzy. Kozacy namiętnie kochają swój Dniepr siny i jego ługi ciemne, porosłe lasem gęstym. Oj! nie mało wylęgło się w kozaczyźnie dumek tęsknych o tym ojcu kozactwa całego; wiadomo bowiem, że dla kozaka *Sicz* była matką, a Dniepr *bafkiem*. Dziś *Sicz* była już tylko macochą złą dla Ukrainy, więc tern namiętniej jeszcze serce

kozacze cisnęło się do Dniepru, co stanął poważnie pomiędzy dziećmi powaśnionemi kozaczyzny. Kuźnia poprawił nad uchem oseledca osiwiąłego, musnął wąsa sumiastego, wspiął konia pod sobą i zaśpiewał tęskną nutę dumki starej :

Oj koniu, mij koniu, zaliraj podomnoju,
Da rozbyj tuku moju!
Rozbyj, rozbyj tubu, po temnomu łubu,
Kozakowi da mołodomu!

Haj! Haj! kiedyś to, kiedyś było się młodym i tęgim kozakiem, chociaż widok taki, jak ten oto przed nami, odżywia od razu w duszy przeszłość całą i maluje ją tam tak świeżo i uroczo, jakby to, co przeminęło niepowrotnie, zaledwo wczoraj tylko się stało! Ha! i z wami tak będzie kiedyś chłopcy moi! Jedna kolej dla każdego z nas; co też i pociesza człowieka nie mało! Nic wiem coby to było, gdyby tylko przyszło pomyśleć sobie, że starość i śmierć dla ciebie jednego tylko przypadły na dołę!

I zadumał się stary i jechał opuściwszy głowę na piersi.

Ha ! straszna to musi być śmierć ta w chacie ciemnej na zapiecku! Co innego umrzeć kozakowi w stepie zielonym, pod niebem, jakby przed okiem Bożem, z orężem w rękę, od szabli poganina! Tam wszystko opłacze kozaka: i rosa co pada z nieba na trawę, i kukułka, i konik wierny, i kruki co kracząc odrywają dziobami ostreimi ciało od kości żółtej, i wilk co w długie nocy zimowe, wyje i skomli żałośnie na mogile starej kozaka, i wiatr nareszcie stepowy, co wieje ze wszech stron świata i rozmawia tęskno z kurhanami o przeszłości minioniej!

Młodzi także patrzyli z rozkoszą na ten krajobraz cudny, co tak głęboko poruszył uczucie Kuźmy. Czerkasy

leżały na wzgórzu, po prawym brzegu Dniepru: lewy brzeg był płaski i piaszczysty. Były tu laski rozsiane tu i owdzie i oko sięgało daleko w oddal czystą, odbitą na lazurze ozłoconego zachodem nieba, a obleczonego gdzieś-niegdzie chmurkami różowemi. W tej dali unosiło się wesoło ptastwo, bujało i ginęło gdzieś w toniach niezgłębionych powietrza.

Dzwon zwoływał na nieszpór, a dźwięki jego przeciągłe snuły się w powietrzu świeżem wieczoru.

Osada miasteczka rozrzuciła się malowniczo po jarach głębokich i pagórkach obrosłych sadami; od tych odbijały się pięknie urwiska brzegu z gliny białej; z po za zieleni bieleły futory, chaty kozackie w nieładzie rozrzucone, potrojne błyskały kopuły cerkwi z po za osłony klonów i lip starych, a dalej nieco wysuwało się porządniej już trochę zabudowane miasteczko żydowskie z rynkiem, kramami, domami zajezdnymi i schludnymi dworkami szlachty.

Kuźma musiał być tu kiedyś, bo wskazywał młodym towarzyszom swoim zdała jeszcze znajome sobie futory, za ledwo dojrzone w zacisznych pasieczyskach, a także nazywał im po imieniu części miasteczka, wymieniając jedno po drugim przedmieście Kosińskie i Krywałówkę. Opodal na wzgórkę widać było zameczek, wkoło palami dębowemi opalisadowany, most przez fosę, za nią bramę z drzewa w cyrkuł, wkoło strzelnice, nad bramą znać była izdebka; po lewej stronie można byłopostrzedz kozarnię, czyli budynek dla kozactwa, darniną przykryty; dalej, w tem opalisadowaniu stały: wozownia, stajnia, lamus, a w samym środku dziedzińca rezydencya pana gubernatora, z drzewa, a za nią baszta wysoka z drzewa dębowego; po bokach zamku

basztek dwie dla straży. Było także oficyn dwie i kapliczka ukryta w lipach starych ogródka.

Czerkassy było starostwem, które składało się z trzech miasteczek i wsi ósmnastu, a zostawało w posiadaniu ks. Sanguszki.

Wjechali w parów obrosły leszczyną, pokazały się tu i owdzie płotki, po za nimi grusze, i znaleźli się na przedmieściu.

— A gdzie zajedziem? — pytał Staś — gdzie staniam kwaterą? Do żyda potrzeba kierować.

— Prawdziwy z waspana Lach, bez żyda ani tchnąć, — rzekł śmiejąc się Kuźma; — czyż już bez żyda ludzi na świecie niema, czy co? Nie lepiejże zajechać do chrześciana?

~ Ale widzisz waśc, panie Kuźmo, do gospody jedziesz śmieie jak w dym.

— Wszędzie jedź śmieie paniczu, gdzie serce otwarte; dawniej mawiano: gość w dom, Bóg w dom: czyż dziś ma już być inaczej?

— Zawstydziliście mię Kuźmo, — rzekł Stanisław.

— I ja trzymam z *diaofkiem* — dodał Ignacy; — do chrześciana lepiej: strawa lepsza i kiełbasa się znajdzie zawsze i schabik.

Kiedy to mówili, ukazał się przechodzień; był odziany w siny żupan sukienny, szarawary drelichowe, w sine płomyki tkane, a skórnice juchtowe za kolana zachodzące wepchnięte; czapka, albo raczej kołpak z baranków siwych, z wierzchem aksamitnym i rozporkiem, spadała na bakier, twarz poważna, broda biała prawie spadała na pierś, brwi nawisłe ponad oczami, tizyonomia przyjemna i łagodna.

— Niech będzie chwała Bogu — wymówił Kuźma.

Na wieki wieków — odpowiedział staruszek.

Podróżni zrównawszy się ze starym, jechali obok niego powoli.

— A z kąd Pan Bóg prowadzi — spytał ten, idąc już w kompanii.

— Z daleka, od Poleskiej strony.

— Z pod Czarnobyła może?

— Nie, bliżej trochę, od Makarowa.

— Znam i Makarów, jeździło się kiedyś po świecie; znam. A dokądże na nocleg?

— Ha! do zajazdu jakiego schronićby się potrzeba.

— A gdyby tak do człowieka poczciwego? Wszak Bóg sam przykazał podróżnego w dom przyjąć.

— Ta to tak zapewne, ale jakoś, widzicie bat'ku nastęrczać się ludziom, narażać się na odmowę przykro—powiedział Stanisław.

— A gdybyście do mnie naprzykład zechcieli zawrócić? Nie odmówcie staremu jego chleba i soli? Proszę was uniżenie nie odmówcie: czem chata bogata, tem będzie wam rada, a wierzcie, że z serca chlebem się przełamiemy i konikom waszym wygodę damy. Cóż panowie, do mnie?

— Ja nie od tego—rzekł Kuźma.

— A wy panicze, zrobicie mi tę cześć? Mnie, staremu Charkowi, cechmistrzowi cechu szewskiego.

— A nie będziemy wam ciężarem?

— Ale, ani tyle nawet - rzekł, składając razem dwa palce, z których jeden wystawał ponad drugi.

— A no! więc służymy wam.

— Dziękuję, dziękuję. No za mną teraz.

I podróżni nasi udali się za starym cechmistrzem drogą wiodącą przez doły i jary, porośniętą głogiem i leszczyną, do chaty jego na przedmieściu. Malownicze to było położenie tych chatek rozsianych w wąwozach naddnieprskiego wzgórzystego brzegu. Zbliżyli się nareszcie do chaty szewca.

— Oto jest moja chatyna — rzekł z widocznym ukontentowaniem wewnętrznym gospodarz; - oto całe moje obejście: jak tylko zasięgniecie okiem sad i ten laszek kalinowy i ta lewada to moja. Wszystko mam, czego tylko duszy się zamarzy: i ogrodowina i sianko i żyto rośnie pod domem samym; oto moja kobyła pstrokata (klacz) z *loszycą* pasą się na lewadzie; oto byczek mój; krowę wypędzili w pole; woły w polu także z *nebożem* (synowcem) moim Jakowem Pindiurem. Znacie Jakowa?

— Nie.

— Poczciwa dusza, niech mu się tam lekko wspomni w polu; gospodarzy u mnie i pomaga staremu; syna straciłem, tylko pozostała wnuka. Oto stoi u drzwi uczeń mój szewski Sydohołowka; widzicie tak go *drocą*, dlatego że choć chłopak młody, ma na czuprynie od urodzenia kosmyk włosów biały; a to moja stara chodzi po sadzie, a przez *kwaterkę* otwartą w oknie, wygląda moja wnuka Hala. Matka jej, a moja synowa, gdzieś przy gospodarstwie zapewne.... nie widno jej.

I tak mówiąc wprowadzał stary gości swoich na podwórko. A wszędzie było tu jak Bóg przykazał; znać było że gospodarz był człek bogobojny i wszystko poczynił z Bogiem; na wierzchu wrót był krzyżyk, na środku dachu snopki od przyczółka ułożone były w krzyżyk, toż samo było na śpichlerzu i szopie; na drzwiach chaty widziałeś

krzyżyk narysowany kredą, aby bięda tędy nie wlaźła pod strzechę. I widać było z twarzy i obejścia starego, że mu Bóg błogosławił i on sam był zadowolony z życia i doli swojój.

W okolo chaty były przyźby szerokie; nad przyzbą u przyczółka, od sadku wiśniowego, szeroko zwieszał się dach słomiany, tworząc latem cień, chłodek i ochronę od deszczu; w nocy letnie Ukraińcy zwykli sypiać pod taką osłoną, na odkrytem powietrzu.

Tu była grządka kwiatków, zdradzająca, że w chacie chowało się dziewczę; rosły tu lilie żółte, malwy, tojeść, nasturcye, gwoździki pełne pomarańczowe i cytrynowe pełniakami zwane, czarnobrewce, a osobliwie zdożyły kwaterę tę amaranty kwitnące kwiatem nakształt ogonów kocich. Mnóstwo tu było oprócz tego ziół aromatycznych: bazyliki, mięty prostej, ruty; pachnące zioła noszone przy sobie, zastępują Ukrainkom miejsce wonności modnych, a kwiecie, oprócz do ozdoby warkoczy, służy jeszcze do ubierania obrazów Świętych Pańskich. Osobliwie *pełniaki* zasuszone, pięknie przystrajają *bożnik*, (kąt główny domu) okalając sobą ramy obrazów.

W ogródku było jak we wianuszku. Ale chłopcy wiejscy, każdej soboty zielonej płatali Hali figła; zaprzągłszy się do radła, przeorywali oni późnym wieczorem bródę pod wrotami jej domu, a potem wpadłszy do jej ogródka, zrywali kwiaty i psuli jej ulubione grzędy. To symbolicznie wskazywało dziewczoi, że pora było jej zaniechać już tych zabaw dziewiczych, a wejść w stan mężatek, jak Bóg przykazał. Handzia płakała, żałując swoich kwiatów, a babka i matka śmiały się i pocieszały wnuczkę i *donię* tem, że taki był zwyczaj odwieczny, że tak i im robili parobcy, kiedy były młodemi dziewczętami, a sens mo-

ralny pociechy tej był taki: „że ponieważ obyczaj ten nie za nich nastął, nie za nicli tśż i z użycia wyjdzie.”

Kiedy mieli wchodzić do izby, spotkały gości u progu synowa i wnuka cechmistrza. Synowa była hoża młodyca, zdrowa, czerstwa; Handzia zaś była krasawicą, co się zowie: brunetka, czarnooka i czarnobrewa, twarz jak kalina, usta jak malina, a ząbki błyskały gdyby srebrne, kiedy tylko dziewczę uśmiechnęło się, a wiecznie było uśmiechnięte. Koszula była biała, *połyki* suto wyszywane *zapółoczq* (bawełną kolorową), koralami pierś była okryta, a stan ściągał pas jak krew ponsowy; spódnica kałamajkowa, migiała jaskrawymi barwami; fartuszek jak śnieg był biały, a buciki miała z krymskiego czerwonego safianu.

Młodzi popatrzyli ciekawie na to cacko, a dziewczę sromając się, zakryło sobie zapłonioną twarz rękawem.

— A no, synowo, proś gości do świetlicy nowej; przybudowałem świetlicę; a nuż zdarzy się wydać wnucę, dobrze ją osadzić tu z mężem, bo my nie mamy gospodarza. Na nią wszystko przejdzie po śmierci naszej.

Handzia uciekła do sieni, wstydząc się tego, że dziad przed obcemi mówi o jej zamężciu.

Synowa poczęła przyjmować i zapraszać grzecznie gości.

— Witajcież goście drodzy, wejdźcie do świetlicy, a rozgoście się; zaraz wam tu ławkę wniesiemy; jest co jeść i pić, jest gdzie i pochodzić, ale, jak na ten raz, nie masz jeszcze na czym gości posadzić. Zaraz tu ławeczkę

przyniesie chłopak; o tak, tu postaw chłopcze, o tu, bliżej do ściany.

Sydohołowka zaciekawiony, patrzył na przybyłych i stawiał im zedel za stołem, który jakoś tu się znalazł wprzód; taczano na nim makaron, czyli *loksinę* ukraińską.

— Czemże was będziem przyjmować — mówiła dalej uprzejma a gadatliwa gosposia — co każecie, mówcie goście drodzy, co chcecie jeść, pić, rozkazujcie...Jest przepędzona, jest nalewka, jest i miód i piwo, co wolicie? A na wieczere cobyście jedli, może macie do czego apetyt? W drodze zachciewa się czasami, jak mężatce młodej mówcież diad'ku, mówcież, bo panicze młodzi...

— Nie troszcz się o nas i nie kłopotcz się nami—rzekł Kuźma;—bez wymysłów! *Chleb, sól i woda, kozacka wygoda.*, wiecie przysłowie.

— Ba! przysłowia! — rzekła śmiejąc się młodyca; — wiecie takóž inne przysłowie: że się *mowa mówi, a chleb je.*

— Sprytna młodyca — zawołał stary szewc, — kocham cię za to! Ale i ja ci powiem : *nie pytaj, a ugaszczaj.*

Kobieta wyszła prędko z izby, żeby spełnić polecenie starego teścia, a ten obracając się do gości, tak wychwalał synowę:

— Rozumna to białogłowa, czynna, praworna, robota gore zdaje się w jej ręku. W chacie u niej jakby we wianuszk; chleb wypieczony jak słońce, sama siedzi jak kwiatusek. A stateczna jaka! W stanie wdowim a szanuje się, nie włóczy się po zabawach, albo szynkach, nie napija się, pracuje: wnukę mi wychowała, ale jaką! Widzieliście? Dziewczę jak topola; piękna, choć wody sig napij, lekka jak

motylek, a jak wiatr w polu proworna. A rośnie to jak z wody, a świeże jak jagoda, a szczebioczące jak jaskółka o wschodzie. Matka ostra jak brzytew, słyszeliście sami jak się odcięła; wy mówicie: jest przysłowie takie, a ona mówi: jest i takie. O! widzisz ją! Ale córka sprytna będzie także, a wesołe to jak ów kotek młody; od rana bożego słyhać już jej głosek srebrny: to śmieje się, to wyśpiewuje, a nam starym z tego pociecha i radość! Nie dał Bóg chłopca, to musim się dziewczyną cieszyć! kiedy nie masz ryb, to i rak rybą, jak to mówią — dodał śmiejąc się cechmistrz szewskiego rzemiosła, bawiąc rozmową gości swoich.

Stara szewcowa była małomówna.

A dziewczę ukradkiem, z po za drzwi poglądało ciekawie na obcych, albo pomagało matce nosić różne traktamenta. Zwyczajem słowiańskim szewc przyjmował gości czem tylko miał, a kłaniał się z żoną i synową, prosząc by jedli i pili.

Nadszedł po zachodzie słońca Jaków Pindiur. Jak wielu Ukraińców prawego brzegu Rosi, w twarzy miał coś tatarskiego; oczy małe, na ukos przecięte, nos płaski, wargi wydatne, gęba daleko przecięta, głowa kędzierzawa, pleć smagła; mówił przeciągle, powoli i rozmową swoją wcale nie okazywał wiele sprytu. O niczem innem nie mówił, tylko o *skotynce* (bydlęciu); skoro przyszedł, dano mu jeść, zjadłszy zniknął. Kiedy Stanisław wyszedł potem na podwórze, aby się ochłodzić powietrzem świeżem, spostrzegł Jakowa ze *skotynką*; krowa duża leżała pod gruszą, a przy niej siedział Pindiur, złożony głowę na jej karku tłustym. Jaków gadał do krowy swoim przeciągłym, głupowatym głosem:

— Oto, teloszko, trochę sobie podjadłem, wypocznę i znowu do pracy; chociażem ja człowieczek nie młody, ale pracę lubię. A tyżeś napasłaś się? Pasza teraz dobra, nie ma co powiedzieć: deszcze przechodzą, to i zielenieją się łąki; potem będą rżyska, to i w jesieni napasą się i woły i krowy dowoli. Potrzeba dla *skotyńki* wygody, ona na nas pracuje, karmi nas! A ja *skotyńkę* lubię, bom ze *skotyńką* wyrósł, więc cieszę się z tego, kiedy ona ma wygodę.—Potém zamilkł, zmrużył oczy, wyciągnął się, ziewnął i mówił dalej:—siedziałbym ja z tobą teloniu moja dłużej, ale daleko mi na step iść, na nocleg, z wołami... Pójdę więc, bom ja sobie człowieczek już nie młody, nie zdążę prędko, a strach jak daleko iść.... E! gdzie! ani okiem zasiężesz!

I diad'ko Jaków powlókł się na nocleg, pędząc przed sobą woły, przemawiając coś do nich.

Po wieczery Stanisław począł rozpytywać cechmistrza o to, kto u nich w Czerkassach był gubernatorem, kto mieszkał jeszcze ze starszych.

— Gubernatorem u nas pan Sielski; dobry człowiek nasz gubernator! Nie zdziera, nie znęca się, sprawiedliwy Jest jeszcze leśniczy, dobry Lach także; a teraz jest jeszcze u nas pan namiestnik i kilku żołnierzy w zamku; pilnują tu z kozakami naszymi, bo mówią, że jakaś tędy ma przekradać się z poza Dniepru banda hajdamaków. Czuwają na nich jak na owych wilków, a oni wałęsają się to tu, to owdzie, i jak psy do kuchni, zagląдают do nas. Niedawno przebili się, mówią, hajdamacy i zaszli, słychać, gdzieś daleko, aż na Polesie, czy na Litwę; ztamtąd, z ogromną *batownią* nazad wracać będą do domu, ale którądy? tego nie wiadomo! Coraz hultajstwa tego gęścić mnoży się, jak tój

gąsienicy na wiosnę. To fu, to tam; mówią, że stają koszami, tworzą po lasach zasieki, grabią ludzi zamożnych, palą dwory, wyrzynają albo z dymem puszczają dusze niewinne.... A hołota, a czerń niepoczciwa, przystaje do nich. O takięto czasy nastały! Ale cóż? Bywa taki naprzykład człowiek, co mówi: bede mieć światłe oko kiedy poproszę, czego mi potrzeba, a bywa inny znów co mówi: a u mnie świetlejsze będzie oko kiedy ukradnę! Ale doczego te y-y-stko? Tfu! Cudzem dobrem nie wzbogacisz się; mądrze mówi przysłowie stare, że *na cudze dobro wylejesz lez wiadro!* O! widzieliśmy takie rzeczy! Ot tak jak ten wicher, co zerwie się w stepie, i leci niewiadomo dokąd, to tak rozlatują się owe bogactwa z cudzego dobra nagromadzone: giną jak ślina na wodzie!

Stary lubił gadać obszernie, a Kuźnia słuchał go nie przerywając mu mowy, bo sam zwykle milczeć lubił; potakiwał mu tylko czasami. Stanisław słuchał ciekawie wszystkiego, a Ignacy chrapał już oddawna na wozie obok Wąsiki. Stanisławowi podobała się bardzo ta postać piękna, poważna cechmistrza starego, domek gościnnie, krzątające się kobiety i ta urocza Handzia z oczami świeącemi i uśmiechniętymi ustami.

Na drug\ dzień raniutko, obaj młodzi przybrawszy się starannie, udali się do kwatery pana namiestnika, na zanku; mieszkał on w jednej z oticyn.

Wszedłszy do pierwszej izby pustej a opylonej, uderzył ich w oczy tylko komin duży, na którym tlał ogień, a przy nim gotował się garnek spory; krzątał się przy nim stary jakiś sługus, dmuchał w węgle, od czego nie mało miał popiołu na czuprynie nie czesanej, w wąsach i brodzie niegolonej oddawna. U drzwi na wieszadłach zawieszane były: harap, kurtka lisia, trąbka, czapka i pasek

rzemienny. Młodzi spytali o pana namiestnika. Nie obracając się do przybyłych, sługa dmuchał wciąż ogień, aż mu oczy i twarz poczerwieniały, a kiedy ci powtórzyli pytania, on z nieukontentowaniem odezwał się do nich:

— Ta, czegoż tam? Pan modli się: nie można.

— Chcielibyśmy się widzieć, mamy interes.

— To zaczekajcie aż się pan pomodli; z Panem Bogiem ważniejsza i pilniejsza pono sprawa, jak z ichmościami.

I znowu dmuchał w ogień tak silnie, jakby miechem dął.

W drugiej izbie dało się słyszeć nareszcie chrząkanie, czyjeś kroki, a wkrótce głos łagodny:

— Michale!

— Słucham — odpowiedział czerwony od dęcia sługa, przestając dmuchać.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! — odezwał się znowu głos z drugiej izby.

— Na wieki wieków amen! — odpowiedział Michał.

— Dobry dzień ci Michale!

— Dobry dzień jegomości; a jeść chce jegomość? Oś! już piwo prędko się zagrzeje, tylko na kominie coś palić się nie chce; zdmuchałem się przy nim jegomościuniu jak ten szelma!

— O! waśc Michale, mówisz piwa: od piwa, mówią, głowa siwa!

— At! gadaj sobie jegomość zdrów. Rozumny to musiał być człowiek co te piwsko wymyślił... Ale, daj Boże pamięć! Na wieki zapomniałem! Taż to do jegomości jakiegoś młodziki poprzychodzili i już mię tu z pół godziny nudzą, stoją nad karkiem.

— A proś ich tu, Michale, do mnie.

Chociaż ta rozmowa pana ze sługą, z jednćj izby do dragiśj, toczyła się w obecności przybyłych, a głosem donośnym, Michał przecież uznał za rzecz konieczną, tę decyzję pańską od siebie im objawić.

— A no ! idźcież tedy teraz aspanowie do jegomości-rzekł odwracając się od komina do młodych aspirantów rycerskiego zawodu; —idźcie, już można, jegomości wstał już i modlitwy ukończył.

Młodzi otworzyli drzwi i znaleźli się w drugiej izbie. Pokój ten obszerniejszy był od antekamery i schludniejszy; w zacisznym kąciku stało łóże. zasłane skórą niedźwiedzią, suknem podszytą; musiała ona służyć także namiestnikowi zamiast czapraka, albo burki; poduszka skórzana, w głowach łóža relikwiarzyk, N. Panna Berdyczowska na blasze, na tle złotem malowana, do noszenia na piersiach i różaniec; od ściany makata, a na niej była zawieszona szabla, kindżał turecki, janczarka i para pistoletów srebrem okutych; opodał trochę na policy siodło i rynsztunek cały na konia. U okna stolik, a na nim książka do nabożeństwa i Żywoty ŚŚ. ks. Piotra Skargi. Obok warcabnica, ulubiona zabawa pana namiestnika. Utrzymywał on, że jest to rozrywka prawdziwie przyzwoita mężowi rzemiosła rycerskiego; ten bowiem co się nie da złowić na tej desce przeciwnikowi swemu, podola także nieprzyjacielowi w polu i da mu *mata* w potrzebie wojennej.

Pan Wilczopolski oddawna służył na kresach, zestarzał się na podjazdach hajdamackich, a zestarzał się w stanie kawalerskim, i nie dziwota, że zdziwaczał trochę w końcu. Michał stary był jego giermkim wiernym, był jego *Mes Achates* zarazem, sługą i przyjacielem najszczer-

szym. Giermek wielkie miał wyobrażenie o swoim panu; często lubił powtarzać, kto tylko tego chciał słuchać: „jak nasz jegomość, to takiego pono na świecie całym niernasz! A dusza z niego poczciwa i rycerz taki jakiego ze świecą poszukać!”

Młodzi zarekomendowali się panu naczelnikowi; Stanisław dał mu pisma, polecające go wraz z kolegą jego względem i łasce namiestnika, od porucznika i starosty.

Stary wziął je, popatrzył na adres najprzód, potem opatrzył pieczęć, położył na stole, zażył tabaki, potem odpieczętował je i czytał powoli, włożywszy na nos okulary, a aspiranci tymczasem przypatrywali się jego postaci uważnie i z pewną nawet bojaźnią wewnętrzną, zwyczajnie jako ci, co wchodzą w świat dopiero z zapiecka domowego, przykładając wielkie znaczenie, jak Pan Bóg przykazał do słów: *naczelnik, rygor i karność wojskowa*.

Pan namiestnik był to stary wyga, suchy, wysoki, łyśy na ciemieniu, szpakowaty, z dużym nosem zatabaczonym, z oczami cebulowato wypukłymi. z wąsami tęgiemi, mającemi w sobie tę anomalię, że wąs prawy był biały prawie, gdy lewy zaledwo był naznaczony szpakowacizną. Dwaj młodzieńcy spostrzegli jeszcze to w fizyonomii naczelnika, że kiedy czytał, to odstawiał, to ściągał wargi, a okiem prawem wciąż mrugał.

Odczytawszy listy, namiestnik włożył je każdy z osobna do kopert, wziął potem pióro z kałamarza stojącego na oknie, dmuchnął w nie i napisał z wierzchu na każdej kopercie dużemi literami od kogo był list i w jakiej materii on traktował. Pisząc, kolejno przekrzywił głowę to na prawo, to na lewo. Ukończywszy pisanie, otarł pióro

we włosach własnych, rosnących mu za uchem nieco wichrowało, położył je na swojera miejscu, popatrzywszy wprzód do okna Wrozkłucie jego, czy nie masz czasami jakiego włoska, Obracając się nareszcie do przybyłych przemówił do nich w te słowa:

— Witam, *nalete!* Pięknie to, że młode serca pałają ogniem ku obronie granic ojczyzny; w porę, w porę! Oby jak najwięcej takich! Widzicie waspanowie teraz *politica* taka: *system, natura i okoliczności!* Siadajcież, a najśain-przód uściskajmy się moje dzieci, boście odtąd dziećmi memi; polecają mi was memu sercu, więc miejcie dla mnie afekt synowski, a ja z mojej strony będę miłował was po ojcowski; ale czuj duch! rygor! karność! Taki system, natura i okoliczności posługi wojskowej.

Młodzi ucałowali pełni uszanowania ramię staruszka, a on ich pocałował w głowę i przeżegnał każdego z osobna.

-- Poczynajcież z Bogiem chłopcy moje! Niech wam Bóg i Matka Jego Przenajświętsza błogosławią w tym stanie. Stan rycerski, to stan święty, stan kapłański prawie; tak nas uczono dawniej, więc przystępować doń należy z sercem czystym a skruszonym. Jutro więc przystąpicie do sakramentów pokuty i stołu Pańskiego na tę intencją, a ja poproszę księdza kapelana o mszę dla was. A znacie wy nabożeństwo żołnierskie ks. Skargi? Dam wam je. O! moi wojacy, kochajcie Boga, kochajcie kraj, a wszystko będzie jak należy.* O! bo to widzicie dziś system, natura i okoliczności wcale są nam nieprzyjazne; i ta konfederacya, uważacie wacpanowie, nic potem.

Namiestnik oczy miał załzawione.

— Siadajcież—• dodał — siadajcież, pogadamy z sobą trochę. Dotąd miałem o was *scripta*; teraz niech będą *cer-*

ba; ale *verba volant et scripta roiont*. a pamiętajcie waszmoście o tern dobrze, że tylko *facia mamut* Niechże więc te *facta* będą zacne, aby o nich sława pocziwa pozostać mogła kiedyś i przejść *ad posteros*; ma się rozumieć, jeżeli tylko system, natura i okoliczności dopuszczą tego. Od nich wszystko zależy na świecie.

Stanisław pytał naczelnika o stan pogranicza.

— Ha! hultajstwo z Żaporoża i od strony zadnieprza przekrada się ustawicznie do Polski; *rumores* rosna różne w tej mierze; donoszą o ludziach złej woli, fomentujących lud nasz i zachęcających do rebellii. Zajęcie kraju przez wojska obce, wydaje się im być na rękę do tego kroku.

— I cóż lud?

— Lud stateczny nie myśli o tern; czuje on z nami, ale hołota co zawsze jest gotowa w mętnej wodzie ryby łowić, ta coś szepcze, zmyka za kresę i zaprowadza kontakty z łotrzykami pola dzikiego. Pisaliśmy z panem gubernatorem w tej mierze do koszowego zaporozskiego wojska; posłaliśmy mu przytem podarki, jako też i panu pisarzowi siczowemu; on odpisał: że z Rzeczpospolitą i z ekonomią starostwa Czerkasskiego chce żyć w zgodzie świętej i przyjaźni sąsiedzkiej; co się zaś dotyczy owych łotrzyków, to są to zbiegi koszowi, którzy, jeżeli się tylko pokażą na ich terytorium wojska zaporozskiego, będą imani i przykładnie ukarani w Siczy, wedle ich prawa. Dodał przytem, że nie tylko ziemie polskie uskarżają się na to, ale że także rząd cesarzowej jejmości upominał o to Sicz, że hultaje z niej wyszli rabują i palą na zadnieprzu państwu rossyjskiemu uległem. Taki to już widać system, natura i okoliczności, proszę waspanówi

Tu dobył p. namiestnik różka, oprawnego w srebro, ze sprężynką, nasypał sobie z niego na dwa palce, razem z sobą złożone tabaki, pociągnął z nich najprzód jednym nozdrzem, potem aby znać nie czynić krzywdy drugiemu, drugiein i rzekł obracając się do gości: — a może pozwolicie waszmość tabaczki? Dobra, spreparowana przez mego Michała.

— Nie zażywamy jej, dziękujemy unizenie panu namiestnikowi.

— Nie zażywacie? tak! młodzi jeszcze jesteście; tandem tedy, kiedyś dopiero przyjdzie ku temu czas właściwy. Jest to rzecz przednia, jedyne *.solatium* w troskach żywota i rozrywka skuteczna w samotności. Stojąc na czatach, w nocy, w niepogodę, na mrozie, czy w słotę, zażywszy tego proszku, rzeźwiej się robi w duszy, a sen odbiega z oczu.

Po tem posłuchaniu, dwaj nowicyusze pożegnali naczelnika. Przy rozstaniu z Ignacym p. namiestnik tak doń przemówił:—żegnam waści, jeżeliś nie jest niemy, to skromny z waści musi być chłopak; ale trochę mowy nic nie szkodzi. Ale może to już jest taki waścín system, natura i okoliczności! Wreszcie uczono nas w szkole: masz dwie uszów, a jedną gębę, abyś więcej słuchał jak mówił. A no! może to jest i z lepszem dla żołnierza: milcz! *silentium!* a czuwaj, a bądź bacznym, a bądź ostrożnym! *Caute miles proceclas ut...ut...et cetera, et cetera* — rzekł wreszcie machając ręką, nie mogąc sobie przypomnieć naprędce jakiejś cytacyi łacińskiej.—Nie pomnę dobrze, ale wiem to, że jąst wyborna w tej mierze myśl pewnego pisarza rzymskiego. Rzymianie był to lud rycerski: szeroce o tein w Liviuszu. Takie już snąc były wówczas system, natura i okoliczności! A nie zapomnijcie o kaplicy i o przygotowaniu

się nalezytem na jutro do Sakramentów świętych —dodał wracając już powtórnie do antekamery p. Wilczopolski, ale już nie zastał tam gości swoich.

— O! już niema! Fiu! fiu! polecieli jak ptaszki. Oj! młodość, młodość! W niej widać inne są wcale system, natura i okoliczności!

— A samo z siebie, jegomość, że inne — dodał stary Michał.—To ogień! proch! - i machnął ręką. — Statku ani za grosz! Tabaki nie zażywają, słyszałem! At! zwyczajnie mleko pod nosem, z przeproszeniem jegomościa; i to niby mają niby ochotę do żołnierki! pozał się tylko Boże! Także kuchta do patyny!

— Nic dorzeczy gadasz , Michale. Człowiek młody, *juvenis*, potem mąż, *vir*, a nareszcie starzec doświadczony, *senex*. Uprzedzenie; piwo młode musuje, ale się wreszcie wyszumi: taki już system, natura i okoliczności...

— Ot, przyznam się jegomości, że od czasu jak mi czupryna pobielala, czegoś nie lubię ja młodych; ot tak markotno mi zaraz robi się jakoś na sercu, patrząc tylko na nich; lepiej pono byłoby, gdyby ludzie odrazu rodzili się w wieku przyzwoitym.

Wracając do kwatery nasi młodzi znajomi, posłyszeli zdała muzykę; lud się zbiegał, kupił, patrzył, śmiał się. Zatrzymali się więc, aby się dowiedzieć, co to ściągało na siebie ciekawość taką mieszkańców Czerkas. Poczekawszy chwilę, ujrzeli długi wóz myśliwski, zaprzężony szóstką w lejc, na nim siedziało ludzi z dziesiątek; na przodzie obok furmana siedziało dwóch muzykusów i grali, jeden na skrzypkach, drugi na klarynecie, trzeci wtórzył na waltorni, a żyd w takt uderzał talerzami mosiężnymi, *alias*

żelami. Myśleli z początku Stanisław z Ignacym, że spotkali się z weselem żydowskim; ale przypatrzwszy się lepiej, ujrzeni na wozie psy, a potem poznali całą kompanię myśliwską: pp. Joachima, Franciszka, Kałacera, Piusa, Daniłka, Jakóbka, Jankiela, a nareszcie poznali w pośrodku siedzącego pana Błażeja, przebranego wprawdzie po polsku, ale jeszcze w fezie tureckim na głowie, którego kutasem wywijał na lewo i na prawo, znacząc ruchami głowy takt muzyce. Drzemiący cześnik mruczał tylko pod nosem—du—du—du—du! a wyprostowany pan Franciszek siedział milczący, bez znaku wszelkiej myśli na twarzy: spostrzegłszy tylko w ulicy dwóch znajomych sobie młodzieńców, wymówił ze zwykłym sobie akcentem przedkim a oderwanym: — O to! — A kiedy ci witali cześnika, pan Franciszek wymówił do nich te tylko słowa: — A jak Boga mego kocham i — i — i — i — jak najpijańszy!

Przyszli do kwatery i nie zastali Kuźmy w domu; poprosił on do gospody starego cechmistrza, aby go tam odczęstować nawzajem. Powróciwszy, mówił Stanisławowi: jakże? tak wypadło! *Cudzy łeb skubiąc, potrzeba i swego nadstawić.*

Nie znalazłszy więc nikogo w świetlicy, Stanisław udał się naprzeciwko; tam zastał Sydohołowka pracującego przy ławeczce przed oknem, a siedzącego na niziutkim zedelku. Szył on *safiańce*, (buty z safianu) dla jakiejś dziewczyny; jednego już był ukończył i podbijał właśnie pod niego wysoką podkówkę stalową, a nad obcasem założył pasek z pióra gęsiego, odwarzonego w mleku; przez przezroczystą jego powłokę odbijała się barwa karmazynowa safianu i mieniła się ślicznie, gdyby macica perłowa.

Drugi szewczyk żuł właśnie zębami podeszew, aby ją uczynić miększą i lepiej przystającą do kopyta.

Młodzi kawalerowie przysiedli się do szewczyków i zawiązali z nimi rozmowę, oczekując na przybycie Kuźmy.

Sydohołowka nucił pracując nad bucikami krasawicy, różne piosenki zastosowane do bucików czerwonych i do stalowych podkówek; zapewne śpiewając je, miał on w myśli jakąś parę nóżek, wycinającą wybornie tropaka w tańcu. Od bucików przechodził on i do trzewików, ale zawsze tropaczek skaczący tu i owdzie i przystukujący w takt muzyce, wycinać musiał mu po głowie hołubce, bo w końcu zwracał się ustawicznie do jednej a tej samej zwrotki:

Czerewyczki ne wełyczki,
Za odnoho pjataczka,
Szczob mała czem wybywaty
Pred chłopciami tropaczka.

Kiedy piosnka zbyt już żywo rozkołysała chłopcu wyobraźnię, kiedy mu się wydawało, że wywijają z dziewczyną w tańcu, wtedy porywał młotek i przybijając nim sztyft do obcasika, bił w takt skocznej nuty kozaczka.

— Ale to u was muzyka, nie robota — mówił śmiejąc się Staś do szewczyka.

— O! u nas tak zawsze! Milcząc, na śmierćby się zanudzić przyszło.

— Zwłaszcza kiedy idą do głowy tańce niedzielne — dodawał tenże.

— A tak. Na niedzielę sześć dni się czeka.

— A dziewczęta u was ładne? — spytał Ignacy—strach jak lubię tropaka, hołubce i ładne dziewczęta! Nie mało

pan ojciec i pobili mię za te marności światowe, chcąc ni-
by tem mię przekonać, że duchowny. Ale pan ojciec
swoje, a czart swoje, a w końcu taki na moje wyszło. Te-
raz tylko nie wiem, jak tam będzie z tą wojaczką. Jeżeli
strawa będzie dobra, kwatery ciepła, a na *muzyki* wychy-
lić się będzie można, a no! jakoś to ono pójdzie z tą woja-
czką: nie święci garnki lepią.

— Kiedyżbo to teraz czas niespokojny na kresach,
i często gęsto innego przychodzi tam skakać tańca,
— rzekł *rechocząc* szewczyk, wypuściwszy z gęby pode-
szew.

— A jakiegoż tam tańczą?

— Tatarskiego, albo drabanta....

— Cóż to trudny taki? Może potrzeba w przy-
siudy?

— Do samej ziemi nieraz schylić się przychodzi

— A! wybo mówicie o bitwach, ha cóż? Jak potrzeba
się bić, to potrzeba; zapewne dla nowicyusza będzie to z począ-
tku rzecz nie zabawna i nieprzyjemna, ale do wszystkiego
w końcu przywyknąć można, byle tylko nie do Alwara, bo
to twardy suchar, ani go ugryziesz! No! a wasza Ha-
la, wesołe jakie stworzeńko, do tańca ochocza, spry-
tna?

Sydohółowka zmięszął się, pobladł trochę, potem
poczerwieniał znowu i wreszcie wymówił dość niewyra-
źnie:

— O tak jak widzicie.

— A niczego sobie wcale dziewczyna! — ciągnął dalej
Ignacy.—Z nią możnaby się było pobawić z przyjemno-
ścią; gdzież tu u was zbierają się na tańce, daleko
zład?

Ale Sydohołowka nie odpowiadał już na pytanie, szył pilnie, aż się zginał nad robotą, a ręce jego odskakiwały od niego jak sprężyny, zupełnie jakby niemi odpychał od Hali rywalów.

Stanisław odgadł odrazu tajemnicę serca Sydohołowka. Drugi szewczyk śmiał się pocichu, schylając się nad robotą, i on odpowiedział na pytanie Ignacego, że Hala sprytna dziewczyna i do wszystkiego: ostra jak brzytew, pełna zapалу jak ogień, a w tańcu nieporównana: siecze drobniutko podkówkami, a okręcając się z parobkiem, здаje się, że się do ziemi nie dotyka. Następnie, poglądając z ukosa na Sydohołówkę, począł nucić kozaczka z djabelską muzyką, jakby wicher stepowy, unoszącą pary namiętne w tańcu, akompaniując sobie przytem w takt młoteczką:

Halu, Halu czornobrywa,
Czoho w tebe browa krywa?
Na kozaka zadywyłaś
I browońka izkrywyłaś!

Wtem, w takt, oprócz młoteczka szewczyka, poczęły wystukiwać nizkie podkówki stalowe; wszyscy obrócili się i zobaczyli za sobą Halę, która idąc z ogrodu przez drzwi otworzone na rozcież, a słysząc taką muzykę porywającą, wzięła się ręką prawą pod boczek, i przebiegła przez izbę w drobniutkim kozaczku. Tak to stało się niespodzianie, a Hala tak była przytem powabną, że szewczyk opuścił mimowolnie młoteczek, zapatrzywszy się na czarnobrewę czarodziejkę i muzyka ustała.

— Dobry dzień wam, panicze! — odezwała się ceclimistrzówna. — Cóż to tu za besedę zaprowadziliście? Czy może wesele czyje obchodzicie? — rzekła uśmiechając się figlarnie.—Czemużeście mię na družkę nie poprosili? Nie

byłam nigdy družką, a mówią, że kobieta co nie była nigdy družką na weselu, na tamtym świecie sukę za ogon ciągnąć będzie....

I zaśmiała się tak ślicznie, takim świeżym głosem, a tak uroczo przytem śmiała się oczkami czarnymi, których białka świeciły jak macica perłowa, że wszyscy młodzi napatrzeć się na nią nie mogli.

Jeden tylko Sydohołowko szył odwrócony do okna, chociaż tak pobladł jak ściana.

— Czy to Sydohołowko się żeni? — pytała dalej swawolnica.—Niechże wam Bóg dopomaga Semenie, daj wam Boże czas dobry! Cóż tak milczycie? Czy nie kochacie swojej dziewczyny, czy może gwałtem wydają ją za was? Poczekajcież, ja wam zaśpiewam, jako družka, piosenkę weselną; i tu poczęło dziewczę śpiewać, wysokim, ale czystym głosem:

Odkłamałaś bi taj a bereza,

Przyjście matki przerwało tę zabawę; wkrótce nadciągnęli Kuźma i szewc stary; byli w dobrym humorze, ścisnęli się, całowali i oświadczyli się wzajemnie z przyjaźnią.

Stanisław począł rozpytywać pana cechmistrza, gdzieby radził stanąć kwaterą, bo chociaż mu zapewne wyznacza ją jako towarzyszowi, ale on wolałby obrać ją sobie i płacić za nią komorne, aby nie być ciężarem nikomu.

— Rozumne słowo twoje! Rozumne słowo i serce twoje złote, mój synku! — rzekł starzec trunkiem rozgrzany. — Na co ci gniew ludzki, albo krzywda bliźniego, albo to żeby na twoją główkę młodą zły wzrok upadł, albo żeby ciężkiem tchnieniem zionęli na ciebie? Na co ci to synku,

pytam, na co? Chodźże tu, niech cię pocałuję za to, niech cię uścisknę i pobłogosławię za twoje słowo mądre, a poczciwe.—Tu starzec uściskał głowę młodzieńca rękoma i przyciągnawszy go do siebie, pocałował w czoło, a potem przeżegnał pobożnie i wyrzekł:— Niech ci Bóg dopomoże, gdzie ty jeno nogą stąpisz i z mową twoją się obrócisz !

— Lubię i kocham cię za to!—dodał jeszcze raz potem popatrzawszy mu w oczy pilnie; — szlachetne serce, laska krew! Ale, co się dotyczy kwatery, po cóż *detyno* moja masz jej szukać sobie? Czyżeśmy cię czem obrazili, czyśmy ci obmierzli, czy dokuczylimy, czy co? Jest u nas świetlica odrębna, czysta, zdrowa, mieszkaj w niej sobie dopóki ci potrzeba będzie tu pomiędzy nami przebywać, w zdrowiu a szczęściu i dopóki starego cechmistrza szewskiego cechu, w Czerkassach, Charka, stanie na tym świecie, bo po mojej śmierci nie wiem jak tam ono będzie!

1 tu machnął stary ręką. A pomilczawszy, obrócił się da Kuźmy z zapytaniem:

— A czy prawdę ja mówię, Kuźmo, kozacze stary? Czy sprawiedliwie mówi stary cechmistrz Charko? Powiedzcie wy sami, druhu serdeczny, co wy myślicie w tej mierze?

— Co to już i mówić! — odpowiedział Kuźma; — wy mówicie mądrze, tak jak Pan Bóg przykazał; ale z drugiej strony, widzicie panie cechmistrzu, im znowu nie wypada być wam ciężarem.

— Ale jakież to ciężar, gdy się gościa w dom przyjmie?

— Gość i nie gość — rzekł Stanisław śmiejąc się i biorąc starca za rękę—a u nas, dziaduniu, przysłowie:

do trzech dni gość i ryba śmierdzą. Kwaterę z serca przyjmuję, dopóty, dopóki będę wam miłym gościem, ale komorne płacić będę.

— Gościnnność nie sprzedaje się! Czyżeśmy żydzi, czyżeśmy Tatarzy, czyżeśmy poganie, Boże uchwaj, jacy, czy co? Brać pieniądze! Za co? na co? po co? Tfu! — I stary kręcił z wolna poważną głową swoją.

— Oto tak, panie cechmistrzu — wtrącił Kuźma, biorąc starego za rękę także;—światlica próżna, mówicie, więc dobrze, przyjmuje się ją; pan towarzysz kąta wam nie zależy, zgoda, ale strawne, to co inszego, przyznacie sami! Dopóki gość, to gość, ale w lcońu pora i cześć znać. Więc światlica darmo, a strawne dawać będą na siebie pan Stanisław i pan Ignacy, bo razem z sobą mieszkać mają.

— No, niechby jeden panicz; mniejsza z tem, ale za cóż drugi? Wszak to kapłańskie dziecię, jak od was samych to słyszałem, więc grzech brać od niego grosz, z ofiar pobożnych zebrany. Żono, synowo, proście niech nam tej krzywdy nie czynią; wszak co mamy, mamy-to z Bożej łaski, darem: czyżeśmy nie wolni z człowiekiem dobrym, chlebem się przełamać? Przełamaliśmy się z sobą sercem, dlaczegóż mamy mu potem nasz chleb, sól sprzedawać. Ofiarujecie mi grosze: co mi tam grosze wasze! Na co mi one! Jest Bogu chwała w skrzyni trochę groszy, dość będzie ich dla wnuki na posag, a po mojej śmierci z sobą do trumny i na tamten świat nie zabiorę!

Szewcowa z synową kłaniali się nisko, prosząc o przyjęcie gościnnego kąta pod ich dachem, ale Stanisław był stały.

— Nie, dziaduniu, wy macie swoją cześć, a my mamy naszą, której niegodzi się nam naruszyć. Jeżeli nie chcecie od nas strawnego, to poszukamy sobie innego schronienia.

— I nie grzech wam krzywdzić starego, rzucać go, wynosić się od niego gdzieś do żyda, może na miasteczko, —mówił ze łzami staruszek.

— Honor nie pozwala, dziaduniu; honor nie pozwala.

— Honor! Ej! Lachu ty serdeczny, młody, a niedoświadczony. Bodajesz sto lat żył! Mówisz, honor ci nie pozwala! Ej! nie nasz to honor! U nas kiedy kogo chcemy uczcić, to łączymy się z nim sercem przy czarce na *uczcie*; wtedy wszystko u nas wspólne, nie masz tego, co twoje, a moje; wszystko wtedy oddam temu kogo miłuję, choćby to od serca przyszło odkołupać i odedrzeć oddam mu, krew moją za niego wyleję. To cześć stara! cześć co łączy z sobą; a wasz honor, Lachy, dzieli widzę po staremu. Jam cię uczcił sercem jak syna, a ty się wstydzisz mojej łyżki i czarki! Dajesz mi grosze za chleb mój. Co mi te grosze twoje, ja pluję na nie jak na srebrniki Judaszowe!

I stary płakał cicho, oparłszy się łokciami na stole.

— Nie sprzeciwiajcie się paniczu staremu diduniowi memu—prosiła Hala Stanisława, składając ręce przed nim, — nie sprzeciwiajcie się jego duszy sprawiedliwej. Jekżebo można! On was kocha, a wy mu o groszach mówicie.

I Hala i Staś, oboje mieli łzy w oczach, oboje przystąpili do starego, starając się słowy przyjaźnemi rozegnać boleść jego serca.

Tak to sobie zostało; na drugi dzień ułożyło się w ten sposób, że młodzi panowie mieli się stołować razem z na-

miestnikiem, a mieszkać uceckmistrza; wreszcie i cechmistrz po trzeźwemu, nie brał już tego tak gorąco do serca.

Na drugi dzień Kuźma wybierał się w drogę do domu: Stanisław i Ignacy napisali listy, uścisnęli kozaka staro-ego i wyprawili wreszcie od siebie. Wózek i dwaj ludzie co łączyli Stanisława z domem jego przybranym znikli mu z oczów, zostawiając go na nowo samego na świecie Bożym. Dopóki byli Kuźma z Wasylem, dopóty zdawało mu się, że jeszcze wróci do domu starosty, że to tak tylko, na chwilę wychylił się z niego jak pisklę z ciepłego gniazdka.

Tęsknota nieopisana objęła go za serce: żal mu było życia ubiegłego, w jednej chwili przeszłość jego cała sta-nęła mu jakby obraz przed oczami duszy; sieroctwo, dom Gabiży, potem szkolne czasy, a nareszcie starościna i jej oczy, świecące miłością macierzyńską, a potem postać ślicznej Kostusi, wysuwały się z głębi duszy.

Rzecz dziwna! Kiedy był w domu starosty, nieraz nudziło się mu, tęsknił często: życie to, jakie tam pędził, wydawało mu się monotonne i bezbarwne. Dziś, kiedy pozostał sam, to życia jakby zabrakło sercu jego. A jakże wydawało się urocze, śliczne! Jak świeże były te miejsca kochane, jak miłemi ludzie co tam żyli; gdyby pies nawet przybiegł niespodzianie ztamtąd, zdawało mu się, żeby go do serca przycisnął jak przyjaciela. Jakże był szczęśliwy kiedy przyśnił mu się doin dobrodziejów jego. Przy-stępując do spowiedzi modlił się na książce danej mu na wyjezdnem przez Kostusią i tak się rozrzewnił, że płakał jak dziecko. O! bo też była to jeszcze czysta dziecinna dusza! Wiele w niej było sił nieużytych!

W świetlicy swojej Stanisław wszystko tak starał się ustawić, aby powierzchowność mieszkania przypominała mu maluczką izdebkę jego, zajmowaną w zamku dołhobrudz-

kim. Nieraz budząc się, przypominał sobie ów sen czynajawie, jakie miał tej nocy, w której miał opuścić dom starosty, mimowoli szukał na czole swoim tej łzy, której obecność jakby czuł na niem zawsze.

Ilekróć tylko był sam, wolny od zajęć służbowych, tyle razy dumał o tych drogich sobie osobach, które opuścił i Bóg wie czy kiedy miał się z nimi zobaczyć. Żeby się rozerwać, brał się do swoich ksiązek, do poetów rzymskich, albo puszczał się konno w okolice malownicze miasteczka.

XX

Jakież było życie naszych młodych w Czerkasach; ma-
neż, ćwiczenia bronią pod okiem namiestnika, obiad; potem
wracał Stanisław do siebie, a Ignacy szukał sobie jeszcze
gdzieindziej rozrywki, w kole żołnierzy. Ci co lubili kieli-
szek, a kto go nie lubił w tym czasie, bywali w kwaterze
panów Joachima i Franciszka. Pan Joachim od oficera ros-
syjskiego nabył wielką osobliwość: pierwszy samowar, jaki
tu widziano i pół funta herbaty. Zapraszał więc wszystkich
do siebie na herbatę pan cześnik, której sypał do imbryka
homeopatycznie, ale dla smaku dolewał do tego innych kor-
dyałów, araku, wódki francuzkiej, nalewki, spirytusu, a cza-
sami i prostej gorzałki, jeżeli nie było nic lepszego pod rę-
ką, która nosiła w kole pana Puszczy najrozmaitsze nazwa-
nia, jako *balsamu de Moszho*, ordynarnej, pepówki i t. d.

Sławne były figle pana Puszczy, jakie płał u siebie,
tym zwłaszcza, którzy nie gniewali się wcale za to, kiedy
ich spojono figlem.

Był tam paroch jeden, unita, który lubił bardzo towa-
rzystwo pana cześnika; wzajemnie cześnik kochał go na za-
bój. Paroch był niewielkiego wzrostu, gruby jak beczka
i ciągnął jak beczka; zwano go nie pamiętam już jak, ale

w gronie pana Puszczy znano go pod imieniem księdza Bibuły. Nie kontenta była z tej ścisłej przyjaźni z p. Puszczą żona tego duchownego męża, i jak mógł wykradał się od niej. Razu jednego wyjechał był z domu do pana cześnika w sobotę po obiedzie, mając wieczorem stawić się z powrotem dla nabożeństwa niedzielnego. Tak rachował nasz księżyna bez pana cześnika; ten dowiedziawszy się o tem, postanowił go trzymać u siebie przez tydzień cały, do następnej soboty. Ale jak tego dokazać? Oto dopomógł mu do tego ów sławny, a jedyny na całą Rzeczpospolitą samowar. Było to zimno; kiedy ksiądz się spieszył, pan cześnik nie puszczał go od herbaty; zamknięto okiennice, wniesiono świece, podano samowar; po herbacie, o księżycu, miał parochi wrócić na łono żony i powierzonej sobie owczarni. Nalano szklanki, okazało się wiele rumu w tej, co była przeznaczoną dla księdza; więc mu radził cześnik dodać cukru, aby osłodzić; gdy to nie pomogło, radził mu dolać wody z samowara: była jeszcze mocna, więc znowu do samowara, i tak pito długo, drzemano i spano i pito znowu, samowar wrzał i kipiał i buchał parą ustawicznie, a księżyc nie wschodził; świece się dopalały i stawiano nowe, a ksiądz Bibuła nie mógł sobie rozpuścić należycie mocnej herbaty z rumem. Nareszcie wyrwał się paroch i wrócił do żony; ale dobrodziejka z góry napadła na niego za to, że się włóczył po pijatykach i czego mu się dotąd nie zdarzało, mszę niedzielną nawet opuścił.

— Kobieto! — zawołał ks. Bibuła — co ci w głowie, wszakże to dziś sobota.

- Sobota ! Zapewne, ale tamtą sobotę zjadłeś czy przepiłeś, bibuło jakiś, wraz z niedzielą i nabożeństwem.

Okazało się, że ksiądz Bibuła u samowara czarodziej-
skiego czekał tydzień cały na księżyc i nie mógł sobie
przez ten czas dolać zeń do miary wody, a to dla tej pro-
stej racyi, że w samowarze wrzał czysty spirytus. Cześ-
nik tłumaczył się tak: tyś księżę duchowny, a duch po ła-
cinie *spiritus*, więc postąpiłem jak uczciwość każe.

>

Drugim sławnym figlem, spletanym księdzu Bibule by-
ła exorta, którą on zaczął mówić na pogrzebie pewnym.
Przed wyprowadzeniem zwłok z kościoła, pan Puszcza za-
gabnął księdza:

— Czemu księżuniu nie powiesz exorty? możeby ci za
nią kapnęło co do kieszeni.

— A czemuż cześniku nie powiedziałaś mi wprzód,
tobym się przygotował.

— E! na co ci księżuniu mózgami kręcić, ja ci dam
gotową, drukowaną, przeczytasz i koniec, bez wszelkich ce-
regieli. Oto masz.

i

Ksiądz i rad był temu, że będzie czytał z drukowane-
go: jakoś mu to szło gładziej, więc wziął od p. Puszczy
papier i schował go w zanadrze, bo już pora była wycho-
dzić. Na cmentarzu, ksiądz stanął, przeżegnał się i począł
czytać w głos:

— Pozwólcie mi, panowie bracia, wnieść głos w tem
kole sejmikującej szlachty przesławnego województwa ki-
jowskiego....

Ksiądz zmięszął się i zacofał; był to głos jakiegoś ora-
tora na sejmiku miany.

Pan Puszcza, nieodstępujący księdza ani na chwilę,
podsunął mu poważnie krzesło, wymówiwszy w głos: sia-
dajże księżuniu. Ale rozgniewany orator zwinął papier,
schował go w zanadrze, a obracając się do Puszczy, od-
rzekł mu: „Otoś kiep cześniku, bodajeś się skręcił;" a to wy-

rzekłszy, zaintonował pieśń pogrzebową i kondukt ruszył ku cmentarzowi.

Był to rodzaj intermedyi, który jednakże zgorszył wszystkich przytomnych: chciano go nawet skarżyć o to, ale jakoś to się potem zatarło, za wdaniem się przyjaciół i krewnych cześnika. Bo też nie był wcale p. cześnik liberynym, a zrobił to, jak sam się tłumaczył po ukraińsku: z *duru*.

Stanisław nie uczęszczał do pana Puszczy, i wzajemnie cześnik nie bardzo go zapraszał do siebie, mówiąc o nim: *mała detyna, nechcij persze uczyfsia*. Wolał raczej bywać z p. namiestnikiem u gubernatora w zamku. Gubernator, człowiek stary, lubił odgrywać rolę męża uczonego i mówić o tern, co kiedyś, dawno bardzo, słyszał na ławicy szkolnej, a potem prawie całkiem zapomniał, jak to się zwykle w świecie praktykuje.

W zamku była komnata jedna wyporządzona lepiej lat temu kilkanaście, na przybycie księcia starosty. Ściany tej komnaty wyklejone były obiciem zagrańicznem, wyobrażającym sceny z życia kolonialnego, bardzo żywo oddane. Ładne to były wcale widoki, duże, całą ścianę sobą obejmujące; na każdym widziałeś najprzód morze niezasięgnięte okiem, potem brzeg górzysty; z wierzchołka góry jednej buchały dymy wulkanu, dalej urwiska porośłe palmami wysmukłemu i roślinnością rozkoszną, zwyczajną krajom podzwrotnikowym; z drzewa na drzewo przelatywały papugi, a w kąciuku, ukryty w cieniu drzew niebotycznych, był domek śliczny plantatora, przy nim grupa rodziny kreolskiej, ładne dziewczęta, chłopcy dorodne i parę murzynów dla kontrastu. Na drugiej ścianie, w wąwozie porośłym roślinnością tropikalną, jechało kilku Hiszpanów na dzielnych koniach; na ścianie trzeciej jakieś

były wystawione wojska, dobywające grodu warownego.

Pan gubernator lubił bardzo oprowadzać gości swoich od jednej ściany do drugiej i tłumaczyć im odmalowane na nich widoki:—Oto widzisz asindziej góry owe z dymem, to są Wezuwiusze. A to Kolumbowie jadą na wykrycie Ameryki; a to jest Odyssej pod Termopilami, a to jest, a to jest,... tfu! zapomniałem już co to jest, a wiedziałem o tern tak dobrze jak i o tamtych lanszaftach, ale wypadło mi już to z pamięci.—Pan gubernator lubił udawać zucha, jeździć konno z chartami na polowanie, nie dbając na zdrowie, więc pani gubernatorowa zwykła mu była powtarzać jedno: Pamiętaj aspan o tern, żeś aspan stary! Ponieważ p. gubernator uchodził za statystę i męża uczynego, Stanisław chciał razu jednego poradzić się światła jego i zadał mu jakieś pytanie. A pan gubernator: — Głębokie jest twoje zapytanie! Masz szczęście żeś na mnie natrafił, inny nie umiałby ci na to odpowiedzieć. Ale tyle tylko odpowiedział na nie i zaraz przeszedł do czego innego. Z żoną składali parę idylliczną: żona miała imię Róża, a on Narcyz. Staruszek ułożył wiersz, który lubił powtarzać:

Róża i Narcyz w świętej żyją zgodzie,
Jak kwiatki w jednym rosnące ogrodzie.

Czasami przychodził tu pan Franciszek Doliwa, przesiadywał wyprostowany, a wciąż milcząc prawie, wieczór cały. Rzadko kiedy odezwał się tylko: „o to!” i znowu milczał. Raz wymówił był więcej, a to z tego powodu: Żyd winiarz, znany w miasteczku pod imieniem Josia Rudego, pożyczył panu Franciszkowi sto elisaweckich rubli, ważnych, a dla pewności, jak się to praktykowa-

ło, zwłaszcza kiedy pożyczano panu cześnikowi, albo panu Doliwie, wziął od pana Franciszka w zastaw tuzin łyżek, grabek i nożów srebrnych, oraz solniczkę z tego metalu wyrobioną i dwie łyżeczki do kawy. Warunki w cedule były takie, że gdyby pożyczający na termin nie oddał, pozostawiono mu do wykupu fantów dni trzy, po których upływie, wierzyciel miał prawo uważać sztuce srebrne za swoje własność i zrobić z niemi coby mu się podobało. Wartość srebra większą była od wartości wypożyczonej summy; ponieważ do terminu ostatecznego pozostawał dzień jeden tylko, Joś Rudy przyniósł już sztuce do pana gubernatora, pytając go, czyby ich u niego nie nabył, pan Doliwa bowiem nie myślał o zwróceniu mu wypożyczonej kwoty. Pan gubernator ostrzegł o tem pana Franciszka, radząc mu wykupić nazajutrz srebro, gdyż mógłby na tem ponieść stratę i zawsze szkoda jest utracić porządku rodzinne, z gotowemi już cyframi. Żyd nie chciał odwlec terminu, chociaż wzbogacił się na panu cześniku i kompanii, wyprzedając mu wina fabrykowane i pożyczając gotowiznę na wielkie procenta. Dowiedziawszy się pan Franciszek o zatwardziałości żyda i o niewdzięczności serca jego, wyrzekł rozniewany:

— A—a—a—dobrze, oddam mu, ale i—i—i—każdym rublem i w łeb!

Gniew u pana Doliwy tak był niezwykłym mu stanem duszy, a odezwanie się jego tak było zabawne, zwłaszcza, że towarzyszył mu gość tak komiczny, że wszyscy mimowolnie zostali tem rozśmieszeni.

Bywał tu i Służalski, kłamiąc ogromnie, co pan gubernator brał za czystą prawdę i nie mógł się nadziwić wszystkiemu, co od niego posłyszał.—Oto, panie, bywalec,
c

mówił o nim każdemu; na ptakach jeździł, cybuchy sadił, słowem cuda i tylko!

Cieszono się czasami ze starego Niemca felczera, zwanego tu doktorem, skąpca wielkiego i dlatego chodzącego zimą w bardzo lekkim ubraniu; kiedy mu mówiono, że się może przeziębć i że należałoby mu sprawić ciepłą odzież, ten zawsze odpowiadał machając ręką: E! niefarto! styczeń, luty, marzec, ciepło będzie! I lekarz chodził postaremu w letnim fraczku i płaszczku podszytym wiatrem i był zdrów, a pan cześnik mawiał z tego powodu: „licho Niemca nie weźmie, bo złe nie zginie!” A ten mu za to wyliczał wielu to ludzi z okazji jego poszło na tamten świat; na to pan cześnik jedną zawsze miał odpowiedź:

— Gdyby tak było, toby już i mnie oddawna djabli wzięli.

A Niemiec mówił spokojnie:

— O! fezmą, fezmą! poczekaj jeno trochę jemość.

I doprawdy cześnik nic jednego już zapoił na śmierć; lubił bowiem poić do upadłego, a potem chodził i pytał:

— A co, czy już nim rzuciło? czy już trup?

W domu poczciwa cześnikowa chodziła około chorych jak w szpitalu, gotując im rumianek i inne przynosząc leki, a kiedy ci zasnęli, czuwała nad nimi, modląc się na różańcu.

I pan Joachim czcił żonę swoją i nieraz wyznawał, że nie wart był kobiety podobnej: „Lubuniu, napatrzmy się tu na siebie, bo na tamym świecie jejmość pójdiesz do nieba, a ja do piekła i już się z sobą nie zobaczymy; o tem już ja nawet ani „dyszkuruję!”

i

\

>

Jakie w owym czasie były zabawy, jakie bywały figury dziwne, to tego dziś ani wystawić sobie, ani też zrozumieć nie jesteśmy w stanie.

Najczęściej można było widzieć jakąś ofiarę nieszczęśliwą, która za odzież starą, za kawał chleba i łyżkę strawy u stołu, pozwalała „zbytki” z sobą wyrabiać (wyrażenie owoczesne). Bez takiej figury ani imieniny, ani wesele, ani zapusty nie obchodziły się nigdy.

Taką figurą był na Ukrainie szlachcic, niejaki Radywoński; puścił się on na poniewierkę i żywot podły: jednak postać jego nie zrażała, a bawiono się nim. Zabawa ta była taka: kto chciał dać Radywońskiemu w twarz, dawał mu za to złotówkę; bizun kosztował talarka, a przypięcętowanie lakiem ciała, jeden czerwony złoty. Ten Radywoński uzbierał z tego majątek, a po śmierci zostawił córkom sto tysięcy złotych posagu.

Radywoński był wielki tchórz. To było nowym powodem do żartów. Czasami bawił w jakim domu dni kilka, nareszcie widząc że już dokuczył i nie radzi mu, brał kij do ręki, zawiniątko na plecy i ruszał dalej, do drugiego domu. Był żarłok i lubił sobie dobrze podjeść i wypić. Więc na drogę tkają mu pieczone, tkają butelkę nalewki lub wina w kieszeń, pirogo w nawiązają w chustkę; choć droga niedaleka, o kilka wiorst tylko, przecież opatrują go zapasem podróznym. Radywoński uradowany bierze to wszystko, dziękuje i puszcza się w drogę. Potrzeba iść przez lasy; ostrzegają go o pogłoskach jakoby mieli kręcić się tam zbójcy; Radywoński drży, ale idzie poświstując, dla dodania sobie odwagi. Wtem, z poza krzaków, wypadają ludzie jacyś wysmarowani sadzą, i wpośród dnia białego, rzucają się na biednego Radywońskiego, tulącego miłośnie do piersi pieczone i ofiarowaną sobie butelczynę;

składa ręce, prosi, zaklina aby ran nie wydzierano życia i tych darów drogich, ale nic nie pomagają prośby, odbierają mu rabusie najdroższy posiłek jego i jeszcze w dodatku okładają go kijami. Stłuczony na winne jabłko, z odzieżą poszarpaną, przywleką! się szlachcic do wsi sąsiedniej, skarżąc się na łotrostwa jakie się zagnieździły po kraju, że nawet człek poczciwy kroku jednego nie może zrobić, nieurazając na szwank gardła swego. Wszyscy śmieli się, wiedząc, że to musiał być figiel tego samego dobrodzieja, co go obdarzył tak sownie zapasami na drogę; ale Radywoński przysięgał się, że to musieli być hajdaniacy.

Pogłoski o hajdamakach, korzystających z osłabienia kraju i wojny domowej, spowodowanej konfederacją barską, coraz były liczniejsze i groźniejsze; wpadali tu i owdzie do kraju, mówiono oprócz tego o emissaryuszach lud podburzających; nie dziwota więc, że i Radywoński widział ich w tych ludziach, co mu oderwali od piersi kapłona tłustego i butelkę nalewki wybornej.

Pan Stempkowski regimentarz, później wojewoda kijowski, zachęcał młodzież iść na kresy, by czuwać nad hajclamakami; większa część chorągwi na papierze tylko egzystowała; był namiestnik, było kilkunastu szeregowych, z pocztów sowitych, ale towarzystwo mieszkało sobie w domu, gospodarzyło, albo pod inną chorągwią biło się pod znakami konfederatów.

Pan Stempkowski po mału przyciągał w województwie kijowskim serca ziemian do króla, odciągał od konfederacyi i począł zwracać oko obywateli na okropność stanu całego pogranicza, stanu bezbronnego. Stały tu wojska obce, uganiające się za konfederatami; z nimi chodził Branicki, a kresy były otwarte prawie; tu i owdzie czuwa-

ły tylko garstki ludzi, bez zapasów, bez broni nawet często. Panowie ukraińscy tylko utrzymywali sumptem własnym kozaków nadwornych, ale i tym bardzo dowierzać nie było można.

Na zachęcenie regimentarza kupiło się trochę młodzieży pod chorągwie opuszczone partyi ukraińskiej; ścigali się i do Czerkass młodzi towarzysze, panicze po większej części z pięknymi końmi i rzędami, dworno, jakby na zabawę. Naród odwykły od wojny, nie czuł w sobie zapachu wojennego, nie przeczuwał niebezpieczeństwa, nie widział nieprzyjaciela, przeciw któremu miałby walczyć. Pan Stempkowski oświadczał, że pod opieką króla Stanisława Augusta, szlachta mogła była żyć jak u Boga za piecem, trochę tylko należało wzmocnić kresy, dla postachu więcej hultajstwa, niż dla wojny rzetelnej. I pan Wilczo polski myślał tak samo, tylko dodawał zawsze: inny dziś system, natura i okoliczności!

Łabuń, rezydencya i dwór pana wojewody, były naśladowaniem Warszawy i dworu królewskiego; bywały tu assamble, baliki, fajerwerki, polowania, miłostki i schadzki literackie. Był tu sławny wówczas w kijowskiem województwie poeta Perekładowski; byli wkoło niego mniejsi poeci; byli upudrowani Polacy-francuziki, wolteryści-libertyni, były wreszcie *konwersacye* modne francuzkie, jednym słowem był tu świat wielki na prowincyi.

I młodzież co się zebrała wkoło chorągwi pana namiestnika Wilczopolskiego, dzieliła się na dwie partye: rzekomych paniczków modnych i na młodzież trzymającą się staroświeckich zwyczajów polskich.

Stanisław, mający wychowanie jezuickie, dawne, oparte na znajomości wiary, łaciny, klasyków rzymskich i po-

etów swojskich wieku XVI i późniejszych, stanął na czele partyi staroświeckiej, kontuszowej. Pokochano go odrazu przyznając mu prym, jako młodzieńcowi oczytanemu; a kiedy raz, na zgromadzeniu wieczornem, pokonał powierzchownie okrzesanego naczelnika perukarzy, który nasłuchawszy się innych prawil ni w pięć ni w dziewięć przeciw wierze i zwyczajowi staremu: koledzy podnieśli go na krzesła, wypito zdrowie z uściskami serdecznemi, oświadczeniami i *vivatami*, a nareszcie umówili się pomiędzy sobą, aby nosić mundur przyjacielski, na cześć Stanisława Junoszy: kontusz granatowy, a żupanik biały.

W liczbie tej młodzieży, w duchu dawnym, w pobożności a prostocie staroświeckiej wychowanej, był jeden młodzian, co się osobliwie garnął do Stanisława i był mu przyjacielem, wybranym z pomiędzy wielu kolegów. Tym druhem był Wacław Matejko. Ojciec jego był rodem Litwin, ale ród jego oddawna osiadły był na Wołyniu, około Łucka; oprócz wioski własnej, trzymał on tu od jednego magnata dwie wsie w zastawie i był urzędnikiem ziemskim, wielce wziętym i poważanym w swoim powiecie.

Wacław, chociaż był synem obywatela zamożnego, występował bardzo ubogo; ojciec jego tak go chował od dzieciństwa, raz dlatego, że był człek skrzętny, powtóre dlatego, że jego zdaniem należało młodego przygotować do żywota przyszłego, tak aby potem mógł być poprzestać na tem, na czern Bóg cla, nie dbając o jadło wykwiłne, albo o strój kosztowny. Kto mnie być ubogim, mawiał, ten zapewne potrafi wybornie być bogatym. Umiał to jakoś tak stary poprowadzić, że syn zupełnie się z nim zgadzał w tej mierze, kiedy przyszedł do rozumu. W szkołach bywało

koło niego wcale lichy, jak sam to opowiadał Stanisławowi, kiedy się już poczęli dwaj młodzi zwierzać wzajemnie przed sobą; nieraz musiał chodzić w bucikach połatanych, albo takich, w których do cholew czerwonych, z butów rodzica dobrodzieja, przyszyte były przodki ze skóry czarnej. Naśmiano się z niego nieraz w klasie niemiłosiernie z tego powodu, a kiedy młodzieniaszek żalił się o to w domu, jegomość stary mówił mu na to: — E! mój Waclawku, kpij waść z tego; niech się sobie śmieją na zdrowie, byle nie płakali! — Po skończeniu szkół był jakiś czas Waclaw w domu; ojciec wybierał się w sąsiedztwo na imieniny; miał tam być zjazd wielki, więc i syna swego brał z sobą. Dobrali jakoś sukien nieźle, buty były całe, jedno tylko, że w rękawach kontusza łokcie były poprzecierane. Pomimo całej wyrozumiałości synowskiej, rumieniec gorący oblał mu oblicze, kiedy jeno pomyślał, że tak przyjdzie mu wystąpić po raz pierwszy w obliczu prawie całego powiatu. Prosił więc jegomości, aby go tam nie brał, pokazując mu owe dziury. — E ! nie ważna okoliczność! stawaj waść zawsze jeno plecami do ściany, a nikt tego nie spostrzeże, rękę ci za to! A wreszcie pamiętaj waść o tem, że nie suknia zdoła męża, ale mąż suknię. — Więc pojechali tam z ojcem. Bawiono się jednak wesoło, ale młodzian wyznał potem, że wszedłszy tam, taki go wstyd ogarnął pomimo całej filozofii jego, że powiadał, gdyby się była ziemia wtedy pod nim rozstała, chętnieby był w nią wskoczył, byle tylko uniknąć tej prezentacyi. Jak mógł podpierał nieboraczysko ściany, aż je powycierał plecami, a zawsze mu się zdawało, jakoby wszyscy mieli oczy zwrócone na owe niefortunne dziury i palcami go sobie pokazywali.

Po kilku miesiącach pobytu w domu, ojciec wysłał go do Lublina, do mecenasu sławnego wówczas, na dependenta, aby syn okrzesał się nieco w palestrze i nabył tam znajomości prawa, ludzi i spraw krajowych. Wysłał go wcale nie oporządziwszy wprzód na drogę; najlepszą suknią był właśnie ów kontusz, w którym występował na imieninach. Nie śmiał nic powiedzieć ojcu, pożegnał rodzica i dom ze łzami i pojechał w drogę. Postanowił sobie jednak w duchu wstąpić po drodze do ciotki w tej nadziei, że ona go wesprze i poratuje. Jak na złość i tu się zawiódł w rachubie: ciotki nie zastał w domu. Rad nie rad, jak był tak się dostał do mecenasu, a ponieważ był u niego najznakomitszym aplikantem, synem tak poważnego obywatela, więc na niego włożony został obowiązek noszenia za jurystą owym papierów na trybunał, czem mu wielki przez to wyświadczał pan Waclaw honor. Tu także pamiętał o nauce ojcowskiej i przyciskał się do ścian trybunalskich. Jakóż wkrótce potem nadjechał i sam rodzic; rozpytał się mecenasu o kondukt syna, rozpatrzył się potem w garderobie jego, a spostrzegłszy że była w tym stanie ubóstwa świętego w jakim wyprawiał go z domu, że syn się aplikuje i szanuje święcie wolę ojcowską, dobył z sakwy pieniędzy i przyzwoiciej go wedle stanu jego, od stóp do głów oporzadził. Przytem, pocałował go w czoło, co podobno było drugi raz dopiero w życiu Waclawa i przeżegnał go dukatem węgierskim z Najświętszą Panną, który stary nosił na sobie, jako błogosławieństwo ojcowskie; a Waclaw, jak długi padł ojcu do nóg, i rozbeczał się jak dziecko. Ojciec podniósł go i uścisnął, ale nagle odwrócił się od syna i wyszedł prędko z izby. Ci co go spostrzegli w drugiej komnacie, mówili Waclawowi, że stary miał łzy w oczach. O ! kochałże gorąco syn ojca, jak pono nie ko-

cha podobnie żaden pieszczoszek swego rodzica; zawsze mawiał o nim: na pozór pierś jego z lodu, ale wewnątrz pełno jest ognia, jak owa góra, o której nas uczono w szkole, a której imienia dziś już nie pamiętam dobrze.

Jakkolwiek, gwoli jegomości, aplikował się Wacław Matejko w kancelaryi mecenasa owego, uczył się prawa — i przysłuchiwał sprawom; przecież wolał zamiast pisania exceptów, merytów i pozwów, bić się w kije w sieniach trybunalskich z kolegami sweini, albo ze strzelbinką wałęsać się po laskach zamiejskich, za wyraźnem jednakże pozwoleniem patrona swego.

Kiedy był w domu, w czasie limity, ojciec brał go z sobą do grodu, do Żytomierza, aby się tu zaprawiał przysłuchując sądom starościńskim. Był tu raz świadkiem zabawnego bardzo zdarzenia; starostą żytomirskim był naówczas jeden pan bogaty, nie lubiący zjeżdżać na sądy osobiście, więc zastępował go w tom podstarosta. Razu jednego zjechał sam starosta do Żytomierza i miał zasiadać osobiście; nim się udał do sądu, zaprosił do siebie na śniadanie sędziego, podsędka i pisarza: przyjmował ich po pańsku i uraczył obficie węgrynem starym. Potem wszyscy razem udali się na sądy. Posiadali za stołem sędziowie, w krzesłach wygodnych, poczęto wprowadzać sprawę, adwokat jął się zdobywać przed sądem prześwietnym na *facundę* i tak mówił pięknie, że wkrótce starosta, sędzia, podsędek i pisarz spali w najlepsze. Kiedy nareszcie adwokat zamilkł, wszyscy się ocknęli; woźny odwołał na ustęp, potrzeba było objawić zdanie, ale pan starosta nic nie wiedział o czem sprawa traktowała, choćbyś mu wybrał zęby; więc obrócił się do sędziego: „Panie sędzio, jak waszmość uważasz sprawę?” Sędzia wytrzeszczał tylko oczy aby prze-

móźdz ochotę do snu, zażywał tabakę, ale milczał zmieszany wielce. Więc się zwrócił do podsędka; to samo; do pisarza nareszcie, ale i ten był nie mędrszy od tamtych. Rozgniewany tem starosta, porwał z passyi za fascykuł, leżący przed nim na stole i rzucił nim z ostatnią złością w pisarza, mówiąc głośno: „A! niechże waz djabli porwą, jakież wy śpiochy!” a to powiedziawszy, powstał z krzesła i wyszedł z izby.

Z tego powodu, obecny tam pan Czapowski, powiedział był jakieś dowcipne słówko, które długo potem lubiono powtarzać w towarzystwach, jak powtarzano sobie każde jego odezwanie się.

Stanisław z Waclawem weselej czas pędzili z sobą; wieczorami do późna chodzili po prześlicznych ulicach przedmieści, wijących się po parowach, okrytych sadami; a każda noc miesięczna była porą zabaw ludu, osobliwie porą chorowodów i pieśni śpiewanych na przedziwnie piękne motywy, a nikt lepiej nie wyśpiewywał ich od Hali, wnuczki starego Charka cechmistrza. W tańcu była lekka, żywa, wesoła; Stanisław lubił tańczyć z nią i chichotać. Ignacy czynny brał udział w tych zabawach; mięszał się do tańca, do śpiewu, wybornym basem odzywał się w chórze i okazał nawet wielki talent w graniu na sopilce. Nabierał też zarozumiałości i wzdychał do tężyzny. Wracając do domu często mówił do kolegi: wiesz panie Stanisławie, że służba wojenna coraz mi się lepiej podoba; a ta ~~Hala~~ **Hala** jedyna jest do śpiewu! Razu jednego tak się odezwał:— może nie zauważałeś, pomiędzy młodycami, hożej Natałki? Owa blondynka, seperatka; mąż jej gdzieś wałęsa się na Donie, czy na Zaporozu, a ją, głupiec, porzucił samą. Co to za piękna kobieta, a jakie ma ciało białe to nie uwierzysz! Ot nie wiem, ale możebym się do niej przeniósł na kwaterę!

Jak myślisz? Ona sama, nieboga, rady sobie nie da, to daremna rzecz, a wiadomo, że od każdego rycerza prawego należy się opieka sierotom, wdowom i zgoła słabym istotom. Jak myślicie w tej mierze? Możebyście stali tu z Waławem?

— Jak zechcesz sobie; pamiętaj tylko, abyś się nie wplątał czasami w jaką awanturę i żeby jegomość, jak się dowie o tern, nie swarzyli się z tego powodu na was....

— Za co? za opiekę nad biedną wdową? O toby jeszcze! Jużem tam przeniósł fajkę moją i kapszuk z tytoniem; jeszcze tylko to i owo i przenosiny będą kompletne. A ja wiem, że z Waławem będzie ci jakoś rażniej. He? A mnie znowu tam daleko byłoby dogodniej.

Jakoż, na drugi dzień, pan Ignacy Psalterzewicz przeniósł się do separatki Natałki, a Waław stanął kwaterą ze Stanisławem.

Czasami przychodził Ignacy na starą kwaterę i skarżył się na Błażeja Służalskiego, że mu dokucza, zaglądnąc niepotrzebnie do domu separatki. A taki hardy ten poturnak, że z nim bez kłótni się nie obejdzie; będzie jakaś awantura, już przeczuwam to wcześniej. Czego jemu tam chodzić, proszę uniżenie? Nawet tytoń mój wypala w czasie nieobecności mojej, a pierogi z masłem i ze śmietaną, które sobie od obiadu zostawiam, łyka jakby pigułki ten żarłok. Na co go tam wykupili od Turka, ci XX. Trynitarze, dalipan pojąć tego nie mogę, bo i bez niego obeszłoby się tu wyśmienicie.

— Jako rycerz prawy, odpowiadał mu na to Waław, chce się, zapewne, zaopiekować wdową biedną.

— Ma ona opiekuna, nie z jego nosem, odpowiadał poważnie Ignacy.

Hala często chodziła po jagody i częstowała niemi panów towarzyszy, albo przyrządzała im grzyby na podwieczorek; w dzień pogodny zasiadała z robotą na przyzbie, pod lipą starą, rosnącą tuż pod domem; panicze wychodzili z kwatery i gawędzili z dziewczęciem. Łatwo było spostrzedz, że serce Hali przylgnęło do jednego z towarzyszy; wtedy Sydohołowko czuł także duszność w izbie i wynosił na podwórze swój stolec szewski i ławeczkę, i szył tu w towarzystwie Hali i młodych wojaków. Hala haftowała połyki do koszuli i radziła się co do deseniu gustu Stanisława; wtedy Sydohołowka brał młotek i niemiłosiernie płażył buta, nad którym pracował, co widząc Hala śmiała się głośno, przypinała jakąś łatkę biednemu szewczykowi, aż ten nadąsany, zabierał swój stołeczek i ławeczkę i wynosił się napowrót do chaty.

Wtedy Hala nie mając już z kogo sobie pożartować, poczyniała śpiewać piosenkę o *towarzyszu*, zmierzając nią do dwóch pozostałych na przyzbie paniczów. Ostraż-bo to jest piosenka owa, a jakby naumyślnie wzór do niej brał sobie poeta z pp. Puszczy i Doliwy. Do dziś dnia, na nutę mazurka, śpiewają dziewczęta tę piosenkę satyryczną na Ukrainie całej. Towarzysz hula z dziewczętami, bije się i pije, czasami tylko wydała się do Warszawy „dla sprawy” i znowu wraca na Ukrainę, by na niej prowadzić, po staremu, żywot „hulaszczy.” Zachorował wreszcie, ma umrzeć jego „serce Marysia” pyta go:

— A jak po tobie dzwonić mamy,
Panie Towarzyszu?
— Szklankami,
Butelkami
Serce Marysiu! (bis).

Piosenkę tę lubiła wyśpiewywać przy kielichu kompania pana cześnika Puszczy, zapewne nie tak przyjemnie i figlarnie jak śpiewała Hala błyskając oczami i ząbkami, a patrząc na młodych paniczów.

Raz wpadł był do kwatery dwóch kolegów Ignacy, z okiem podbitem; kiedy poczęto tam nań nalegać, aby powiedział z kąd pochodził ów siniak szpetny, wyznał wreszcie, że na wieczornicy u wdowy „zrobił był awanturę” z chłopcami i jakoś mu się oko zakrwawiło. Ale popamiętają oni z ruski miesiąc tę wieczornicę! Ale co! to głupstwo! Oto ten poturnak Błażej kością w gardle, a solą w oku mi siedzi. Z nim także zrobię kiedyś awanturę i nauczę go jak mi ma tytoń mój wypalać, pierogi łykać, a wdowę ściskać!

— A cóż ci do tego?

— Oto dobre! Wszakci tam jestem, i nie mogę na to zezwolić; ja odpowiadam za jej honor, jej plama i mnie kalać musi, samo z siebie.

— Nie bój się waść, panie Ignacy; byle jeno jegomość skropił waści tego hyzopem, co, ręczę waści, że nastąpi niechybnie, a wybielejesz nad śnieg—pocieszał go Staś.

— Że też waścia zawsze się głupstwa same trzymają! Ale ja kpię z tego,—rzekł obrażony chłopak i wyszedł do siebie.

Stanisław śmiał się do rozpuku, a "Wacław wołał za nim:

— A nie rób tam awantury panie Ignacy, żeby ci drugie jeszcze oko nie nabrzekło!

Ale Ignacy machnął i na to ręką wzgardliwie i szedł dalej ulicą, nastroiwszy minę zuchowatą, bo już nabierał pomału animuszu, postaci i min żołnierskich, a wzdychał tajemnie do tego tylko, aby się doczekać wreszcie wesa

sumiastego i co rana masłem sobie wargę zwierzchnią smarował w tym celu; zapewnił go bowiem pewien wiarus stary, że masło jedynym jest na to specyfikiem.

U wiarusa tego uczył się robić pałaszem na różne tempa; chciał bowiem być żołnierzem co się zowie. A ten mu dawał w tej mierze takie nauki: - Widzisz waść tak: aby być dobrym żołnierzem, potrzeba na to czterech rzeczy: abyś się rąbał tego, strzelał celnie, pił dzielnie, a nareszcie, aby dziewczęta szalały za waszmością, nieprzy- mierzając tak, jak za waściny najmniejszym sługą. Ale po- trzeba do tego mieć minę djablą, a w^{ra}s tęgi. Patrz waść na mnie; ten w^{ra}s światem trząsał; gęba rozcięta, trzy wargi, ale spytaj waść o mnie niewiasty tutejsze, a każda powie waści: niemasz jak Nowacki! I doprawdy Nowacki do wy- pitej i wybitej, do tańca, a choćby do rózańca, nie chwalać się, (bo tego nie lubię) do wszystkiego chłopiec. *I kudy!* szalona z niego szkatuła, w ogień, w wodę on pierwszy!

Ignacy patrzył na Nowackiego jak na wzór żołnierza. A co miał przypowiastek pan wachmistrz, przy kieliszku osobliwie, to tegobyś na wołowej skórze nie spisał! Pijąc *np.* wódkę, nie zapomniał nigdy do niej przemówić tak: „*Aqua nita*, z palonego żyta; byłaś w polu, byłaś w gumnie, teraz będziesz u mnie. Podchmielony wyśpiewywał pod karczmą:

Siedzę sobie na kamyku,
Gorzaleczkę łyku—łyku!
Gorzaleczka przepalona
Leci w gardło jak szalona!

drum! drum! drum! dodawał zawsze, udając wargami brzą- kanie na teorbanie. Ukrainkom podobał się bardzo istotnie i choć miał gębę wierzchnią rozciętą od pałasza, prze- cież mówiły one o nim: *da harno ciluje!* (Ale całuje mile.)

Ignacy prosił raz wachmistrza, aby pomógł mu przepłoszyć Służalskiego.

— To Herod nie człowiek, powiem aspanu, mówił traktując Nowackiego; on na wszystko złe puścić się gotów Natalkę bałamuci, tytoń mój wypala, pierogi ze śmietaną łyka, ale jak? to pojęcie przechodził! Ani chybi musi być charakternik! Żył między bisurmanami, wyuczył się od nich sztuk djabelskich. Gdybyście wy widzieli jak on te pierogi łyka! Pełna ich miska pływa w śmietanie i maśle, on jak rozdziawi paszczę, jak wytrzeszczy oczy, a popatrzy, to - dacie mi wiarę czy nie?—same, same mu do gęby lecą, a on łyka tylko, a pysk ma cały w śmietanie i maśle. Potrzebaby było go nauczyć....

— A więc nauczcie go *mores*...

— Ale dopomóżcie mi jeno....

— A pfe! wiele złego dwóch na jednego. Kiedy waść masz co przeciw niemu, wyzwij go na rękę, szach, mach, obetnij mu uszy, i rzecz skończona.

— Waść nie wiesz, to żmija! Widziałem go jak się bije. A! gdzie! Trudno mu podolać!

— A więc umykaj mu z drogi, kiedy nie czujesz się na siłach chłopcze, taka moja rada, bo możesz oberwać od niego po tybinkach.

— Ha! wola boża! będę się uczył bić w pałasze, a może go pokonam.

— Oto, to rozum! Ucz się, ucz u Nowackiego, a choćby djabła samego to pokonasz, ręczę waści za to. A teraz każno waść dać kwaterek wiszniówki; ten Josiel ma wyborną, słyszę!

I Ignacy częstował starego żołnierza, byle go wtajemniczył w obyczaj i sztukę rycerską, a ten poza oczy mówił o nim: dobre to chłopię, ale odeń jeszcze czuć

serwatkę i chustki mu potrzeba do nosa! Porzuciło kociołek z wodą święconą, a bierze się do szabli, wojaczka mu pachnie; a no! może co z niego i będzie, jak Nowacki popracuje nad nim.

W domu cechmistrza starego napozór wszystko było po dawnemu; Staś zajmował się służbą, uczył się robić bronią, wdrażał się do porządku; dumał o domu starostwa i polował z Wacławem na kaczki, na rozlewach dnieprowych. Ale Hala zmieniła się w kilka tygodni do niepoznania; w początkach śmiała się, swywoliła, biegała z kąta w kąt, śpiewała, wszędzie słychać było w domu jej głos srebrny, a dźwięczny, ów głos świeży a młody dziewczęcia, co tak przyjemnie odzywa się w duszy i budzi w niej jakąś sympatyą i wesele; ale mało pomału wesołość Hali nikła; jak ptaszę, po zejściu wiosny, przestała ona śpiewać, trzpiotać się i szczebiotać w gniazdku ciepłym dziada; mizerniała, bladła, oczy jej wpadły, a tęsknota odbijała się jej na twarzy. Staś spostrzegł to najpierwszy.

— Co ci to Halu?— pytał jej z dobrocią; — tyś chora pewno.

— Nic mi, paniczu.

— Poradź się kogo.

— Na moją chorobę niemasz lekarstwa, — mówiła smutnie.

— Cóż ci jest?

— Co mi jest? A tak, nudno mi czegoś na tym świecie; dusza tęskni, widać, za tamtym, lepszym światem; przyjdzie śmierć, a Bóg miłosierny da, dusza odtęskni się.

— Ale bój się Boga! I ty to tak mówisz Halu? A dziad, a babka, a matka, nie żal ci ich, nie żal ci ich serca zakrwawić? Pomyśl coby śmierć twoja im przyniosła!...

— Cóżem winna, żem chora? Tak mi Pan Bóg dał.

— Ale poradź się ludzi, ja ci sprowadzę z zamku lekarza, da ci lekarstwo jakie, zapisze ci zioła jakie, wreszcie, jeżeli chcesz, sprowadź babę jaką, niech ci ona poszepcze....

— Sprowadź sto bab, a one ci naszepczą sto bied. Jak Bóg da, tak będzie.

— Cliybaż ci nie żal życia?

— Ani troszkę! I nie dziwi mię to. Co tylko żyje na świecie kocha życie; wiem o tem, ale cóż kiedy mi wszystko zobojętniało od razu na tym świecie Bożym !

— I dziada i matki nie żal ci? Czyż i dla nich zobojętniałaś?

— Ja ich kocham, ale wszakże nam wszystkim jedna droga! Wcześniej, czy później, znowu kiedyś będziem razem.

— Gdzież cię boli Halu?

— Oh! w sercu boli; jakby gadzina zimna obwinęła się mi w około niego i smokcze je, i gryzie. Paniczu, o co ja was spytam?, Czy jak umrę, uронicie za mną choć jedne łezkę, czy rzucicie do dołu na pierś moje choć jedną ziemi szczyptę?

— Bóg z tobą Halu, nie mów nic podobnego! Bóg da będziem tańczyć na weselu twojem.

— Wy będzicie tańczyć na weselu mojem? Nie daj tego Boże ! Mojem łóżem ziemia chłodna, družką kalina czerwona, a zaśpiewa mi kukułka pieśń weselną, usiadłszy na krzyżyku u mogiły.

I Hala oddaliła się, zakrywając sobie twarz rękoma.

— Biedna Hala! Nerwy słabe! — mówił do siebie Stanisław; — potrzeba powiedzieć staremu Niemcowi, aby jej zapisał co takiego, coby jej nerwy wzmochniło.

Ale dziewczę nie chciało nic przyjmować i wiedło a żółkło; oczy jej ocieniły się obwódka czarną.

Stare baby mówiły to i owo o tej chorobie Hali; jedne utrzymywały, że ją urzeczono, drugie, że musiał ktoś niebodze *zadanie* (trunek miłosny) podać, inne szeptały, że do niej, nocami, lata żmij ognisty i wysysa z niej życie. Były takie co oświadczały, że widziały na swoje własne oczy latawca zwodziciela jak leciał, trzęsąc iskrami po sklepieniu niebieskiem, i spuścił się nad chatą starego Charka. Radzono baby, znachorów, leki; dziad woził wnukę do ludzi zamawiających choroby, dających wodę od *zadania*, do bab; ale Hala jedno tylko miała w myśli i wstrząsając główką piękną, powtarzała ustawicznie:

— Nic mi nie pomoże! gadzina ssie mi serce, potrzeba umrzeć. Czyż nie widzieliście, dziaduniu, jak czasami na wiosnę w kwiecie świeże wlezie robaczek maluśki, ssie on je, aż kwiatek zwiędnie i opadnie. Tak i ze mną się dzieje. Pamiętajcie dziaduniu, kiedy Bóg da że umrę, włóżcie wy na mnie moje *namysto* (korale) do grobu; wszak wy nie macie komu je odpisać. Ono było zawsze na mojej szyi, niech więc ze mną idzie w ziemię. %

Razu jednego, w kilka tygodni po przybyciu Stanisława do Czerkass, wrócił on późno z przechadzki; noc była rozkoszna, pogodna, niebo czyste świeciło gwiazdami, powietrze aromatyczne a świeże. Stanisław zapalił świecę i otworzył okno; chciał czytać, oczekując na Waclawa, który bawił u namiestnika.

Wszedł wachmistrz Nowacki i oddał mu jakąś kartkę od naczelnika; on przeczytał ją i położył, a wachmistrz się oddalił.

Stanisław chodził jeszcze po izbie, kiedy w oknie coś zaszeleściło; obrócił się i spostrzegł w niem Sydohołowka. Był on zmieniony, blady, a oczy miał straszne.

— Czego chcesz, chodź tu—powiedział do niego Stanisława

W momencie chłopak wcisnął się przez ciasne okno do izby i stanął przed Stanisławem.

— Co ci jest?—spytał ten szewczyka—czego taki jesteś zmieniony.

Sydohołowko stał milcząc i patrzył na Stanisława, ale tak strasznie jak gdyby mu chciał nóż w piersi utopić.

— Tyś chory, Sydohołowko ; usiądź i mów pociś przyszedł. Może ci dać napić się czego, bo ci słabo pewno?

Sydohołowko patrzył na Stanisława i milczał.

— Mówże, co ci jest, czego ci trzeba?

— Tyś ją zabił Lachu! tyś ją zabił!

— Ja? kogo?

— Halę. Tyś zabił Ilalę!

— Ja? Halę? Co ci jest? Czyś oszalał?

— O! można oszaleć! można oszaleć! Patrząc na nią jak się ona męczy i nie oszaleć, to trudno! I ty Lachu tego przyczyną! Tyś tą gadziną co ssie jej serce! Czyś ty ją uwiódł i porzucił, powiedz, przyznaj się, coś ty jej zrobił?

— Ależ człowiecze, opamiętaj się, co bredzisz jak gdyby z gorączki? Widziałeś kiedy mnie, abym jej się zalecał, abym ją łudził słówkiem pieszczonem, powiedz, widziałeś to?

— Ha! to prawda, nie widziałem tego.

— Zkądże więc ci to podejrzenie urosło.

— Bo ona cię kocha, Lachu, ona cię kocha...i—i—
u—mrze!

Tu Sydohołowko zakrył sobie oczy rękoma.

— Siądź tu i mów wszystko, coś mi chciał powiedzieć
— rzekł Stanisław sadzając chłopca;--ona mnie interesuje, mnie żal tego dziewczęcia.

— Żal—rzekł chłopiec —a po cóżeś ją zabił. Możeś ty dał jej danie owo?

— Zreflektuj się człowiecze, ja nie wiem o niczem.

— Po coś tu przyjechał — rzekł siadając i opuszczając głowę na ręce szewczyk; —po coś ty stanął mi na drodze, Lachu? Ach! jakże tu byliśmy wszyscy szczęśliwi, dopóki nie wśliznęliście się Lachy do chatki naszej. Hala jak ptaszę była wesola; śpiewała, szczebiotła, aż się serce radowało, a dziś ona smutna jak całun, a milczy jak mogiła, Ona byłaby .moją, o! byłaby moją! Jak przypomnę sobie, jak bywało wesoło tutaj, ile nadziei lubyh rozkwitło w sercu! Dziś pusto i smutno wszędzie. Bywało siedzę u roboty, a ona uwija się po chacie, a swywoli, a płata mi figle. To wodą mię obleje, to sadzą mi twarz wysmaruje, to szydłem ukole, to czuba mi naskubie, to mię laśnie po twarzy, a na każdy żart jej luby, dusza mi topniała; jej wolno było robić ze mną co się jej podobało; jam był jej sługa, od małości jej służyłem, *wyniańczyłem*, bo ona rosła pod mojem okiem. Stary cechmistrz patrzył na to

i cieszył się: córka i wnuka szewca powinna iść za szewca, mawiał nieraz dziad stary, niech mu tam lekko to wspomnienie odezwie się w duszy! Wszystko było dobrze, aż tu nieczysty sam was tu przyniósł Lachy i odrazu jednego, jakby nożem uciął; moja szczebiotka zobojętniała dla mnie: czy jestem w izbie, czy mnie w niej nie ma, wszystko to dla niej jedno! Nieraz siedzę nad robotą i modłę się w duchu, a nuż przyskoczy do mnie i uderzy mnie lub uskubnie. Ale ba! Nic z tego! Było szczęście, była dola, ale już to minęło! Choćbym dziś hukał doli, nie odezwie się ku mnie.

— Słuchaj bracie, może ci to tak tylko się wydaje, ja tego nie zauważałem, bo serce moje o czera innem marzy; jeżeli winien, to chyba pomirnowolnie się to stało. Ale bądź dobrej myśli chłopcze! Jutro wychodzimy ztąd, kto wie, może bezemnie szczęśliwsze losy dla was zabłyśną: wróci to, co było i po staremu będziecie szczęśliwi i w parze. Ona chora, Bóg da wyzdrowieje i znowu nie będzie ci obojętną.

— [wy to mówicie szczerze, po prawdzie?

— Widzisz na ścianie obrazek? To wizerunek Matki Boskiej Berdyczowskiej. Dany on mi z błogosławieństwem. Rozumiesz? Z błogosławieństwem na cały mój żywot przysły! Otóż przysięgam ci na ten obraz, że nie winien, że jej nigdy nie mówił o miłości i nigdy nieżądny jej byłem. Wierzysz mi teraz?

—• Ha! może. Jedziesz? W dobry czas. Ale gdybym się dowiedział żeś ty ją oczarował, żeś ty ją rozkochał i porzucił, zabiłbym cię! Słyszysz? Zabiłbym cię! Ona teraz płacze w sadzie i wyrzeka, aż się serce kraje; posłyszawszy te jęki szedłem tu, aby cię zabić, oto nóż mój, patrz jaki ostry!

— Ja ci to odpuszczani, bo rozumiem boleść twoją. Bóg da, lepiej będzie.

Szewczyk wyskoczył oknem i zniknął w krzakach bzu i kaliny, a Stanisław chodził po izbie zadumany i smutny; żał mu było Hali, owej wesołej, trzpiotowatej dziewczyny, której miał się stać powodem zguby. Prawdąż to miałoby być, że ona dla niego wzięła? Ani mu to przez myśl nie przeszło dotąd, aby ona miała go kochać: on gdzieindziej sam gonił myślą i sercem.

Żeby ochłodzić czoło, palone gorączką, wyszedł ode-, tchnąć powietrzem świeżem nocy. W pasiece, pod gruszą stała ławeczka; do niej poszedł i tam usiadł, schyliwszy czoło gorące na rękę. Dumął tak czas jakiś, kiedy wtem ktoś schwycił go za drugą rękę. Stanisław podniósł głowę i ujrzał przed sobą Halę; była jeszcze bledszą przy świetle księżyca, a włosy miała rozpuszczone po plecach, jak rusalka.

— Jedziesz? jedziesz?—mówiła prędko, urywanie—jedziesz, porzucasz nas? Nowacki mówił, że jutro już wychodziecie do świtu. Mój Boże! a ja myślałam sobie, że ty mi oczy zamkniesz, sokole mój złoty, że ty mi rzucisz garść piasku żółtego na oczy, że posadzisz mi w głowach kalinę czerwoną na mogile, a ja, umierając, powiem ci to żem cię bardzo, bardzo pokochała i z wielkiej miłości ku tobie umarłam. Tyś zimny Łaszku; czy cię matka w płon- ce kąpała po urodzeniu? czy tak cię Bóg już stworzył na smutną dolę moją? czy tak przy narodzeniu mojem wypisano było, żebym cię pokochała i nie miała wzajemności od ciebie? Wszak i *zuzula* (kukułka) sama żyje na świecie sierotą, nie znając co własne gniazdko. Ha! niech się spełni wola Boża! Żyj Łaszku szczęśliw, a ja cię tu do samej śmierci wspominać i oplakiwać będę.

Radzono mi, abym ci ugotowała i podała ziela od miłości, ale nie chciałam tego; serca nie zmusisz do kochania.

To powiedziawszy, nim jeszcze Stanisław zdołał przyjść do siebie, ona objęła jego szyję, przyciągnęła namiętnie do siebie i wycisnęła mu na ustach trzy pocałunki pełne ognistej miłości, i znikła w krzakach leszczyny i tarnin.

Stanisław zerwał się, aby pójść za nią, ścieżynka ta bowiem prowadziła do rzeczulki, a miłość niewzajemna, dla Ukrainki, zwykle się kończy wskoczeniem do wody; ale nim podążył za nią, ktoś go ścisnął za rękę jak kleszczami. Ha! twoja prawda Lachu, tyś jej nie zwodził, dola nasza taką być musiała. Idź swoją drogą, a ja pójdę za nią, nic nas nie rozłączy!

Ł Sydohołowko pobiegł, co miał siły, na dół drożyną krętą, aby czuwać nad biedną Halą; ona skierowała się ku wierzbie, co się pochylała nad miejscem głębokiem stawu, a szewc widząc to, przyśpieszył kroku, odgadując myśl straszną, co nią kierowała. Kiedy dziewczę zrozpaczone rzuciło się do wody, wymówiwszy tylko: „Boże zmiłuj się nad moją duszą biedną” i zrobiwszy znak krzyża nad sobą; z tyłu za nią chłopak już wyciągał rękę aby ją ująć, a kiedy Hala wskoczyła w przepaść, rzucił się za nią i oboje zniknęli w głębinie. Gdyby kto był na brzegu, ujrzałby tylko przy świetle księżycy kręgi, rozchodzące się po wodzie na tem miejscu gdzie znikli.

XXI.

Żydki, rozesłani od komendy, wyszpiewowali, że z poza Dniepru, a ze stepów dzikiego pola, z zimowników zaporozskich nad Hromoklejem, mają się ściągać kupy hajdamackie i dążyć ztąd ku granicom Rzeczypospolitej i ku lasom Motroneńskim; więc pan Wilczopolski postanowił przeciąć im drogę. W tym celu wziął od gubernatora czerkasskiego kilkunastu kozaków i pociągnął na Horodyszcze i Śmiłę ku pograniczu: w Kamionce miał się złączyć z częścią chorągwi swojej, konsystującej w Ilulajpolu. Nie wiedziano z pewnością, jaką jest siła *watahy* hajdamackiej. Pomiędzy ludem krążyły tylko jakieś pogłoski głuche, oczekiwano czegoś strasznego, obawiano się, chowano i zakopywano w ziemi kto co miał droższego. Słabość sił krajowych widoczną była dla każdego rzeczą, tem śmieiej więc, tem z większą pewnością hajdamacy i ludzie złej woli liczyli na opanowanie Rusi, wytępienie Lachów i żydów, tudzież na ograbienie w niej wszystkich, kto tylko miał jakikolwiek dostatek.

Oddawna hajdamacy, więcej jak od stu lat napadali Polskę południową; w 1750 roku tak się bano, że szlachta bracławskiego województwa, zebrana w Winnicy, uchwaliła tak zwane *laudum boni ordinis*, t. j. utrzymywanie kozaków dworskich. Ale dogodniejszej jak ta oto pora nie mieli nigdy do działania włóczędzy stepowi.

Zaledwo komenda polska wyszła była z Czerkass, aż wieści o hajdamakach poczęły być wyraźniejsze i straszniejsze; mówiono, że w jakimś miejscu hajdamacy przeprawili się przez Dniepr i stanęli gdzieś w lesie koszem. W pośród tak sprzecznych z sobą wieści, trudno było zorientować się panu Wilczopolskiemu ze swoją garstką ludu; w pośród lasów i moczarów łąrdynia, łatwo nawet można mu było wpaść w zasadzkę niebezpieczną,

Jakkolwiekby, komenda szczęśliwie doszła do Horodyszcz. Tu był jarmark, a w pośród takiego licznego zgromowiska ludności, mnóstwo było najsprzeczniejszych z sobą pogłosek. Nie jedna twarz patrzyła zuchwale na żołnierzy; bąkano coś sobie pod nosem, przebakierzano czapki nad uchem i poprawiano sobie wąsa i oseledca. Osobliwie indyczyli się ci, co nie mieli sami nic do stracenia.

Stary jeden szlachcic, z dużym nosem, ozdobnym potężną brodawką, z wąsem sumiastym, siedząc pod ratuszem, rozmawiał z towarzyszem chorągwi o tych zbliżających się i już dokonanych gdzieniegdzie gwałtach hajdamackich.

— Oj tak, tak, tak panowie bracia!—prawił, pstrykając palcami w tabakierę z kory brzozonej, w której wieczko wprawiony był rzemyczek czarny, a kora sama ponakalana była igłą w rozmaite arabeski. — Oj tak, tak, tak! źle się dzieje, złych dożyliśmy czasów! A czyż tak było dawniej? Tak i nie tak! panowie bracia! Napadali zawsze na nas

hultaje, tak, że Ukraina nie mogła nigdy *beatam tranquillitatem suam gaudere*; i za Augusta III - świeć Panie nad jego duszą pańską!—już nie *furtko transito*, ale dużemi szlakami, *inolente et aperte marte*, napadali na nas. Ale wówczas, za dobrych czasów, umiano, mosanie, dać sobie rade — ot co! Jak źle, więc nuż w kupkę i dalej radzić się! Co rada, to nie zdrada, dobrze to mówią. Ot w Winnicy województwo braclawskie uchwalilo *laudumboni ordinis* — ot co! Widzą bracia, że niemasz siły zbrojnej, więc tworzą milicję własną dla obrony granic. Pamiętam, dla przywodzenia temi wojskami obrany został *unanhniter* pan starosta romanowski Oźga regimentarzem, zaś dowódcami podjazdów Bohusław^r Starzeński, tęgi rębacz mosanie! i Eliasza Klityński. *Ambo meliores!* Uchwalono na ten cel podatek; płacono od majątku het precz! wszyscy: świeccy i duchowni, nawet żydostwo!

I cóż?— pytano starego.

— Widzicie waszmoście, traktatem grzymułtowskim postanowiono było, aby zajścia wszelkie pomiędzy Zaporozem a prześwietną Rzeczypospolitą naszą, sądziła osobna kommissya złożona z komissarzów naszych, rossyjskich i zaporozskich — ale to było nicpotem! Komissya swoje, a Zaporozie swoje, a krew się leje, a wsie płoną. Poco tu długie ceregiele! W Zakonie Starym powiedziano: ząb za ząb! Alboż my baby, albo żydzi? Nas nachodzą, pałą rąbią, a my się mamy skarżyć? Charko, Czarny i tylu hunewotów kraj cały zniszczyli, a my mamy wdawać się w papierki? Idźmy do lagru rzeczy, powiedzieliśmy sobie; co mamy czekać na śmierć od hajdamactwa w domu, dowiedzmy się lepiej gdzie raki zimują: tandem, mosanie, podjazdy nasze za granicę i do wertepów hajdamackich, do owych zimowików zaporozskich nad Hromoklejein, gdzie się

kryli i z kąd nas nachodzili łotrzy owi. O! daliżeśmy im za swojo, dobrze dali! Wa — w a - wa! Mosanie, jak dali! Osobliwie dał się hajclamakom we znaki pan Michał Zakrzewski porucznik wojska regularnego partyi ukraińskiej i pan Stanisław Ortyński pułkownik i gubernator umański. Zapędzali się oni daleko w stepy; kupy zbójeckie bili, wieszali, gniazda ich palili, aż w piekle pono słyhać było! W koszu, mosanie, zdechl pies! — opuścili uszy! Nuż się skarżyć, żerny ich najeżdżamy! że na to kommisye powinny zasiadać, jeżeli są jakie pretensye do kosza. Nie, tak lepiej! mówimy i nuż swoje. Owa wieś Werbowe, przy forcie ś. Elżbiety, ów ostrowek na Bohu, ufortyfikowany zasiekami i armatkami —wszystko to poszło psom na jatki. U! psko! myślą sobie w koszu; więc tandem tedy, kiedy nie można okraść i ograbić, inaczej żyć potrzeba; nuż więc zawiązywać z nami Zaporozcy koszowi stosunki przyjazne, handel solą, końmi, miodem, woskiem, lojem, skórami, nuż sami znosić w stepach kupy rabusiów owych, hajdamaków. O! widzicie więc aspanowie, że był u nas olej w mózgownicy! Umiano sobie radzić. Hryhory Łańtuch, Petro Kalniszewski, koszowi, stali się dla nas przyjaciółmi i sąsiadami do brymi, a tej tam szarańczy tyle wywieszali i kijami nabili po stepach i w siczy, że gdyby potem kto zorał ową ziemię i zasiał ją, toby pewno urodziło na niej tak jak na nowinie najprzedniejszej!

Wszyscy śmieli się.

— Śmieście się zdrowi, a dziś wcale nie do śmiechu! Zdałby się nam dziś Ortyński, albo Zakrzewski! O! pułkownik Ortyński tęgi był gubernator. Bywało mówi: „o! te psie syny niszczą zawsze zamki, niechże je budują sami.” Więc jeńców hajdamackich nie wieszka bywało, tylko do taczek wprzęga i sypie szańce w Humaniu, grodzi częstokoły

i ów zamek humańskd jego głowa a hajdamackimi rękami wzniesiony. Ho-ho—ho! Umiano sobie mądrze radzić—nie tak jak dziś! z przeproszeniem waszrnościów, co to fiu! fiu! fiu!—mówił staruszek, kręcąc palcem przed sobą.

— E! wszystko będzie dobrze, mości dobrodzieju, jak złe przeminie!- odezwał się drugi szlachcic.

Opodał trochę od ratusza, w rynku, u wagi i kłody, w pośród jarmarkowej chalastry, siedzieli rzędem żebracy i lirnicy, ubodzy i kalecy rozmaici, trzymając na kijach ponatykane obwarzanki, któremi ich darzy lud dobry, w braku drobnej monety. Dziewki ślepe śpiewały pieśni nabożne o śmierci niespodzianej, o sądzie ostatecznym, o Łazarzu, o Aleksym, mężu bożym i t. p. Starzy Ukraińcy i staruszki obdarzywszy je, wedle przemożenia swego, stali ze spuszczoną głową i miną skruszoną, kobiety oparliszy głowę na dłoni, mężczyźni wsparci na laskach, przysłuchując się tym pieśniom budującym. Młodzież obstała dalej jakiegoś bandurzystę z czubem zawieszonym, wyśpiewującego dumę jakąś staroświecką, opiewającą pochod Dymitra Wiszniowieckiego na pogańską ziemię i śmierć jego męczeńską na haku w Carogrodzie, przy której Bóg miłosierny cud swój okazał, zsyłając mu aniołów swoich, a ci, trzepocząc skrzydłami jak motyle napowietrzne, z ciałem \ duszą bohatera tego do nieba unosili.

Wtem w tłumie ruch jakiś powstał, wszczął się szmer, wykrzykniki takie, jak kiedy nagle w pośród ciszy wiatr powieje i poruszy i zaszumi liśćmi osik lub osokorów i topoli. Tłum kupił się w jedną stronę ku wadze; słyhać było wołania: wieszczek! wieszczek! Pokutnik! Posłuchajmy!.. Uciszcież się, cyt! cyt! Oto przemówi.

Stanisław z Waclawem precisnęli się także do miejsca miary i wagi, i ujrzeni tam dziwnego męża: suknia ciemna,

wązka, związana powrozem u pasa, na głowie czapka okrągło-podłużna, pierś obnażona, a na niej duży krzyż żelazny i wyglądał kawał łańcucha grubego; nogi bose, twarz wyniszczona, oczy świecące i głęboko w głowie osadzone, broda siwa w nieładzie.

Wszyscy ciekawie kupili się około ubóstwa i tej dziwnej postaci. Ktoś dał jałmużnę tej zagadkowej osobie, ale ta dostała z zanadru kęs suchara czarnego i pokazała go, mówiąc: „Bóg ci zapłaci—oto mój chleb dzisiejszy; o jutrzejszym Ojciec niebieski pamięta. Karmicie mię bracia, więc pokarmię was wzajemnie słowem, ja nędzny grzesznik i idyota; posłuchajcie mię ludzie dobrzy, bracia mili, posłuchajcie mię mizernego: posłuchajcie co Bóg mi objawił...

Słuchajmy, słuchajmy! Cichoż-bo ziomkowie (zemplaki!), cicho! A nie pchajcież się tak!—wołano w tłumie—stanie dla każdego miejsca; mówcie tatku! Posłuchamy mądrego słowa....

Baby osobliwie pięściami rozpychały tłumy, cisnąc się naprzód, ciekawe posłuchać co będzie mówić ów mąż dziwny. Jakiś czas tłum jarmarkowy chwiał się jak morze wzburzone. Nareszcie gwar i ruch ustały, stało się cicho jak mak siał. Żydzi nawet umilkli i na twarzach ich skamieniał wyraz zaciekawienia.

Wieszczek wstąpił na piramidę worków ze zbożem ważonym i złożonym u wagi, i z całego placu rynkowego, jak okiem zajrzeć, widać go było. Postrzegłszy tłum tę figurę, wołał półgłosem, w którym wykrzykniku najwięcej słyhać było dźwięk mowy niewieściej:

— Ach *hospody!* (Och! Panie!)

[doprawdy mąż ten postacią swoją sprawiał wielkie wrażenie na duszy: tak wyglądać musieli, po wszystkie czasy mężowie obdarzeni duchem proroczym.

Stanisław był także wzruszony; poznał on w człowieku tym pokutnika z mogiły Perepiata, owego Wernyhore.

Stanąwszy na piramidzie, kiedy stało się dokoła tak cicho, że muchę słyszałeś jak dźwięczała lecąc w powietrzu, wieszczek zdjął kołpak z głowy i ochryłym głosem przeżegnał się, wymawiając imię Trójcy Przenajświętszej, a tłum cały zrobił za nim znak krzyża na czole i na piersiach.

— Sława Bogu i-Jezusowi Chrystusowi!

— Na wieki wieków. Amen,—odpowiedział tłum.

— Kłania się wam i pozdrawia was w Bogu, Wernyhora, mąż mnogo - grzeszny, oplakujący przewiny swoje przed Bogiem.

— Wernyhora! Wernyhora! Wernyhora! Imię to unosiło się ponad tłumem i wrywało się z ust tysięcy ludzi. Każdy podawał je do ucha sąsiadowi, chociaż głos starcapokutnika tak dźwięczał jakoś, że dosięgał zarówno najodleglejszych w ciżbie. Linie to znane było już każdemu; wieszczek przemawiał już nie na jednym jarmarku.

— Posłuchajcie, bracia mili, co mi niegodnemu objawił raczył Bóg i Matka Jego Przenajświętsza. Zmazałem się krwią, przewiny moje ciężkie jak ziemia, a niezliczone jak piasek morski; kiedy oddawałem się żalowi i pokucie, Ojciec niebieski i Boga - Rodzica tak mię natchnęli w widzeniu: wtedy dopiero-objawili mi Oni— zmażesz plamę krwawą bratobójstwa, jeżeli uprzedzisz mordy i zapobiegiesz im. Bratobójstwa tysiączne gotują się i splamią grzechem oblicze ziemi, jak wówczas, kiedy Kain zabił Abła niewinnego. Krew, mord i grzech unoszą się w powietrzu jak dżuma ponad Ukrainą. Żli ludzie, hajdamacy, chcą obłąkać chrześcian prawych i uzbroić ich rękę nożem zabójstwa; powstaną bunty, mordy, pożogi, będzie mor straszny: ziemia od krwi wylanej stanie się czerwona, jak księżyc w pełni,

ale Bóg nie błogosławi temu; słyszycie mię ludzie, dobrzy, Bóg nie błogosławi temu! To ręka Kaina podnosi się na Abła! To szatan sam uzbraja hajdamaków. Widzieliście kiedy na Ukrainie naszej wał żmijowy? Oto kiedyś Żmij-Grocl (szatan) krwią bratnią napawał ziemię naszą; plemię wielkoludów mordowało się wzajemnie; ale Bóg wyniszczył ten ród obrzydły, a śś. Borys i Gleb zaprzągłszy Żmija do pługu wyorali nim na pamiątkę i przestrogę wieczną ów wał pomiędzy mogiłami wielkoludów grzechem zmazanych. Otóż tak i dziś się stanie: krew za krew! Hajdamaczyzna, co zniszczy ziemię naszą, upadnie; Żmij skrepuje się łańcuchem i powrozem, a Kain i owi wyleją krew swoje w męczarniach najstraszniejszych. Wiele jest wsi i miasteczek po Ukrainie, tyle ćwierci krwawych hajdamackich będzie wisiało na szubienicach, na łup krukowi i wilkowi zgłodniałym. Słyszycie mię bracia?

— Słyszemy! Słyszemy! Słyszemy! Słowo to powtórzyło się głucho po wygładzonym jak szyba morska tłumie.

— Pamiętajcież o tem i wytrwajcie w dobrem do końca, a niech wam Bóg dopomaga!

— Amen! — odezwało się echo w piersi zbiorowej masy, która- poczyniała się już była kołysać i grzmieć głosem.

— A niedoczekanie twoje psie stary! — ryknął ktoś w zgiełku; —prędzej ty sam zawiśniesz na haku!

Stanisław obejrzał się i spostrzegł Bonclarenka, w odzieży cygana z niedźwiedziem. Poruszone fale tłuszczu odtrąciły go daleko wkrótce od *wagi* i *ldody* (miary), a hałas jarmarkowy zwiększył się stokrotnie jeszcze.

— Otóż bo to to! Dobrze dyszkuruje stary, a prawda panie Franciszku?—mówił Joachim Puszcza do swego przyjaciela, wspierając się na ramieniu jego, zgarbiwszy się we dwoje. Na to odpowiedział mu wyciągnięty jak struna pan Doliwa:

— A—a - a- jak Boga mego kocham i — i — i — i —
ma racją!

Możeby go poprosić na traktament, jak uczciwość
każe? he?

— A—a - a —dobrze!

Ale wieszczek utonął już był w falach rzeszy jarmarko-
wej, jakby kropla w morzu i nikt o nim nie wiedział gdzie
się podział.

Lud opowiadał sobie wzajemnie, że wieszczek ten ta-
jemniczy obiega Ukrainę, że zjawia się na jarmarkach,
u przewozów na rzekach, na odpustach, targach, głosząc
zawsze jedno, że idą czasy krwawe i że nie należy mieszać
się do tłuszczy krwi spragnionej i łupu. Mówiono, że wi-
dziano go już w Fastowie, Pawołoczy, Białejcerkwi, Kor-
suniu, Mosznach, Śmilej i Łysiance; że przebiegał szybko
z jednego miejsca na drugie, że widziano go dziś tu, a na-
zajutrz gdzieś o mil kilkanaście. Baby utrzymywały, że
musiał latać; ktoś mówił nawet, że widział go lecącego
w powietrzu.

— Tak już jemu Bóg dał!— rzekł na to sentymental-
nie jakiś starzec z brodą. Jak Bóg chce, tak ono i będzie!
Na to Jego wola.

— O takim wieszczu, że przyjść miał na świat,
pamiętam, mówił mi kiedyś nieboszczyk pan ojciec.

— Otóż się spełniły słowa jego! — mówił drugi.

— Tak już jemu Bóg dał! — powtórzył pierwszy sta-
rzec.

— Tak Bóg dał!—potwierdził trzeci słowa tamtego.

— A jakże? Bóg dał-wyrzekł czwarty, któżby inny?
I wszystko tak i będzie jak on to przepowiedział; wszy-
stko a wszystko się spełni. I wał żmijowy i wielkoludy
i hajdamacy, wszystko a wszystko!

— To już jemu Bóg dał!

Och lyszeńko! (oj biada!) - wołała płacząc podpiła babuła jakaś; — gdybyż przynajmniej z ogrodów wprzód pozbierać to, cośmy na nich pozasiewały.

— I gdzież tam tobie! (I kudy!) Ani myśl o tem! — mówił jej chłop, udając męża doświadczonego. — Ani myśl o tern.

Każdy sądził o tym wypadku ze swego stanowiska; co komu było bliżej do serca, ten miał na widoku stratę tego, kiedy zasłyszał o hajdamakach, którzy już mieli wkroczyć w granice Rzeczypospolitej i przechowywać się w lasach motroneńskich i łebedyńskich, gdzie były monasterki Czernców. Babka dobroduszna myślała o ogrodowiznie, inni o skrzyniach swoich, w których złożone były różne dostatki; żydzi o swoich bogactwach, towarach, więcej jeszcze niż o bezpieczeństwie własnem. Szlachta radziła o środkach obrony. Staruszek ów z pod rąsów zagrzewał panów braci do uradzenia *Laudi boni ordinis* i zawiązania zaraz na razie milicyi i podjazdów. Ale już, podobno, nie pora było radzić o tem, kiedy nieprzyjaciel był w granicach; najsamprzód działać wypadało. Ale jak? *Quomoclo qidbus uińbus? qidbus auwiliis?* jak mówił ów staruszek. Kto miał w tej chwili zastąpić Zakrzewskiego i Ortyńskiego?

Uradzono wysłać kogo tajemnie od komendy na miejsce dla dowiedzenia się o stanie rzeczy i o sile hajdamackiej. Z garścią towarzystwa, ani myśleć było pomykać się na koszt tych łotrów, którzy bili się do ostatniego, ze wściekłością, mając w każdym razie przed sobą śmierć. Woleli oni ginąć od szabli, niż dyndać na szubienicy, lub na kole wyziewać ducha,

Stanisław prosił, aby go wysłano na zwiady. Znał ou język ludu wybornie, znał zwyczaje jego, więc podejmował się tej posługi niebezpiecznej, której *pro publico bono* podjąć się komuś należało koniecznie.

Stanisław, wieczorem, przebrał się cichaczem za parobka okolic poleskich. Przywdział na nogi *postoly*, na głowę *jalomel* stary, bity z pilśni, na grzbiet przywdział świtę białą a wyszarzaną i połatana, podpasął się pasem skórzanym starym, wziął torbę z chlebem i słoniną, którą sobie przewiązał wpoprzek pleców, tak, że sznurki od niej schodziły się na piersiach, w ręku miał kij podróżny, rozpytał się o drogę i ruszył w stronę lasów łebedyńskich.

Wyszędłszy z Horodyszcz wszędzie po drogach pełno było ludu, wracającego z jarmarku; jechały podwozy naładowane chłopstwem, szli piesi pędząc bydło i owce, czasem wracał jakiś Ukrainiec tylko z ćwiartką (10 f.) soli na plecach, a z papuzą tytoniu zanadrem za cały sprawunek, przehulawszy resztę pieniędzy w karczmie. Baby wracały z garnkami, oczepkami, butami nowemi na plecach, a wszędzie było gwarno, wszyscy mówili o wypadkach zaszłych, a ten tylko milczał w towarzystwie co miał w gębie lulkę, tylko spluwając od czasu do czasu w stronę; statyści ci uronili jakieś słówko, albo tylko na wykrzykniku samym się skończyło:

Do takiej grupy przyłączył się Stanisław, kiwnąwszy głową. Towarzystwo składało się z dwóch bab, w białych świtach, z których jedna napchała sobie potężnie pazuchę sprawunkami, starego wieśniaka w podartej świcie i z czerwonym nosem pędzącego przed sobą świnię i palącego fajkę, i dwóch parobków w słomianych, starych kapeluszach; obaj nieśli na plecach świtki swoje: jeden z nich miał

oprócz tego i parę butów, drugi szedł boso i nie miał nigdzie przy sobie obuwia.

Stanisław chciał zawiązać rozmowę, więc zaczepił staro wieśniaka:

— A co *diadku*, *po orudowały*? (to jest czy udał się wam jarmark?). A drogie też były dziś świnię na targu?

— At! zwyczajnie! — mruknął chłop nie w humorze i splunął w stronę.

— To nic nasza świnka; kura kupił i prosił, żeby ją odpędzić do domu, bo sam pojechał jeszcze gdzieś; kum, to wiadomo, odmówić niegodzi się; ot, mój stary i zgodził się; kupił mu, prawda, Wasyl, znacie Wasyla? Mohorycza wypiliśmy i idziemy teraz do domu. Nam się nie udało jakoś w mięście....

Stary splunął z nieukontentowaniem.

— Pieniądze roztrwonili się to na to, to na owo, soli kupiliśmy i próżno do domu wracamy.

— O! już i skłamałaś! Kiedy już *korci* cię gadać, to gadaj przynajmniej prawdę. Już i próżno! Niosę przecież sól, widzisz, wszak ci jeszcze oczy nie powyłażyły?

— Mówiłamże, Wakuło, że kupiliście soli; krzyż mię niech zabije jeśli nie mówiłam.

- No i papuzę tytoniu kupiłam.

— I papuzę tytoniu — dodała żona.

— Więc nic próżno....

— Ta! to prawda!

— Czegóż chcesz?

— Widzicie *diadku*, wasza *chozajka* (gospodyni, żona) — odezwał się jeden z parobków — chciałaby po-

no, żebyście dla niej wszystkie pieniądze wydali na jarmarku.

— O! zapewne, jeszcze czego! ICosników *hyrze* (głowie) się zachciewa!

— Gadajcie zdrowi! Potrzeba mi było chustki i oczepka od ludzi; pieniądze były, widzicie, u nich w kapszuku, — rzekła do Stanisława, obracając się w stronę męża - ale oni mówią, że je zgubili, więc tak próżno przychodzi się mi wracać....

— E! ciotuniu, na drugi jarmark, da Bóg doczekać, piękniejsze sobie sprawicie.

— Ot! rozumnie gada — rzekł stary, wypuszczając fajczkę z gęby — widzisz stara, młody, a rozumnie gada! Tobie się zdaje, że tyle tylko świata co w oknie; nie zakupili jeszcze wszystkiego, twoje jeszcze pozostało w kramie, co ci przeznaczono mieć i znosić w zdrowiu.

— Cóż robić, niechaj to i tak będzie!

— I! ciotko—rzekł drugi parobek — *nie korujcie*, (nie smućcie się). Dobrze się stało, żeście tego śmiecia nie kupowali; poczekajcie jeno, za miesiąc, za złoty, albo za dwa kupicie sobie całe ubranie i nie dymowe, ale z atlasów i aksamitów. Da Bóg przyjdą hajdainacy, nagrabią u żydów, panów i u bogatych mieszczan i u naszych *talci* gospodarzy wiejskich, a nam *charpakom* (biedakom) przedadzą za bezcen.

— Rozumna *detynal* Ot! przyjemnie posłuchać kiedy mówi do rzeczy! — wybąknął niewyraźnie, nie wyjmując z ust fajki stary.

— Daj to Boże! daj to Boże! — mówiła chłopka; -gdybyż tylko prędko nadeszli, a po drodze nic posprzedawali.

— Będzie tego dosyć, nie bójcie się—rzekli parobcy, poglądając z podełba po sobie.

Druga kobieta z pełnym zanadrem sprawunków, w nowej *jupce* kwiecistej i z dużymi koralami w kilkanaście rzędów na szyi, zmieszła się tą mową i odezwała się:

— A nie grzechże grabić? Wszakże majątność to krwawica ludzka: za to Bóg karze.

Chłopcy zaśmieli się.

— Nie do smaku to wam, ciotko? Cóż robić? Taki czas teraz. Była pora dobra dla was bogatych, a teraz słońko zaświeci i dla nas ubogich; pierwiej wasza była na wierzchu, a teraz nasza.

— Sprawiedliwie—odezwał się Stanisław.

— A prawda?—odezwali się parobcy, obracając się do niego.

— Co to już i mówić o tem? Ludzie bracia sobie; Bóg rodzi na każdego dołą, pocóż to twoje i moje?

— I ten dobrze mówi—powiedział przez zęby, aby nie wypuścić z uich fajki, stary Wakuła.

— A co mówił Wernyhora? słyszeliście?—mówiła dalej młodyca w koralach.

— Ał bzdurzył stary! Co mu się przyśniło to i gadał— rzekli młodzi. — A wy dokąd? — spytali Stanisława.

— Na żniwo rzekł tenże—choć to jeszcze wczesnie, ale może tymczasem znajdę służbę.

Parobcy rozśmieli się.

— I my na żniwo! Nie wczesnie bracie, już dojrzały kłosa, tylko żnij i koś. Więc razem?

— Jeżeli wam tędy droga, to zgoda.

— Ale tedy, tędy droga; dla nas *charpaków* jedna dziś droga.

— Na szubienice! — szepnęła sobie młodyca bogata.

— Widzieliście—spytali Stanisława parobcy—jak łąbędzie leciały?

— Nie, bracia, nie widziałem — rzekł prostodusznie chłopcy zaśmieli się.
A my widzieliśmy i wiemy gdzie one siadły i zkąd leciały!

— A zkądże one leciały? — spytał prostodusznie stary Wakuła.

— Z Nizu, diad'ku. A wiecie gdzie siadły?

— A bodajże mię tak wiara boża nie znała jak ja to wiem gdzie one siadły!

— A gdzieżby—rzekł Stanisław'—jeżeli nie w lasach łebedyńskich; nie darmo je tak zowią.

— A może i tak — rzekł Wakuła.

Parobcy uśmiechali się do Stanisława z niedomyślności starego. Stanisław trafił niechcący na przenośnię młodych parobków. Porozumiawszy się tak z nimi, już im był prawdziwym koleżką, trzymali się już kupy i dążyli prosto do Łebedyna, rozłączywszy się z pierwszymi towarzyszami drogi Wakułą i dwiema kobietami. Parobcy opowiadali Stanisławowi, że przebrani Zaporozcy i hajdamacy wałęsają się po wsiach i namawiają do siebie dobrych towarzyszy; że oni byli do marca przy browarze, a teraz nie mając zajęcia, spróbują hajdamackiego chleba. W okolicy Śmiły, w lesie, napotkali jakiegoś człowieka; ten podszedłszy do nich krzyknął, jak puhacz: *puhu?* Był to znak za-

porożski. Jeden z parobków odpowiedział mu na to: *kozak z luhul* — A. dokąd? pytał.

— Szukamy gdzieby przystać.

— A coście wy za ludzie?

— Browarnicy, ludzie nie bardzo wielkiej godności.

— A to dobrze, bo właśnie nawarzyliśmy oto piwa, więc potrzeba nam takich. A dokądże Bóg prowadzi?

— Do Łebedyna.

— E! nie! zwróćcie się lepiej, chłopcy, do lasów motroneńskich. W Łebedynie już war piwa skończony. Ztąd to równa wam droga tam i tam. Potrzeba było wam być wcześniej, teraz zbierać się w kupki małe każde watażko Maxym, aby wszędzie, jak jest Ukraina wielka, wszędzie rosło i krzewiło się hajdamactwo. W Medwedowu na prazniku i jarmarku byliśmy i poszłoby nam dobrze, gdyby nie ten dziwny człowiek Wernyhora, co nam wszędzie w drogę lezie. Tylko co Maxym odczytał na rynku hramotę, on zjawił się i począł prawić swoje; chcieliśmy go schwytać, ale lud stanął ławą za nim.

— To samo było w Horodyszczach, — rzekł Stanisław.

— *Bat'ko* Maxym naznaczył cenę na jego głowę; kto go dostawi, temu dadzą 50 czerwonych złotych.

— Dobra cena!

— Ba! ale charakternik stary! Tu jest, a tu go już niemasz! Przedzierzga się mówią w ptaki, w kota, w muchę. Łap wiatra w polu. Ale mniejsza o niego! W Żabotyńce Martyn Biełuha, ataman kozaków tamtejszych, przystał do nas z większą częścią watahy; gubernator Wiczalkowski uciekł. Z Orłowca przystało do nas sto kozaków. Wszyscy pójdą za nami!

— A komenda?

— Co komenda? Garść ludzi, którą zgnieciemy na miazgę; a czyż nie stoją wszędzie wojska obce? Wiec ze mną—dodał—do motroneńskich lasów.

A nam to wszystko jedno — rzekł Stanisław — byle do drużyny; w burcie i kasza je się, jak to mówią.

— Idźmy więc.

I szli we czterech, manowcami, lasami, jarami. Młodzi pytali Zaporozca o Sicz, o życie na Niżu, a ten im opowiadał nieznanne o nim szczegóły.

Mnie—mówił—wykradł z maleńka Semen Bolączką z Polski; może dotąd mam tu krewnych, może bogatych i znakomitych, ale nie wiem tego do jakiej należą rodziny: najpewniej i sam Semen tego nie wiedział. Chował on mnie sobie jako *ciurę* (*czura* giermek na Zaporozu), a potem, co tylko miał, oręż, pieniądze, mnie przed śmiercią zapisał. Ale nie od razu wychodzi się u nas na brata rycerza sławnego wojska zaporozkiego; każdego pierwszej próbuje się wprzód, co on za zacz? Czy jest w nim spryt i duch wojenny. Oto *np.* każą mu kaszę parzyć w stepie i przykazują: „pamiętajże parz ją tak, żeby nie była niedogotowana, ale też żeby i nie przegotowała się; my tymczasem, pójdziem siano kosić. Ty chłopcze, jak będzie kasza gotowa, wejdź na ten oto kurhan i wołaj na nas, my posłyszemy i przyjdziemy.”

Wezmą więc kosy na plecy i pójdą nibyto kosić. Ale gdzie tam u czarta chce się im kosić! Zabiorą się w trzcinę i śpią. Chłopiec-czura, ugotowawszy kaszę, wyjdzie na mogiłę i pocznie hukać, a nawoływać. Oni słyszą to, ale nie odzywają się. Więc chłopak huka, huka, a jak trafi się jaki legejda, więc w płacz, a nuż przymawiać: Oto nieczy-

sty sam zaniósł mię do tych Zaporozców; lepiejby było mi siedzieć doma u'pani matki i u tatnna; daj go katu. kasza się przegotuje, a oni przyjdą i jeszcze obiją wraże syny. Oj biednaż ty główko moja, po co mię tu zanieśli do tych Zaporozców.

Więc oni słysząc to w trawie utajeni, mówią do siebie pocichu: „Nie!—nie nasz to!” Wrócą się do kurzenia, dadzą temu pacholikowi konia, dadzą mu i na drogę i mówią mu tak: „Idź sobie do nieczystego! niepotrzeba nam takich!”

Jeżeli zaś uda się jaka roztropna i domyślna sztuczka, to wyszedłszy na mogiłę zawoła razy parę: „hej! hej! panowie mołojcy! a idźcieno jeno kaszę jeść!” a jak ci się nie odzywają do niego, to on: „Bies że was zabierz, kiedyście pogłuchli, czy ponremieli! Potrafię ja sam spożyć to com narwarzył.’ Jeszcze odchodząc uderzy na mogile tropaka i to tak, że aż ziemia pod nim zadudni, a zaśpiewa: „aj tuż mi pohulać na stepie szerokim!” a zaśpiewawszy na całe gardło dumkę staroświecką, idzie do kurzenia i nuż repetować kulisz, czy kaszę.

A Zaporozcy leżąc w trawie, mówią do siebie: „Oto—to nasz, nierna co powiedzieć!” Zabrawszy więc kosy idą do kurzenia. A ów: „Gdzie to was licho nosiło, panowie mołojcy? Wołałem ja, wołałem was, ażem ochrypl; więc tedy, żeby kasza nie ostygła, jąłem się łyżki i miski.”

Zaporozcy popatrzą tylko jeden na drugiego, a potem tak mu mówią: „No *czuro* nasz! Wstawaj, dość ci już terminować i być pacholikiem; odtąd jesteś już nam równym kozakiem. I przyjmują do towarzystwa. (*)

— A wam jak na imie?

(*) Z Zapisek p. Kulisza,

Szkiet> T. U.

— Na chrzcie dano mi irnie Jakób; ale w towarzystwie naszym zwą mię Cebula. Widzicie, u nas każdy ma jakieś przezwisko; dają mu je z jakiegoś powodu. Raz w stepie, na podjeździe, pytają mię koledzy: jest co jeść? Mówię im: ja mam w sakwie, będzie czem pośniadać. Do sakwy, znajduję w niej jedną tylko cebulę: odtąd jak cebulą poczęli mię dręczyć, to i pozostało mi to przezwisko aż do tego dnia i zginę cebulą.

— A Żeleźniak?—pytali młodzi.

— Żeleźniak, co innego! On z ojca kozak. Ojciec jego nad Hromoklejem ma zimownik swój i tam mieszka, gospodarzy sobie i jest żonaty, więc i dzieci się doczekał. Nie wiele tacy mają poważania w koszu, ale zawsze liczą się oni do kozactwa. U starego wyprosili syna jego, aby dowodził tu kozactwem i poruszył lud. Otoż pierwej w Łebedynie byliśmy, a teraz koszem stanęliśmy w lesie motroneńskim.

Tak gawędząc Cebula, z kolegami swemi dobił się późno do pasieczyska jakiegoś w lesie; tam zanocowali u pasiecznika, a na drugi dzień stanęli w koszu hajdamaków w lasach motroneńskich. Lasy te nosiły nazwanie swoje od klasztoru Ś. Motrony w nich położonego.

Hajdamacy obrali sobie miejsce takie, że to było ze trzech stron otoczone głębokimi, lasem porośłymi jarami, z czwartej strony, którą tabor ich stykał się z równiną, postawili basztę. W około oszańcowali się zasiekami. W jednym miejscu *Sicz* hajdamacka, a w drugiem Sygnał, albo „gwałt,” Tak zwali kocioł duży, miedziany, zawieszony na dębie i buławę dębową obok niego wiszącą. Skoro tylko na trwoję potrzeba było bić, zaraz kozak biegł i co miał tylko siły walił buławą w ów kocioł, a ten ryczał na cały las prawie. Gdziekolwiek był hajdamakaz kosza tego, to słysząc

ten gwałt wracał do Siczy. Nieopodal, w dąbrowie, był tak nazwany „Znaczek,” t. j. oznaczone wkoło miejsce, przeznaczone na pastwisko koni. Od „znaczką” wiorst na cztery może, w stronę Żabotyń, była „Pohulanka” na takiej wysokiej mogile, że skoro stanąłeś na niej, to widziałeś okolicę i Żabotyń cały jakby na dłoni. Hajdamacy schodzili się na mogiłę tę i gawędzą pomiędzy sobą, traktują młodyce, które do nich trafiały z Żabotyń, grają w szachy, albo w karty, podczas kiedy inni, przy bandurze, wyśpiewywali pieśni hajdamackie.

„W Siczy, w samym jej środku, miał szalas swój Maksym Żeleźniak, szalas zrobiony z gałęzi, *kureniem* zwany; nad nim powiewało znamię, czyli „znaczek” zaporozski, bo Zaporozce przywieźli je z sobą z Zaporozia.

Tu pod kureniem *watażka*, była kassa hajdamacka osobliwszego rodzaju; zsypano do jamy pieniądze, a na wierzchu jej przeciągnięto dwie nici nakrzyż i przybito je do ziemi czterma kołeczkami. Przy tej kassie chodziła straż z kozaka jednego złożona.

Ubiór hajdamaków był po większej części ten, jaki jeszcze ze stepów pola dzikiego wywieźli; kurtka z cielęcej skóry surowej, szarawary szerokie, *jolom* wysoki, pas skórzany, do którego był uczepiony różek z prochem, *hamaniec* z hubką i krzesiwem, nóż w pochwie skórzanej, ładownica przez plecy, czasem janczarka przewieszona, czasami pistolet, albo para, szabliśko jakieś stare, oto wszystko. Obuwie było wcale w złym stanie; po większej części byli bosy, chyba niektórzy, co już się potrafili byli obłować, mieli na sobie buty nawet czerwone i inną odzież. Byli hajdamacy występujący w czarnych jedwabnych kaftanach żydowskich, obłożonych axamitera, z wywiniętymi połami i w kołpakach szabasowych; ci nadzwyczaj wyglądali śmiesznie. Gło-

wy mieli golone, tylko „osełedce” nad czołem po za ucho zakręcone i wąsy sumiaste dawały im jakąś straszną fizyonomię. Nie na jednym odzież była krwią zbroczona i osmalona: ci już mieli udział w mordach i pożogach.

Cebula przyprowadził przed Masyma trzech swoich nowo zaciągniętych chłopców; watażko zasiadał przed kureniem na siodle tatarskim, w żółtym żupanie, srebrem przytynkanym z materyi końskiej, w^r czerwonych butach safianowych, z czapką polską, rogatywką, na bakier mu po nad osełedce spadającą. Był to kozak lat około trzydziestu mający z marsem na czole; w oczach miał coś kociego; mówiono nawet o nim że w nocy widział dobrze; usta miał brzydkie, odrażające: w nich jakby rozpusta się wcieliła i objawiała bezwstydnie światu. Watażko palił fajkę króciuchną, buchając kłębami gryzącego dymu bakunu.

•— Chodźcie do bat'ka, chodźcie—a przyprowadziwszy przed niego Cebula nowozaciężnych, skłonił się przed nim i powiedział: — oto trzech chłopców przywiódłem ci bat'ku, życzą sobie służyć za wiarę.

Stanisławowi mrowie przeszło po skórze; w duchu mówił on psalm Kochanowskiego Jana:

Będziesz bezpiecznie po zmijach giiiewliwych
I po padalcack deptał niecierpliwych..
Ztąd wedle ciebie tysiąc głów polęże,
Ztąd drugie tysiąc; ciebie nie dosięże
Miecz nieuchronny, a ty przed się swemi
Oczyrna, ujrzysz pomstę nad grzesznemi!

Żeleźniak popatrzył po nowoprzybyłych swoich wzrokiem tygrysim, a dwaj parobcy więcej jeszcze daleko objawili bojaźni niż Polak.

— Chcecie służyć za wiarę? sucze dzieci? Dobrze, służcie, ale służcie w prawdzie i w wierze, a po kozacku; kto ma w piersi serce kurze, niech się wynosi ztąd do czartowej matki: takich tu nam niepotrzeba; kto zaś chce pieniędzy, bogactw, ten je tu znajdzie. Patrz, ile ich w tej jamie, leżą one nie liczone: kiedyś miarkami je podzielimy pomiędzy chłopców, ale ktoby chciał zdradzić, tego ja wsadzę na kół, nim jeszcze myśl mu ta dojrzeje w mózgownicy. Popatrzcie mi w oczy, a nie tchórzcie, nie zjem wlis przecie, ani połknę; wam *neńki* (mamy) mówią może o nas, że hajdamaka krwią upija się jak gorzalką, a z niemowląt pieczeń sobie piecze, he? Wiedźcie, że Maxym Żeleźniak wziął się do tej sprawy rznięcia Lachów i żydów dla wybawienia Ukrainy i przywrócenia w niej hetmańszczyzny. Nie tchórzcież głupie chłopięta, bo odeślę was na pohoniczów, albo świnie paść.

— To to tak zwyczajnie JW. Panie z początku, nie przywykliśmy patrzeć na takich ludzi jak wy—rzekł kłaniając się Stanisław; serca nam nie zabraknie do wojaczki.

— Ty kto?

— Ja jestem synem klucznicy leśniczego z Borodianki.

— Aha! rozumiem! Dali ci w skórę, więc zbiegłeś z piekarni od matuni; tacy dobrzy bywają. A wierzyszże ty w Boga?

— Wierzę!

— A w Trójcę Świętą wierzysz?

— Wierzę!

— [w Matkę Boską wierzysz ?

— Wierzę!

— A nu, przeżegnaj się!

Stanisław przeżegnał się, i chociaż pamiętał o tem, przecież nie zupełnie tak jak się żegnają Rusini; szczęściem dla niego, Żeleźniak sam nie bardzo był biegły w tej rzeczy

i nie spostrzegł omyłki, a parobcy, jego koleclży, patrzyli tylko z podełba jak wilczęta na watażkę. Cebula odszedł do swoich.

— No, idźże teraz, dokąd chcesz i umieść się tu jak będziesz mógł.—Potem zwrócił się do dwóch następnych:

— A wyż co za ludzie ?

— Browarnicy jesteśmy, z Korsunia.

— Krew z piwa! to dobrze; gra ona i burzy się w żyłach. Dlaczegoż, sućże dzieci, wyszliście z browaru?

— Bo goliznainędza za kołnierzem JW. pilnie. - A drugi dodał z pokłonem niskim:

— Pomyśleliśmy sobie: starzy ludzie mówią: *abo do-but\ abo doma nebut!* Za piecem nie dorobisz się niczego, a lepiej być bogatym, jak biedę klepać. O hajdamakach mówią u nas, że chodzą w srebrze i złocie, piją wino i jedzą kurę pieczoną w maśle.

— Rozumnie: będą z was ludzie. A w Boga wy wierzycie?

I tu począł się examen ten sam co powyżej; tak przyjmowano zwykle nowicyuszów do Siczy Zaporozskiej.

Stanisław⁷ napotkał Cebulę i chodził z nim po Siczy, przypatrując się wszystkiemu, położeniu jej i szańcom osobliwie. Poszli potem na „Pohulanę” przypatrywać się grom w kości i w szachy; ci co mieli pieniądze i kosztowności przegrywali je sobie; ci co ich nie mieli grali „w skubanego,” to jest że ten co przegrał nastawiał łba, a wygrany targał go za osełdec, aż kolega krzyczyć musiał; co jednak uważało się za małoduszność: prawdziwy hajdamaka powinien był milczeć choćby go pieczono i na kół sadzono. W takich razach wygrany mówił do ofiary swojej:

— Ej! było tobie lepiej, suczy synu, u matuni kury sadzić, niż wybierać się na Sicz do hajdamaków ! Co ty za ry-

cerz? Ciebie kot udrapie, to ty jak żyd krzyku narobisz!
A jak cię Lachy złapią, to myślisz, że cię głaskać będą ?

Inni cieszyli się napiłamołodycą, która tańczyła i wyśpiewywała rozmaite piosenki z giestami jak aktor. Jedna osobliwie komiczna podobała się bardzo hajdamakom. Za dług żydzi karczmarze zabierają u baby łyżki, bo już wszystko przepiepijała, a ona im na to śpiewała:

Bodaj żydy waszu ma
Ja na łożki ne pyła,
Oj ja pyła na toj syr,
Szczu mij piweń nanosyw!
Sedyt' piweń na szopi,
Iznis jajec try kopi;
Ja ci jajcia prodała,
Żydam dowżok oddała!

Śliczny jakiś chłopak, teorbanista, lat może siedemnastu, patrzył na to wszystko smutnie, siedząc opodal pod dębem; teorban jego wisiał na nim niemy, usta nie śpiewały, a oczy jakoś łzawo poglądały.

Stanisław przysiadł się do niego, a dla zagajenia z nim rozmowy odezwał się w ten sens:

— Śliczne to miejsce, bracie teorbanisto! Jak tu daleko oko sięga! Co to zawiesz tam oto widać w pośród tych sadów zielonych?

— To Żabotyn, odpowiedział lakonicznie.

— A też cerkiew, czy klasztor, na tem białem urwisku, nad parowem? I parów i brzeg biały, wysoki, i monasterek w dąbrowie. Z cerkiewką, wszystko to się dwoi w tsm jezioru ślicznem, jakby w zwierciadle.

— To monaster czerńców, Motroneński. Gdybyście posłyszeli jak tu ślicznie rozchodzi się głos dzwonów kia-

sztornych do świtania i po zachodzie słońca, a! Z Zaboty-
na nawet słycać tu czasami jak dzwony zwiastują światu
modlitwę, kiedy ma się na niebie „na dzień boży błogosła-
wić. A tu...

— Cóż tu?

Widzicie co! I w piekle nie może być już okropniej,
chyba, kiedy ta szarańcza pójdzie na żer, o! wtedy, Bóg
i anieli muszą sobie zakrywać oczy na niebie, aby nie pa-
trzeć na te mordy i pożogi.

— A przecież jesteś tu bracie!

Ha! jestem, bom wzięty w jassy. Tam w Żabotynie by-
łem ja u gubernatora pana Wiczalkowskiego; nadeszli ci
potępieńcy, ataman Martyn Biełuha zdradził nas, pan
z panią uciekli i skryli się, inni mówią, że złapani i powie-
szeni, a mnie zabrali, żebym im śpiewał i grał na teorbanie,
kiedy serce mało nie pęknie w piersi!

— Cóż oni się z tobą dobrze obchodzą?

— At! mają mię za dziecko. „*prywykne durna detyna!*”
mówią, kiedy patrzą na łzy moje i modlitwy; a ja płaczę,
wiesz czego?

— Ano!

— Ja płaczę tego, że mię nie zabili; a nuż doprawdy
przywyknę i będę bez sera i Boga jak i ci oto hajdamacy!
Tyś młody, piękny, niewinny pewno i przyszedłeś tu! Nie,
i tyś pewno w jassyrze u pohańców. Cierpmy bracie, cier-
pmy, a w Bogu: „za cierpienie daje Bóg zbawienie,” mówią
starzy. Wszak zawsze są męczennicy u Ojca niebieskiego,
wycierpmy i umrzyjmy, a tam anieli nas przyjmą.

Stanisław ujął dłoń bandurzysty i uścisnął ją mocno.

— Bądź mi druhem i pokrzepiajmy się wzajemnie.

— Z całego serca, bracie, z całego serca! A może Bóg
da nam ujść z tej matni.

Teorbanista machnął ręką, jak gdyby wątpił o tem aby się to stać mogło.

Dalej siedział parobek także niewesoły. Stanisław i do tego się przybliżył, zawiązał z nim rozmowę, a ten mu opowiedział jak się tu dostał.

— Widzicie tu, do tego monasteru, co tam oto widać nad tein białem urwiskiem, przyszło było najprzód z Siczy tylko trzech Zaporozców, niby na odpust, I wszystko tak niby sobie lud nikczemny, prosty, a do niczego. Chodzą bywało pochyleni i pokaszlując. Jeden z nich poszedł ztąd do Łebedyńskiego klasztoru, a ten się zwał Demian Gnida; drugi miał przezwisko Łnskonog, poszedł do Moszniańskiego monasterku nad Dnieprem, trzeci zaś Szelest tu pozostał, w Motroneńskim. Otoż ten mieszkał tu lat parę, a wszystko ciosał dzidy i spisy; po jarmarkach, bywało, skupuje to żupany, to szarawary, albo czapki, to buty. Jeżeli go spyta kto kiedy: „a na co ci tyle tego, bracie?” to on: „to widzicie, odeślę do Siczy na gościniec, tam bowiem wszystko to drogo kosztuje, a ludu coraz więcej, więc trudno o odzież/”

My temu wszystkiemu wierzyliśmy; myślimy, że doprawdy on ma zamiar odesłać to do Siczy, na Niż. Kiedyż idę raz do cerkwi do Motroneńskiego monasteru, aż on — Szelestów stoi na samej ścieżynie co się wije tam pod górą nad samym parowem (i ztąd jej dojrzysz na murawie), właśnie nad tym jarem co go zowią Spasowym, i już widzę że przybrany w żupan, pierwszej bowiem chodził w świteczce obdartej, teraz już żupan, szarawary granatowe, czapka dobra, przy szabelce, za pasem pistolety, het, precz czysto.

- Zdrów bądź, bracie Antoni,—mówi do mnie.
- Wzajemnie bądź zdrów sam.
- A nu, przystawaj do kozaków!

A ja mu: — cóż, u mnie jest ojciec i matunia żyją i bracia też, więc ziają mię za to.

— Ale przystawaj, nalegał dalej; u nas dobrze będzie, u nas będzie tak, u nas owak. My, powiada, dopóki świata tylko stanie, będziem kozakami.

A mnie coś straszno, więc mówię mu: — Nam i tak dobrze jak jest dziś!

— Ale przystawaj!

Ja jeszcze się boję.

A on mi: — Chodź jeno do wozu.

Idę, a widzę wózek stoi po za drzewem; przy wozie żyd i Lach leżą powiązani razem. Kiedym spojrział na nich, myślę sobie: E! kiepsko! kiedy już do powroza się biorą! Więc jeszcze większy strach mię objął.

A Szelest ciągnie z wozu „bakłahę”. Pij, mówi mi, gorzałkę!

A ja mu: — Cóż, bracie, jeszcze na to wcześniej, tylko co do cerkwi dzwonili.

— Ale pij, mówi, bracie. *Jeden na to czas, kiedy ojciec ic płachcie chodzi. (*)*

Jak począł, jak począł nadskakiwać mi. ja, niemam co robić, napiłem się trochę.

Pij jeszcze!

Więc jeszcze się napił.

— Przystawaj, mówi mi znowu, bracie!

A ja zawsze boję się.

Wtedy on nasypał sobie z rogu prochu na dłoń, roztarł ten proch z wódką i posmarował mię tą maścią po twarzy i pod nosem; kiedy mię tak wysmarował, taka mię zaraz wzięła ochota, że tylko gdyby dali mi byli do rąk spise, to tak, zdaje się, poszedłbym i kłuł ktoby mi się tylko nawinał.

Szelest zaraz dał mi żupan, szablę, przypasał pistolety, przyodział całkiem po kozacku i jeszcze spisek dał mi do ręki.

— Chodź myż, mówi, poza ten klon, tam stój sobie i kto-
by nie szedł tędy, ktoby nie jechał, bierz i wiąż. Poszedłem po
za klon, kiedy spojrzę, aż już wszędzie kozacy stoją po za
drzewami. Widzisz, bał się, aby nikt o tem nie doniósł do
komendy do Żabotyńna. Postawił mię i mówi jeszcze: — Pamię-
taj, pilnuj dobrze, aby nikt nie przeszedł, ani przejechał-

Postałem tam więc trochę, aż wreszcie przeszedł *czad*
ten; potem opamiętałem się, ale co tu było robić? Porzu-
cić, zabija! Więc postanowiłem sobie tak, co będzie to będzie,
a rąk we krwi niewinnej nie splamię i hajdamaką nie zostanę.

W Żabotyńnie komenda dowiedziała się o nim. Szelest
zwiąchawszy to zebrał kozaków może ze trzysta i prosto do
monasteru. Dziwna zkaąd tych kozaków nabrano się u niego
tylu od razu! zkaąd oni wzięli i koni tych i oręza i wszystkie-
go! Lud tylko co począł był wychodzić z cerkwi, aż ci mu
następują drogę. Kto mógł tylko, zmykał z klasztoru. E! tóż są
hajdamacy. Szelest począł dokazywać i hulać z kozakami.
El kudy! muzyka, śpiewy, tańce. (*)

A Czerńcy nie! Siedzą sobie w celach, bo już oddawna
wiedzieli oni o tem, jeszcze jak tylko Szelest zjawił się
w lesie motroneńskim. Potem Szelest wybrał się na ten oto
szpil, otoczony jarami i lasem i tu się obrąbał, a Maxym
przyszedł z Łebedyna do niego, jako główny watażko i teraz
oto „*palamarują*” razem. A dopóki tego będzie? Dopóki na
to Bóg miłosierny pozwoli ?

Stanisław dowiedział się, że w samym koszu hajdamac-
kim Żelaźniak ma wielu sobie niechętnych, wielu zagarniętych
przemocą i gotowych działać przeciwko niemu.

(*) O Szeleście z powieści ludu w Zapiskach Tantal. Kulisza o Ukrainie.

Kilka już dni towarzyszył partyi ukraińskiej był w siczy hajdamackiej, kiedy razu jednego o zmierzchu, kiedy zbóje usiedli rzędami do wieczerzy u koryt długich, od parowu dał się słyszeć głos jakiś poważny: „W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego!

— Amen! — odpowiedzieli hajdamacy.

Spostrzegli oni na pieńku ściętym, po nad jarem głębokim, postać w sukni ciemnej, w kołpaku, podpasaną sznurem i bosą. Sądziłi, że to mnich, schimnik, wiodący żywot pustelniczy w pieczarze, którą sam wykopał sobie w lesie tym. Ale bojaźń, niespokojność i zdziwienie najwyższe owały nimi, kiedy posłyszeli takie oto powitanie:

— Wernyhora, grzesznik, niegodny posłaniec Boży, pozdrawia was! Upamiętajcie się, dzieci czarta, upamiętajcie się, wołam, i bijcie się w piersi; za krew, krew; za męki doczesne, czekają was zarówno doczesne i wieczne męczarnie; za ogień i pożogi, ogień co nie gaśnie nigdy nagotowany czartu i aniołom jego! Tak mówi Pani Zbawiciel w objawieniu, które ja niegodny miałem o was. Widziałem ćwierci cielska waszego rozwieszzone po bramach i rynkach miast spalonych od was, a posoką waszą skalano łono ziemi naszej błogosławionej. Kórzcie się, dzieci czarta, kórzcie się, bo potępienie doczesne i wieczne czeka was!”

Kilka wystrzałów padło od kurzenia watażki; „łapcie go! trzymajcie! wiążcie! rąbcie go! strzelajcie do niego!” tysięcznym echem rozległo się po siczy całej. Ruch i zamieszanie powstały wielkie. Wszystko co tylko żyło, jak wściekła fala morska, poskoczyło ku wieszczkowi; ale pieńek był pusty, tylko pięć kul utkwilo w nim głęboko. Wszyscy wrócili do koryt z niczem a z kwaśną miną i spuszczoną głową, skrobiąc się za uchem.

— Tfu! I wy myślicie, chłopcy, że doprawdy to był Wernyhora? — spytał zasiadając do wieczerzy, powtórnie, Ma-

xym. — To czart tak tumani i odwodzi nas od celu dobrego. To przywidzenie takie! Dwie kule puściłem za nim, o! kule moje celne! Wezmą one i charakternika nawet; ale tu zginęły darmo w czczem złudzeniu. O! także, trafiłyby dobrze wieszczek ów fałszywy, zaglądając tu do siczy naszej! My go szukamy wszędzie, a onby sam laźł w ręce nasze! To dopiero byłoby tak jak mówią, że o wilku mowa, a wilk do chaty! A zasię! *Adzus* (*) mury! Nie doczekanie twoje, żeby było tak jak ty pleciesz!

Ale twarz Maxyma była blada jak ściana. To zjawienie się Wernyhory przejęło zgrozą i strachem sicz całą. Wszyscy siedzieli milcząc, ale kluski ze słoniną nie laźły jakoś hajdamakom do gardła.

Maxym Żeleźniak wezwał mnichów do poświęcenia siczy, okropienia ją wodą, niby wierząc doprawdy, że to czart objawiał się hajdamakom pod postacią Wernyhory.

Ale wielu było takich w siczy Maxyma, co klęli się że Wernyhore kążącego pokutę i przepowiadającego karę na hajdamaków, opromieniała dokoła jasność taka, jaką widzimy dokoła głów świętych Bożych, na obrazach cerkiewnych.

Zawiązawszy konszahty w siczy z niechętnemi Żeleźniakowi, Stanisław wyszedł był z niej z teorbanistą i garścią hajdamaków, udających się na żer, i upatrzywszy porę dogodną, zemknął z kozaczkiem do sw^{to}ich. Przybywszy do komendy zdał wierną relacją przed panem Wilczopolskim o położeniu taboru Żeleźniakowego i o stanie umysłów jego zgrai.

Pan Wilczopolski zważając „na system, naturę i okoliczności” pokusił się o wzięcie siczy, ale siły jego były nie po temu, miejsce to bowiem było mocne i dla zdobycia jego nie takiego potrzeba było oddziału, a komendzie namiestnika brakło działek, bez których nic tu dokonać nie inożna było.

(*) Wykrzyknik używany na kota.

Stanisław Junosza pozyskał aplauz powszechny; namiestnik poruczał mu małe podjazdy na hajdamackie "szajki," pod opieką doświadczonego kozaka, i te mu się zawsze udawały wybornie: znosił on kupy tych rabusiów, a nieraz te same mu się oddawały na łaskę, skoro jego znajomi z siczki poznawali w nim swego poufnika. Młodzież polska garnęła się do Stanisława coraz więcej i pokładała w nim wiarę i ufność nieograniczone; za nim poszliby oni w ogień i w wodę, ci zwłaszcza co nosili przyjacielski jego mundur. "Czubaci," nie wiele go sobie cenili z początku, ale i ci przyznali mu w końcu to, że mężnym jest i ma spryt potrzebny żołnierzowi. Jakkolwiek bądź Stanisław nic zmieniał nigdy charakteru swego; zawsze był cichy, skromny, a potulny. Coraz przybywało po kilku ze szlachty do komendy, ale co to znaczyło na tej granicy, wyciągniętej na mil kilkadziesiąt, a огоłoconej z wojska, kiedy oprócz tego wewnątrz Ukrainy tworzyły się nowe kupy rabusiów i wichrzyciele przeciągali do siebie kozaków grodowych i szlacheckich!

Pomiędzy młodzieżą przybyłą do komendy namiestnika, był jeden młodzian, starszy od Stanisława o lat kilka może, ale nędzny, mizerny, blady, we fraczku, upudrowany, zwinny i pachnący miastem zdała. Stanisław był wtedy u namiestnika, kiedy się mu przedstawił ten kawaler: Mam honor prezentować się panu namiestnikowi, jestem Stanisław Junosza do usług pańskich i na posługę publiczną.

— Kto taki? — spytał zdziwiony namiestnik.

— Stanisław Junosza.

— To zapewne stryjeczny waszmościa?—rzekł namiestnik obracając się do Stanisława,

— Nie—odpowiedział ten, równie zdziwiony—nie mam zgoła krewnych; jegomość chyba imiennik jaki.

— Alboż mało w Polsce mamy szlachty jednego imienia, nazwiska i herbu? Ale dziś mniejsza o to, jakiej kto jest krwi, panie namiestniku, byle ta była poczciwa i byle była gotowość przelania jej w sprawie i obronie kraju.

— Dobrze mówisz młodzieńcze, bardzo dobrze mówisz! Takie są dziś: system, natura i okoliczności. Obrona ojczyzny to grunt, a o resztę mniejsza. Poznajcież się z sobą i pokochajcież się kawalerowie moi; musi być pomiędzy wami jakieś, choć dalekie, pokrewieństwo. Wreszcie w kraju naszym, wszystka szlachta spokrewniona jest z sobą, więc tem bardziej waćpanowie, co nosicie jedno nazwisko, musicie być *swoi*.

Stanisław podał rękę swemu krewniakowi, który spadł mu niespodzianie jakby z nieba; jednakże, chociaż dłonie się ich złączyły, w oczach swego imiennika upatrywał on dla siebie jakby pewną ukrytą niechęć, a nawet może nienawiść.

Kiedy Stanisław, dawny nasz znajomy, wychodził od namiestnika, Michał spytał go:

— To to waszmoścín krewniak ów kawaler, co ztąd wyszedł?

— Nie, imiennik tylko.

— To i dobrze, bo coś mu, z przeproszeniem waszmościa źle z oczów wygląda.

Stanisław nie myślał się wcale sprzeczać o to z Michałem. Ale stary namiestnik cieszył się z tego zbliżenia. Oto dobrze! mieliśmy dotąd jednego Junoszę, a teraz mamy dwóch! Bodaj tacy i na kamieniu się rodzili *pro publico bono*, by ich było tyle, aby z nich huf cały można było utworzyć. A dla naszego chłopca to dobrze bardzo, będą z sobą towarzyszami broni i na krok nie odstąpią się w boju. O! to dobrze, Michale, mieć takiego *cioska*, takiego *druha* w bitwie, co to mosanie gardło za cię nadstawi i krwi własnej nie poskapi.

E! u jegomością zaraz swoje!—mówił mu na to Michał. — Ja nie wiem nawet czy jest tam u tego drugiego krew za skórą; to jakaś musi być jucha.

— o! o! o! a to co znów! o! bardzo proszę!

— Już milczę jak ryba, jegomościuniu!

I Michał wracał do swego kąta czyścić broń pana swego. Ale namiestnik wołał go znowu do siebie:

— No! no! chodźno tu stary! Pogadajmy. O! są muchy w nosie, są! potrzebaby było je waści wypędzić. — I klapką do much, leżącą zawsze na stole uderzał Michała po plecach.

No, co to upatrzyłeś do tego kawalera? Jużci nasz Staś co innego, ale i ten może być dobry takż do kordą, cliocia to jakiś fireyk miejski, migdalikfraczkowicz; ale nie myśl waść: o! i z takich bywają żołnierze dobrzy, o! bywają! Już to jedno za nim przemawia, że przyszedł tu, kiedy kraj potrzebuje! O! — dodał wskazując palcem—widzisz, takie są teraz system, natura i okoliczności.

Stanisław miał raz jednego wyjechać z podjazdem na hajdamaków, o których doniesiono komendzie przez szpiegów; namiestnik dodał mu za towarzysza Junoszę II. Przepawszy się z wieczora, młody towarzysz wstał w nocy i modlił się, klęcząc przed obrazkiem danym mu z błogosławieństwem, prosząc o powodzenie w bitwie z wrogiem, kiedy do izby wszedł imiennik jego. Widząc że Stanisław modlił się; usiadł na ławie i czekał.

Przeżegnawszy się i powstawszy od modlitwy, młody żołnierz powitał gościa życzeniem dnia dobrego; światło łożówki padało na twarz przychodnia i twarz ta wydawała się jeszcze bledsza: była to jedna z tych twarzy białych a pełnych, jakby z łożu odlanych. Gość uśmiechał się do gospodarza, podając mu rękę, ale w oczach igrał inny wcale uśmiech, pełen chytrłości i szyderstwa. Oczy te nawet były osobliwsze-

go rodzaju, bo w jednej źrenicy odróżnić można było trzy barwy, między którymi przemagała barwa żółto-zielonkawa.

— Kolego kochany, pan namiestnik umieścił mię w podjeździe waszmości; chce on utworzyć z nas towarzyszków broni, braci krwi: a kto wie, czy u nas nie płynie nawet jedna krew rodzinna? Uprzedził mię o tem namiestnik, bom chciałem waszmości *motu proprio* ofiarować serce druha i afekt braterski. Czy zgoda? Bądźmy nierozłączni w boju i zastawiajmy się jeden za drugiego! Dwie ręce i dwa kordy więcej zapewne znaczą niż jedna dłoń zbrojna.

- U nas wszyscy są sobie braćmi, mości panie Junosza; każdy gotów jest krew swoją wylać za drugiego: bądź waśc o tein przekonany.

— Tak! ale ja chciałbym pozyskać sobie szczególne względy waszmościa i zasłużyć sobie na afekt jego; mogę więc mieć nadzieję, że to z czasem osiągnę?

— Ale czemuż nie? Tylko teraz czas nie potemu, nie traćmy go na słowa; za kwadrans siadamy na koń i w pole.

— Ja koło waszmości, nieodstępnie, jak pod skrzydłem Anioła Stróża.

— Bardzo mię to cieszy! — A w duchu myślał sobie Stanisław: czego on chce odemnie? Czy tchórzy, czy chciałby doprawdy pozyskać sobie we mnie stróża i obrońcę od spisy kozackiej?

Ledwo na brzask poczęło się zbierać na niebie, na wygonie wioski ukraińskiej szykowało się już towarzystwo i kozacy. Powietrze wiosenne było świeże, wonną wilgocią nasiąkłe; rosa obfita wisiała na listkach lip i wierzb; mgła gęsta unosiła się po nad stawami; ptastwo wodne odzywało się na nich, przeczuwając świtanie; konie parskały, słowik śpiewał w łożach. A ludzie myśleli o przelewaniu krwi! Ale

było to rzeczą konieczną: miała się przelać posoka zbójów. Ksiądz słuchał spowiedzi niektórych.

Wszyscy się schodzili należący do podjazdu, nawet pan Franciszek Poiwa i pan cześnik Puszcza, nawet wpisany w poczet rycerstwa Błażej Służalski.

Pan Franciszek i pan Joachim walczyli razem i dobrze; pan Franciszek tęgi był do kordą: pierwszej rąbnął pałaszem niż wymówił słowo.

Pan Joachim za to rąbiąc u jego boku, zawsze po swojemu mruczał sobie pod nosem: „otóż, bo to to! A widzicie *mu-die* (chłopi)! A mówiłem wam: *pryjdziesz Jurku do porachunku!*”

Co się rzadko zdarzało, obaj przyjaciele byli na czczo, bo tylko co przystępywali do komunii. Świat dziwnie musiał się im jakoś wydawać.

Błażej wyborny był przy podjeździe, i kiedy przystępowano do rąbania pałaszem, gęba mu się nie zamykała, kłął on po turecku: „*Anasyni! babasyni!*” i ciął w lewo i w prawo, a kłamał potem za dziesięć.

Sozya Stanisława nie bardzo był spokojny, przystępując do tego tańca; bledszy był jak zwyczajnie i skarżył się że mu kliwo było.,, Co to za walka z temi chamami! Ty bijesz się w pałasz, a on jak Tatarzyn arkan na cię narzuca! Zmiłujcie się waszmoście, gdyby mię to spotkało, śpieszcie odciąć sznur, bo krótkiego tchu jestem i może to mię udusić odrazu. Panie Franciszku przyrzekasz mi to waszmość?

— A-a-a-dobrze!

Pan Franciszek nigdy się z nikim o nic nie sprzeczał, o coby go nie proszono; mówił zawsze: „a dobrze!” Z żoną w domu nigdy się nie wadził; mówił „a dobrze!” a swoje robił.

Cześnik tylko na prośbę towarzysza owego, mruczał sobie pod nosem: „Co ma wisieć to nie utonie! Coś tchórzy, jak widzę, ten „pudermantel” mówił do pana Franciszka.

— Oto! tak wcześniej!

Jednakże, w potrzebie, „Sozya” bił się dobrze z zamrużonemi oczami; coś tak się bije tchórz przywiedziony do ostateczności. Nie odstępował on Stanisława, ale temu to nie wyszło na dobre: wrócił z wyprawy z raną, w ramieniu. Nic mógł zrozumieć, kiedy i jak ona go spotkać mogła. Widocznie musiała ona mu być zadana z tyłu, a on nieprzyjaciela miał tylko z przodu. W zapale bitwy nie uczył bólu, a cięcie było niebezpieczne, bo tylko o kilka linii dalej gdyby się było posunęło żelazo, a trafiłoby mu w samo serce.

Balwierz opatrzył ranę i Stanisław w kilka dni potem znowu wyjechał na podjazd; tą razą Sozę spotkała przygoda: hajdamaka schwycił go na arkan, ale w pół i pociągnął daleko.

— Stanisławie,—wołał jego *ciosek*,—Stanisławie, ratuj mię, bracie! Odbij mię, jak Boga kochasz, a ja powiem ci tajemnicę twoją, powiem ci kto jest ojcem twoim!

Choć już był daleko, a kupa hultajów wielka, Stanisław rzucił się za towarzyszem, aby go ocalić. Coś znajomego dźwięczało w tym głosie, który wyrwał się tą razą z samej głębi piersi, bez wymuszenia wszelkiego i przesady.

— Nie idź, bo zginiesz!—wołali na niego koledzy, ale on poleciał tam gdzie go wołano.

— Ha! więc i my tamtędy!—zawołał Błazej. *Bismi UachP'* (w imię Boga) krzyknął, dobywając kordą i lecąc za wrogiem.

— I my! i my! — wołali towarzysze, noszący mundur przyjacielski Stanisława.

1 cały pluton puścił się w pogoń za hajdamakami. Najbliższy z łotrzyków owycli wystrzelił i przedziurawił czapkę Stanisławowi; ten dobył pistoletu i wystrzelił: kula trafiła w samą

pierś hajdamaka ciągnącego „pudermantla,” jak go nazywał cześnik.

Zapaleni Polacy dopóty się uganiali po polu, dopóki nie znieśli do szczętu kupy hajdamackiej; kilku tylko rabusiów salwowało się ucieczką do jaru porośłego lasem.

— *Aferim!* (wyśmienicie) — wołał Błażej wkładając pałasz do pochew. — I oszczędziliśmy gardła temu jegomości i rozbiliśmy do reszty „watahę” ową. Bimbasza dałby nam za to trzy kiesy złota.

Wróciwszy do domu, Stanisław zaprosił do siebie na kwatery „cioska” swego, a posadziwszy na ławie, odezwał się do niego:

— Mówiłeś waść, że wiesz kto jest ojcem moim: powiedz więc.

Na twarzy łojowej zaigrało coś, co przypomniało życie, a w oczach obudził się ów wyraz koci: złości, obłudy i chęci poigrania z ofiarą!

— Mówiłem to?

— Jakto, pytasz waść mię o to?

— A cóż dziwnego, że pytam; wszak ja się nie dziwuję temu, że się waść pytasz mię o ojca swego! Prawda, że Francuzi mówią: „mądre to dziecię co zna ojca swego!”

— Słuchajno waść, nie czas żartować, bo za podobne żarty krwią się odpowiada: albo mów, albo cię zdławię, jak ów arkan hajdamacki.

— Dobrze, ale cóż waści potem? Nieciekawych wcale rzeczy się dowiesz odemnie! Waści ojciec, jest ojcem waści—to prawda, ale ojcem z lewego boku, rozumiesz mię waść? A ja jestem *prawym* synem tego ojca; więc jesteś mi bratem także na lewą stronę. Na lewą stronę! Krawcy tak mówią, laedy chcą wyrazić przez to materyą na wywrót. Jesteś Więc mi bratem *na wywrót!*

— Daj dowody, daj mi dowody, bazyliżku, tego co mówisz, albo cię zadławię, jak dławia, szczenie ziemne.

— Dobrze, dam ci dowody: ze mną jak z barankiem. Tu dobył z zanadru dużego pugilaresu ze skóry czerwonej, a z niego dostał trzy listy, pisane ręką kobiecą.

Charakter pisma był elegancki, ale osobliwy: Stanisław poznał je odrazu. Były w listach tych zwierzenia się miłosne kasztelanowej, którą poznaliśmy w początkach tej powieści. Listy mówiły o Stanisławie, o Stanisławie Junoszy, opisywały z największemu szczegółami jego przyjście na świat i chowanie się u dzwonnika. To było w liście trzecim: dwa listy pierwsze zawierały w sobie same oświadczenia się miłosne. Jakkolwiekby, Stanisław nie widział nigdzie wzmianki w liście kasztelanowej, aby ona mówiła o nim jak o dziecięciu swoim, ani też aby się o nim wyrażała z uczuciem macierzyńskim; przecież mogła być ona i matką, chociaż matką obojętną.

— Zkądże dostałeś tych listów?

— Dostałem je z biurka jegomości. Jegomość rodzic mój, chociaż ma czułe serce, jak" to widzimy z tej oto korespondencyi, mnie prawego potomka trzyma ostro i nic mi nie daje. Ty stanąłeś mi na drodze; od czasu twego urodzenia, niema on dla mnie uczucia ojcowskiego.

— Fałsz: aniś ty mi bratem, ani kasztelanowa mi matką; wszystko to jest fabrykacją i odpowiesz kiedyś waść za to przed sądem: odtąd jesteś mi wrogiem śmiertelnym.

— Ha, cóż robić, niech i tak będzie. Brat na brata powstanie.... jest to gdzieś przepowiedzianem nawet. Bywajże mi waść zdrów i pisuj do mnie na Berdyczów.

— A pamiętaj nie wpadaj drugi raz w pętlę hajdamakij bo już nie nadstawię łba za takiego....

Dumając nad tem, przypominał sobie Stanisław czym dźwiękiem znajomym mu dobrze brzmiał głos wroga jego: był to głos kasztelanowej.

I dwaj „towarzysze broni,” jak zwał ich namiestnik, rozstali się z sobą w najgorszej dysharmonii. Chciał wyzwąć go Stanisław na rękę, ale nuż doprawdy myślał on sobie, jest tam jaka kropla krwi ojcowskiej? Wreszcie z podobnym gałganem nic warto było rąk walać. A trudno było wytrzymać razem będąc z tym człowiekiem, w którego oczach widział on zawsze obelgę dla siebie, chociaż, napozór, słowa jego były grzeczne i słodkie jak lukreeya. Był to układny kotek, ale złości pełen i drapiący jak hycną. I wzrok jego odpychał każdego. Niektóre kobiety tylko mówiły czasami, że twarz jego lojowa, a oczy pstre były powabne, zwłaszcza przy fryzurze, którą czasami pudrował proszkiem bursztynowym, to znowu białym, a zawsze pachnącym donośnie i pochodzącym z Paryża samego. W stroju jego było wiele elegancyi, chociaż widocznie była to elegancya dość nie nowa, przeszarzana; ale tu każda jego suknia miała jeszcze powab w oczach pań gubernatorowych, jeżeli która z nich była za fraczkiem i pudrem.

A

Na podjazdach nie odznaczał się Sozya zapalem mężstwa zbytniego, i dlatego jeszcze nie miał on miru pomiędzy kolegami.

Jakoś w środku już lata donieśli szpiegi, że Żeleźniak opuścił z wielką częścią swoich Sicz w lesie i ciągnął pod Czerkasy. Namiestnik zebrał swoją garstkę i posunął się z podjazdem pod miejsce, w którym się ta zgraja zatrzymała. Ale tą razą nie udało się było: kozacy z Czerkas nie przyszli: Polacy stali na polu, a hajdamacy w lesie utajeni razili z samopałów towarzystwo. Nareszcie wysypali się w pole, ale w takiej liczbie przeważnej i z taką wściekłością, że

potrzeba było ustąpić w końcu, inaczej cały zastęp padłby na miejscu. Zatrąbiono ucieczkę i podjazd podał tył. Stanisław był na samym końcu, wojsko bowiem było rozsypane; hajdamacy zatrzymali się, bali się ścigać, bojąc się zasadzki; jeden tylko gonił za Stanisławem, ale koń dzielny „towarzysza” jak strzała go unosił. Sozia, co był także niedaleko, zawołał do Junoszy: „teraz odpłacę waści za wybawienie moje.” Wymierzył i wystrzelił, ale nie w kozaka: ten był jeszcze daleko, a w konia Stanisławowego: ten padł i jeździec dostał się w ręce hajdamaków.

XXII.

Wróćmy teraz do Czerkas. Kiedy pod Czerkasami miała być bitwa, wigilią, dnia tego, jakoś w poniedziałek, w pierwszy dzień postu przed świętym Piotrem, wjechało do Czerkas dwunastu nowozaciężnych hajdamaków na zwiady. Na drodze, już na przedmieściu, trafili na Amiryka wójta czerkaskiego, więc pytają go: „a gdzie tu taki a taki wójt?”
A ten:

— Ja to, mówi, jestem.

— Prowadźże nas na kwaterę, kiedy tak'.

Andryjko, rad nic rad, poprowadził ich do siebie. Posłali do pana gubernatora Sielskiego na zamek, aby dał trunków; ten im zaraz przysłał je, bo wszyscy bali się hajdamaków. Piją tedy a przymawiają: niechaj Lach wraży daje, potem zwiążemy go i powieziemy do kosza.

Andryjko przychylny będąc ku panu gubernatorowi, dalej na zamek i mówi: strzeżcie się, taka bowiem i taka rzecz.

Więc pan Sielski zamknął się w zamku, a hajdamacy pokręcili się trochę po pod częstokołem i powrócili do siebie, do kosza. Koszem zaś stali oni u wielkich kurhanów.

Dziwnie swywolni byli ci nowozacieczni! Idzie bywało ulicą, jak spostrzeże na podwórzu chłopka, wyjmując pistolet i woła zaraz: „Do chaty wraży synu, a to cię poczęstuje i chatę ci spale!” To chłopak chyłkiem zmyka pod szepę, klnąc go co się wlezie.

Pan Sielski nie wiedział co ma począć; kozacy jego wątpliwej byli wierności i nie chcieli przyłączyć się do komendy pana Wilczopolskiego, dla wydania bitwy u Wielkich Kurhanów. Wszyscy radzili mu uciekać, chłopci przywiązani do niego z Anrlryjkiein wójtem, na czele pułkownik Pacyna i leśniczy Żukowski.

Przemógł stanowczo na radzie walnej głos samej pani gubernatorowej, która jednak przy tej ważnej sprawie nie nowego nie powiedziała, a powtórzyła tylko swoją zwykłą przestrożę, udzielaną mężowi:

„Pamiętaj aspan o tem, żeś aspan stary!”

Poznał tą razą gubernator, że jejmość miała racją i wraz z nią, pułkownikiem kozackim Pacyną i Żukowskim leśniczym, wyniósł się gdzieś przed hajdamakami na tamtą stronę Dniepru: miał tam bowiem przyjaciół, z którymi go łączyły stosunki sąsiedzkie.

Tegoż samego dnia, po wyniesieniu się gubernatora, rozeszła się wieść, że się zbliża do miasteczka wojsko kozackie od Białozerskiego kołowrotu, albo „Carynyj a k go tu lud zowie.

Na przodzie jechał ataman sam na bułanym koniu, w karmazyn przyodziany. Na głowie miał kołpak z siwych baranków, buty safianowe na nogach, pas szalowy, a za pasem pistolety były włożone; u boku wisiała szabla. Był to

Ataxym Źeleźniak. Człowiek lat średnich, może mu przeszło było za czterdziestkę; twarz była pełna, okrągła, wzrostu niewielkiego, ale pleczysty; wąsy rude, za uchem osciedec. Mars na czole i oczy straszne.

Za atamanem po dwóch w rzęd kozaków jechało, ze spisami; u kilku par przednich spis były chorągiewki we dwie barwy, ale różne: białe i czerwone, żółte i czarne, czerwone i granatowe; kto miał z czego tak sobie je i sporządził. W tyle oddziału szli piechury bez broni, oprócz kołów dębowych, zaciosanych na końcu i osmalonych. Były to rohatyny litewskie, z którymi tam chodzą na niedźwiedzia. Lud to był nowozaciężny: winniki, browarniki, skotopasy i inna podobna hałastra. Pomędzy nimi szedł wóz zaprzężony wołami; na wozie tym leżał związany Stanisław Junosza: miano go obwiesić publicznie w Czerkasach.

Przez most hufiec podążył wprost do zamku; widać że wiedzieli dobrze o tem, iż kozacy zamkowi czekają na nich, aby się połączyć z nimi. Podobno nawet brama baszty była otworzona na oścież. Na dziedzińcu zamkowym uszykowali się, a piki poustawiali w kozły. Widać dla okazania załodze, że przychodzą jak przyjaciele. Źeleźniak zakomenderował:

- Z koni!

Na ten rozkaz hajdamacy zlcźli z koni i pouwiązywali je przy stajni, około źerdzi.

Ataman, z dziesięcią może ludźmi, poszedł wprost do pokojów. Naprzeciw niemu wyszło może także kozaków zamkowych z dziesięciu, z atamanem swoim Buźkiem na czole, co z Cesarskiej slobody. Pozdejmowali czapki przed Źeleźniakiem i on zbliżywszy się do nich zdjął czapkę, ale zaraz ją sobie nałożył na bakier; gospodarze zaś stali przed nim z głową odkrytą.

— Pozdrawiam was panowie kozactwo!—przemówił Maxym.

— Zdrow bądź atamanie bat'ku!

— A gdzie jest ataman wasz?— spytał następnie.

Więc ataman Bużko wyskoczył do niego naprzód z gromady, bez czapki. Maxym, na powitanie jego odkrył głowę; dwaj naczelnicy objęli się wzajemnie i pocałowali się.

— No, bracie—rzekł Żeleźniak—proście teraz nas na kwaterę.

— Weszli więc na pokoje.

Kiedy naczelnicy bawili się na zamku, szeregowi nie próżnowali także w dziedzińcu; lud to bowiem był czynny. Dostali sobie siekiere i odbili lamus; otworzywszy drzwi gospodarzyli po nim i szukali czego komu było potrzeba.

Nowozacieżni, niewiele znaczący przy kozakach starszych, poszli sobie gdzieindziej, aby się popisywać i pokazać, co umieli. Udali się najprzód do karczmy i szynku. Postarali się o siekiere i odbili zamek od magazynu z wódką; wpadłszy tu nuż rąbać obręcze na kufach. Gorzałka, jak woda, poląła się ztąd i popłynęła po spadzistym pagórku na którym stała karczma.

Kobiety wiejskie widząc to, nuż zgrzebywać piasek, nuż gacić i wstrzymywać wódkę, a nabierać ją do garnków, które przykryły namitkami, aby wódka się przecedziła.

Hajd:macy kobietom nie robili nic przykrego; biedakom także dawali oni pokój: bogatych tylko grabili, a Lachów i Żydów rznęli.

Cóż się działo w chacie naszych znajomych, starego Cechmistrza i jego rodziny? Cóż się stało z Halą?

Halę udało się Sydohołowkowi wyratować z wody; przyniósł ją do domu i chorowała ona długo: kilka tygodni leżała nieprzytomna w gorączce, Młodość przemogła w końcu

chorobę; powstała ona z posłania, zdrowie się jej poprawiło, ale wesołość jaka jej była zwykłą wprzód, nie powróciła więcej. Ustawicznie to modliła się, to siedziała milcząc schylona nad robotą, blada, ale piękna po dawnemu.

Sydohołowka rad był z tego, że żyła przynajmniej, że mógł na nią popatrzeć i zapłakać w kącie czasami.

Tu na przedmieściu nie wiedzano o tem, że do Czerkass weszli hajdamacy.

Stary Cechmistrz wybierał się jechać drzeć łub z li piny do lasu; Sydoliółowko szył u ławki, pod oknem, Hala w drugiej izbie wyszywała „pałykę” kolorowym jedwabiem, a matka jej krzątała się u pieca; kiedy wszedł do nich miejski kozak Hołowko i przyprowadził z sobą dwóch hajdamaków. Wszedłszy odezwał się do Ceclimistrza:

— Mówią, Cechmistrzu, że macie u siebie buty safianowe, co były u was w robocie dla pana.

— Nie, nie mam; robiłem buty, ale to już dawno temu.

— Chodźcież do Żeleźniaka do zamku i powiedźcie to mu, bo on nam nie da wiary.

I poprowadzili starego. Kobiety łamały ręce i płakały, bojąc się, aby mu co się tam złego nie stało od tycli rabusiów.

Wprowadzili go na pokoje, a ataman Bużko schował się, spostrzegłszy go, do drugiej izby.

Żeleźniak spytał starego:

— Czyś ty jest cechmistrz szewski?

— Ja jestem, panie.

— U ciebie są buty safianowe, coś robił dla pana?

— Robiłem, atamanie, ale to już temu dawno; teraz nie mam.

A Bużko przez szparę, z po zadrzwi, coś mu szepcze, a Żeleźniak przyłożył ucho, posłuchał, a potem odezwał się:

— Nie wiem kto z was dwojga łże, czy ty, czy tamten. No! idź sobie!

Wróciwszy do domu, stary wziął parobka i pojechał do lasu drzeć łub. Jaków Sydohołowko pozostał na gospodarstwie i szył u okna. Aż wtem dwóch hajdamaków pojawiło się pod chatą, a jeden z nich, po zaporozku, krzyknął: *puhu!*

A Sydohołowko znał się na tej rzeczy, odpowiedział mu więc, jak należy: *kozak z tuhu!*

Wchodzą potem do chaty dwaj nowo zaciągnięci, wraz z łołowkiem Iwanem; a jeden stanąwszy na progu, palnął z pistoletu.

Gospodyni krzątająca się u pieca, aż zadrżała cała.

A drugi hajdamaka:—O wraży ty synu! na śmierć przełakłeś mołodycę!—A potem:—No, matuniu, odmykajcie komorę, bo Bużko mówił na pewno, że macie u siebie buty safianowe.

Otworzyli więc komorę. — Otwórzcie teraz skrzynię; — przewracali, przewracali, nic nie znaleźli, nic nie wzięli i poszli sobie z Bogiem.

Więc Sydohołowko znów wrócił do kopyta, gospodyni do pieca, a Hala do rękawów.

Wtem przychodzi jeszcze jeden hajdamaka, obdarty, w kaftanie żydowskim, a takim ciasnym, że na piersiach się nic schodził; na nogach miał postoły.

Zbliżył się do ławy, przy której szył Jaków i pyta go:

— Komu ty szyjesz te buciki?

— Sobie—rzekł z nieukontentowaniem szewc.

— A no, doszywaj, bracie, już niewiele do skończenia.

To mówiąc usiadł na ławie, czekając póki Sydohołowka nie dokończy roboty.

— A co, doszyłeś, braciszku?

— Już do szyłem.

No! oto masz; weź sobie te postolki, a ja obuję twoje buty; ty sobie poszyjesz lepsze jeszcze od tycli. Muszą być dobre! Dobry szewc z ciebie! (*)

Obuwszy, mówi:—wy na nas pracujecie, a my na was. Jutro Lacha obwiesimy tu na rynku; śliczny Laszek! młodziutki, z komendy polskiej: będzie na co popatrzeć! — To powiedziawszy wyszedł.

Hala podniosła głowę i popatrzyła niespokojnie; pierwszy raz od jej wyzdrowienia objawiło się w twarzy jej życie i zajęcie się czemś.

Kiedy wtem wbiega do chaty sąsiadka Wiwdia i oznajmuje im, że kwateranta ich Stanisława przywieźli na wozie hajdamacy i jutro mają go obwiesić na rynku. To powiedziawszy pobiegła z językiem, rada, że ma ciekawą i interesującą nowinę, aby jeszcze objawić ją matce, Hali i babce, które były pod ten czas w sadzie.

Hala jak kotka, jednym susem poskoczyła do Sydohołówka i schwyciła go mocno za rękę.

— Jaków! Tyś mię wyratował z wody, za co ja mam wieczny gniew do ciebie; oświadczasz się, że mnie kochasz i chcesz mnie swatać: słuchaj więc! Wybaw ty i wypuść na wolę Stanisława; przewieź go na tamtą stronę rzeki, a ja pójdę za ciebie.

— Jak ci Bóg miły?

— Tak, niech mi Bóg dopomoże i Matka Jego Przeczysta! Widzisz ten obraz? przysięgnę ci na niego! Chcesz? zjem garść ziemi! Niech poczernieję jak ta ziemia, jeżeli nie dotrzymam ci przyrzeczenia.

— Ha! pójdę, i albo będziesz moją, albo na świecie bożym niestanie Jakowa Sydohołówka. Słuchaj Halu, daj mi jeno miodu starego flaszę i nalewki, a może się to przyda.

(*) Z powieści ludu w Zapiskach P. K. o Ukrainie.

Hala wzięła klucze ze ściany i przyniosła z lochu dwie flasze pełne trunku; a także dała mu palanicę świeżo upieczoną. On wziął oboje za pazuchę, przeżegnał się i wyszedł z izby.

Dokąd się uda? Ha! miał on przyjaciół. Miał on druha Prochora Kowalczuka; miał Jakowa Pindiura, co go kochał tak jakby on był „skotynką”; miał wreszcie ciotkę, znachorkę, mieszkającą w jarze, za miasteczkiem, a pomagającą ludziom w ich potrzebach.

Należało najprzód dowiedzieć się o Stanisławie, gdzie był umieszczony, kto go pilnował, jakby było można dostać się do niego i wykraść go z więzienia.

Udał się więc na miasto; a w mieście muzyka, śpiewy, pijatyka, Mołodyce chodzą po ulicach i rynkach i tańczą z kozakami, a skrzypice i cymbały grają, a tamburyn huczy, aż w uszach łaszczę. A mołojcejak żaby skaczą na przysiu-dy po rynku, a tropaka tra ta-ta! tra-ta-ta! tak wybijają głośno, że aż ziemia pod nimi dudni. Chłopi tylko częstują wódką i dopóty ich cierpią w kompanii, dopóki mają flaszę zanadrem. Z żydów trupy tylko walały się po ulicach; ale tych było niewiele, bo w Czerkasach żydów było tylko kilkunastu i wielu z tych uciekło.

Kogo tu spytać? Ani przystępu szewczykowi. Nie tacy jak on pokorni i niżsi od trawki młodej, ani pisną, a z domu bez czapek wychodzą, bo przed każdym skotopasem z hajdamackiej szajki zrzucać ją im potrzeba. Szczęściem niedaleko od domu Szmula Pleszywego spotkał Kowalczuka Prochora.

- Zdrów bądź bracie!
- Bądź i sam zdrów Jakowe!

— Prawda/ to, że towarzysza tego, co stał niedawno u nas, mają jutro wieszać?

— Prawda bracie; widziałem go. Wiesz, że serce boli pomyśleć, że się on dostał tym „złydniom” w zęby. Taki kochany panicz!

— Gdzież go trzymają?

— Trzymają go u Tytora w piwnicy, w sadzie.

— A gdyby go wykraść?

— Dobrze! To nie z twoim nosem dokazać tego! To nie buty szyć....

— Tak trudno zamki odbić i dostać się do piwnicy?

— Do piwnicy można się dostać i zamków łamać niepotrzeba: byłem ja w niej nie raz, bo potrzeba ci wiedzieć, że Tytor ma tam wyborny miodek stary, czysty lipiec! i namięszął do niego takich jakichś korzeni przednich, że jak się napijesz, to aż się oblizasz ale nie wtedy tam leżać, bratku, kiedy u drzwi stoi warta złożona z czterech kozaków, z takimi wąsami nastrzępionymi, jak miotły, a ze ślepiami jak żar palącemi.

— Którędyż ty łąziłeś do lochu?

— Aha, chce ci się lipcu? Nie! nie głupim, nie powiem!.. Ale. prawda, mogę ci powiedzieć—już tam czysto.... Mołojcy wypili. Do jutra może w Czerkasach całych czaruki gorzałki nie będzie; ci hajdamacy, wraże syny, leją tak w brzuchy, jak w beczkę, a tacy tłuści jak te „paculci.”

— Iitórędyż łąziłeś?

— Tam za lochem jestduszniak; gracki chłopak i spuścić się może do niego i nazad wyleźć:jest tam w tem mój sekret!

— Więc tylko idzie o hajdamaków?

— A tak, mała rzecz, tylko oto chodzi!—rzekł śmiejąc się Kowalczuk.

- Ale gofoweś mi pomagać?
- Jeżeli będę widział że co wskóramy.
- Ale zmiłuj się!

I szewczyk wypowiadał się mu zupełnie; opowiedział mu o Hali, o tem, że od tego zależało szczęście całego jego życia.—Jeżeli ona nie pójdzie za mnie, ja sam sobie śmierć przyspieszę—dodał machnąwszy ręką.

— Ale chodźmy do ciotki, ona znachorka, może nam co poradzi, bo jak kto mi w tem nic dopomoże, to wszystko przepadnie.

— Chodźmy, bracie; ja na twoje usługi.

Poszli do znachorki. Mieszkała ona w jarze, w ziemiance. Jar głęboki porosły był leszczyną od brzegu, a na dole samym wznosiły się w górę jesiony stare, klony i lipy dziuplaste, powypalane i poobdzierane z kory, a pomimo to żywe i zielone.

Było to prześliczne ustronie, choćby dla anachorety. Samym środkiem jaru płynął strumień wody źródlanej, jak lód zimnej, nawet w największe upały letnie.

Ziemianka przyparta była do pochyłej ściany wąwozu; grunt był glejowato piaszczysty, więc dawał się kopać wybornie w ściany i nic osuwał się; więc kopano w nim lochy głębokie, ziemianki i te stały choćby wieki. Taką była ziemianka ciotki Ewy. Dach /e słomy pokrywał powój „perestupen' zwany; do jego jasnych liści mieszały się ciemne liście chmielu; z poza splotów tych roślin zaledwo można było dojrzeć okienka i drzwi chatki. Kogut chodził po dachu i trzepotał skrzydłami; na progu kot się umywał, a sroka skrzeczała przelatując po nad gniazdem swoim, spostrzegłszy obcych przechodniów.

— O! widać ktoś tam idzie do mnie, kiedy sroczka skrzeczy — dał się słyszeć głos wewnątrz; — a kto tam?

- To my, ciotuniu, swoi.
- Ty Jakowe?
- Ja i Prochor.
- Chodźcież.

Otwarli drzwi i znaleźli się w sionkach. Tu pełno było ziółek rozmaitych, powiązanych w pęczki i pozawieszanych u pułapu. Stały i flaszki jakieś na pułkach; niedoperz trzepotał się w słoju: w drugim była żaba ropucha ogromnej wielkości.

Prochor popatrzył na to i zrobił jakąś minę dziwną.

Weszli do chaty. Izdebka, choć ziemianka, ale była wysmarowana czysto; był i obraz w kącie głównym domu, osłonięty ręcznikiem wyszywanym, a przed „ikoną” świeczka woskowa; na stole zasłanym czystym obruskiem leżał bochen chleba, a na nim drobek soli. Przytem talia kart. Ławki były czyste, ziemia ubita gładko i zamazana gliną rudą. Na policach sprzęt wszelki, ustawiony starannie. Skrzynia malowana w jednym kącie. Na „połu,” u pieca, pościółka schludna. Na przypiecku dzieża chlebna. U belki także pęki ziół rozmaitych.

Ciotka Jewa była tylko w oczepku w kwiaty, z materii jedwabnej z szychem: był to negliz, wzięła więc chustkę i zawiązała nią sobie głowę. Koszula na niej była czysta, spódnica porządna, sama wyglądała dobrze, na twarzy jej były ślady piękności niepospolitej. Oczy miała czarne, czyste i głębokie; spojrzenie rozumne. Widać było ze wszystkiego, że ciotka Jewa umiała sobie radzić, że dobrze jej się działo.

— Siadajcież chłopcy, siadajcie, o tu za stołem; wyście u mnie pierwsi goście. Cóż liajdamacy gospodarzą, u was? A Hala? Cóż ty ze swoją Halą, zawsze nie możesz przyjść do ładu chłopcze? Oj młodość, młodość! U was zawsze miłość w głowie, cłopókiście młodzi. A co to miłość? Jad co truje życie. Znasz ty, Jakowe, tę piosnkę:

Wy luboszczy, wy myłoszczy,
Ilirsze toi neinoszczy!
Oj ja nemoszcz perebudu
Ob łubowi nezabudu!

Jaków opowiedział całą rzecz, zaklinając ciotkę, aby mu pomogła, ho bez Hali zginie.

— Więc idzie tylko o to, żeby pokonać tych Zaporózców? Jeżeli tak, to ja to biorę na siebie. Bądźcie pewni, że dam im rady. Ty Prochorze, na wszelki wypadek weź swój młot kowalski. Zda się czasem. A dąb niech będzie gotów na Dnieprze; wiosła schować w krzakach. Jakowa Pindiura uprzedźcie, to wam pomoże wiosłem robić, Ale potrzeba tylko trunku dobrego, miodu czy wina, czy wódki; widzicie, bez tego nic zrobić nie można.

— Jest ciotuniu miód stary, cechmistrzowski, znany w Czerkasach całych, i wódeczka jest, oto i palaniczka tylko co z pieca—a to mówiąc Jaków stawiał na stole flaszki i kładł palanicę.

— Dobrze, dobrze, zostawcie to u mnie, potem się ten trunek przyda, a sami idźcie, uprzedźcie Jakowa Pindiura i przygotujcie się, a pamiętajcie o młocie i łomie żelaznym, może się to przydać jako narzędzie i jako broń. Wieczorem będę na was czekać u zórawia nad krynicą.

Chłopcy wyszli spełnić polecenie ciotki.

Jewa wyszła do ogródka, który miała opodal na małej polance, i narwała makówek zielonych; zerwała także gałkę kolczastą z deudery (datura stramonium), kilka torebek z lulka ziela (hyosciamus) i powróciła z tem do siebie. Ugotowała w garnku makówki, nasiona lulka i datury, zmieszała to z miodem i wódką i postawiła flasze, do których przelała napowrót ten trunek, na oknie.

Wieczorem, o godzinie dziesiątej może, udała się znachorka na miejsce wskazane; u przelazu, około żórawia przy studni, stali Sydohołowko i Prochor. Pindiur był już u dębu, na rzece.

Poszli naprzód; przy szynku starszy kozacki zapowiadał głośno, żeby nowi stróże zmienili straż dzienną u więzienia Lacha.

— A na co go strzedz?—odezwał się ktoś z hajdamaków.—Tu już Lachów niemasz choćby tobie na lekarstwo, więc i zamek go ustrzeże.

— Nie mędrkuj, a rób co ci każą, Czerepacho; a pilnuj dobrze, bo jutro szubienica będzie gotowa; jak nie będzie Lacha, to wasza szyja pójdzie do pętli.

— Jest o czem myśleć! A pójdzie, to pójdzie, nikt nie ucieknie od swego losu. Temu napisana śmierć dziś, a temu jutro, a innemu pojutrze. Jak komu napisano przy urodzeniu, tak i będzie. Jak Lach ma umrzeć jutro, to umrze; a jak niema, to choćbyście wytrzeszczali oczy tak, że ażebymy one wam powyłaziły, to i tak nie upilnujecie.

— No, no! nie mędrkuj, a rób.

— Zapewne na wartę pójdę, ale wszystko to prawda, że jak komu napisano, tak i będzie. Przeciw temu nie tyl-

ko wy, ale sam koszowy wojska zaporozskiego nic nie poradzi.

Pohulawszy jeszcze trochę, czterej kozacy udali się na zmianę.

Loch Tytora był w sadzie, niedaleko płotu, od ulicy; ciągnął się on pod ziemią w sad i w głębi, w śliwniaku gęstym, a wychodziły na zewnątrz dwa *duszniki* (lufy) zbite ze czterech opułków. U szyi lochu, obróconej ku płotu, zasiadło dwóch kozaków, po zmianie warty dziennej, i zakurzyli sobie lulki; dwaj drudzy, a w liczbie tej i fatalista, chodzili u płotu tam i назад. to wyśpiewując coś głośno, to klnąc kogoś i odgrażając się.

Księżyc świecił jasno, ale wkrótce miał już zajść. Ulica, chaty białe rozsiane po rozdolach, sady ciemne, cerkiew o trzech świecących kopułach, rzeka w oddali, niebo czyste z białymi obłoczkami: wszystko to tworzyło pyszny i piękny, a pełen efektu krajobraz.

Wtem w ulicy dał się słyszeć głos kobiety podpiętej. Śpiewała ona cienkim głosem, to czasami uderzyła sobie rzęsistego tropaka, to znowu coś mówiła głośno do siebie. Na te tupotanie pies tylko odzywał się czasami daleko, albo pijany kozak, wracający na kwaterę, wrzasnął gdzieś na całe gardło, lub odezwał się grubo z piosenką jakąś *burlacką*. I znowuż wszystko urywało się i wszystko milkło, a potem baba znowu przytupywała podkówkami, a głos jej coraz więcej zdawał się zbliżać.

—O! babę jakąś niesie tu nieczysty!—mruknął do kolegi kozak-fatalista.

— A może to jeszcze jaka młodyczka! Niechaj sobie zdrowa idzie! Spać nie można, pogawędzilibyśmy z nią może....

I rozśmiał się.

— E! babiarz jesteś! U mnie to głupstwo! Niewiasta, widzisz włos ma długi....

— No i cóż w tein złego?

— A rozum krótki....

— To i dobrze!..

— O!—wymówił zbity „z pantaląku kozak.—Ty mówisz, dobrze?

— A pewno.

— Ha! może *ono* doprawdy tak dobrze; wszak Bóg tak dał!..

Baba była niedaleko; już wyraźnie do ucha dolatywały słowa jej piosenki:

Ne żurysia ziatiu prechoroszy,
Zakopała pod wysznejti broszy,
Jak budesz ty doniu lubyty,
Budesz moi broszy liczyty,

— Daj Boże dobry wieczór! panowie kozactwo! Oto widzicie baba Łyphwarka tak mówi do zięcia swego Tarasa; widzicie za nim córka moja Maruszka rubeńka. On ją czasami bije, więc ja mu śpiewam:

A jak budesz doczku ubywały,
Ne budesz ty kopijoczki maty.

— How ha! how ha! Tra — ta — ta! Tra
ta — ta!

— Daj wam Boże wieczór dobry panowie kozactwo,
a Lachów jak najwięcej wytrzebić! Wybaczcie starej Ły-

chwarce, podpiła sobie nieboga; widzicie porałam się długo przy tej biednej Domasze Kaciorenkowej. Oj! cóż tam było krzyku, a rejuwachu, ale baba Łychwarka szczęśliwa do tego! Spytajcie się o mnie, panowie, po całej wsi. Otóż Bóg dał nam syna, jak barana dużego. Wtenczas jak zaczęli babkę poić, a obdar Żele, az strach! Dali miodek takiego słodkiego, że ust po nim ani rozlepić; a stary psiawiara ten miód, może jeszcze Chmielniczyznę zapamięta. Daj wam Boże wieczór dobry panowie kozactwo ! Oto idę do dziada i baby z uzwarem; kazali przyjść do siebie choćby w noc głuchą; nam, mówią teraz nie do snu; więc niosę im tu miodek stary, wódkę pradziadowską, niechaj sobie duszę odgrzeją i poradują się serca chrześcijańskie...Daj wam Boże wieczór dobry, panowie kozactwo!

— E! nie, babuniu, poczekajcie jeno trochę, wszak i nam się coś z tego należy: dajcież skosztować przynajmniej tego sławnego miodek.

— E! nie, panowie! To taki miodek, że byle go tylko do gęby, to już go od ustnie oderwiesz, tak sam się leje w duszkę.

Kozacy przeskoczyli przez płot i odebrali od starej, jeden flaszkę z miodem, drugi ze starką, nie zostawili jej i palanicy nawet...

Baba łamała ręce.

— Och! biadaż moja! Oj lichy! przepadł mój „uzwar” przepadły moje gościńce od dziada i baby. A zmiłujcie się panowie kozactwo, a nie pijcie wszystkiego, zostawcie starym choć na pokosztunek...

Ale flaszkę przechodziły z rąk do rąk; nadeszli i dwaj drudzy do płotu, a wkrótce dwa grube, sześcienne przysadziste sztofy były puste.

— Oddajcież choć flaszkę przynajmniej.... Oto Boga się wy nie boicie! A fe! To grzech odbierać „uzwar święty”

od baby; zakon przykazał nieść go do rodziców chorej, a nie do Zaporozców.

— U nas na Zaporozu inny zakon, babuniu. Ależ miód wasz mocny, w głowie kręci się! O! cerkiew się rusza, księżyc upadł w rzekę, o! hurra! Wleżę na drzewo, wysoko wysoko.

I fatalista drapał się na lipę, co rosła u płotu; inni rwali na sobie odzież, szarpali włosy na głowie; nareszcie wszyscy czterej padli na ziemię bez przytomności wszelkiej.

Ciotka przelazła przez płot do sadu, bo to ona odgrywała rolę babki.

Jaków z Prochosem w sadzie pracowali u duszników; Kowalczyk rozszerzył opółki powietrza po swoim, spuścił się do lochu po sznurze, wkrótce wrócił tą drogą, a za nim ukazał się Stanisław. Kowalczyk porozcinał na nim powrozy, rozkuł żelaza u nóg, bo i świeczki woskowej od obrazu miał kawałek w kieszeni, krzesiwko i siarniki. Porali się spokojnie, bo byli tego pewni, że stróż nie powstanie na nogi. Ciotka widząc że wszystko udaje się dobrze, wróciła do siebie.

Księżyc zaszedł; w cieniu nocy, chyłkiem, drożyną wąską, którą chodzono z wiadrami po wodę do rzeki, zeszli na dół nad Dniepr. W krzakach chrapał na wiosłach diadko Jaków Pindur; ledwo się go dobudowano. Jemu się marzyło, że czuwał w stepie u wołów.

— Ha? co? czy *skotynka* może w szkodę wlała?

— Nie, diadku, ale bierz wiosło i na dąb.

— Aha! otożem zasnął sobie! Siedziałem, czekałem, a oczy skleiły mi się same, zupełnie jak gdyby je kto zszył nicią.

Stanisław i dwaj jego wybawcy uścisnęli się w milczeniu, a szczerze. Łzy stały im trzem w oczach.

Fala kołysała czółno, dębem zwane; Stanisław usiadł pośrodku, Kowalczyk i Pindiur po końcach jego; za poruszeniem wiosł, jak piórko pośliznęło się ono po równej szybie Dniepru, wkrótce nie znać go było na rzece, tylko zdawało się, że jakaś plamka ciemna miga na wodzie.

Sydohółowko przeżegnał się. „O gdybyż tylko szczęśliwie go dostawili do futuru Jurkowego!”

Usiadł pod krzakiem głogu, oparł głowę na rękach i dumał sobie o Ilali i o życiu swoim z nią w przyszłości. Łza mu stanęła w oku. I cóż z tego że zwiążą nam chustką dłonie, kiedy serc Pan Bóg nie związał w raj; czyżem ja jej przeznaczony? Czyż pokocha mię ona kiedy? Wszakże kiedyś nie była mi obojętną! Mój Boże! jak to wtedy było dobrze siedzieć przy robocie, kiedy ona krzątała się w izbie, i swywoliła i śmiała się i wodą oblewała....

Dumał tak, Bóg wie jak długo, kiedy Kowalczyk uderzył go po ramieniu. Dniało już na niebie; dudek się odzywał i kukułka kukała. U wschodu zielono-żółte mieniły się barwy, a potem zaigrał rumieniec pierwszy jutrzeński, jak krasa na licach bladej dziewczeczki.

— No, Jakowe, daj ci Boże czas dobry! Hala twoja, choć dziś możesz się z nią „odrużyć,” Łach już bezpieczny na ruskiej stronie Dniepru. Diad'ko poprowadził go do futuru, gdzie się skryli panowie nasi.

— Ach! bracie ty mój Prochorze! Bóg ci zapłać za tę pomoc twoją wierną! Odsłużę ja ci to kiedyś! Ale Bóg jeden tylko „odruża” z sądzoną człowiekowi od urodzenia jego dziewczyną!

Wrócili dwaj przyjaciele przed wschodem słońca; jeden do kuźni, drugi do kopyta.

Kiedy Jaków wracał do „hospody” (chaty), przy wrotach zastał on wspartą na nich Halę; oczy miała czerwone, zapłakane, a twarz bladą. Spostrzegłszy go, dziewczę podbiegło ku niemu i uchwyciło go za rękę: — A co, Jakowe? Cóż Stanisław? Mów na miłość Boga!

I zachwiała się, a parobek ujął ją wpół i przytrzymał.

— Bóg z wami Halu ! Czuwał nad nim Bóg i ludzie dobrzy; Stanisław z diad'kiem Pindiurem już daleko za Dnieprem; odprowadzają go oni do Jurkowego futuru, do panów naszych.

— Nie zwodzisz ty mię, Jakowe? — spytało dziewczę, oddychając swobodniej, a w oczach jej zagrała radość i jakieś uczucie nowe wcale dla parobka.

— Oj! Halu, Halu! Także wy mię znacie dotąd! Wiecie co, Halu? Kochając was, jam czuwał nad nim waszem sercem własnem, tak jak matka czuwa nad dzieckiem rodzonym. To dziwna, wy nie dacie wiary temu, ale i ja go kocham, Lacha tego.

— Dobry bracie mój — rzekła Hala, biorąc go przyjaźnie za rękę; — odtąd jam twoja, ale nie zapominajmy o nim.

— O! nie, Halu; odtąd będzie on dla nas bratem.

— Tylko, tylko bratem, wierz mi Jakowe ! Tyś mu był „druhem” w niedoli, kiedy opuszczonego od wszystkich czekała śmierć sromotna. Dziś więc „odrużysz” się na wieki z biedną Halą. Chodźmy do matki, do dziada i baby, niech nas oni pobłogosławią.

W duszę Hali niespodzianie padło ziarno gorczyczne uczucia, które rozwinięte mogło przynieść z czasem szczęście i zadowolenie w życiu biednemu sierocie Jakowowi. W tajemniczych dziejach uczucia jedna chwila, jedno

tchnienie z innego świata, przynosi wiele nowego i sprawia w nich kierunek osobliwszy, a niespodziany dla oka cielesnego.

Serce nasze w ręku Bożem, a duch wieje gdzie chce: ów duch, co rządzi światem i dziejami moralnemi człowieka.

Jaków wyszedł na ratunek Stanisława zajęty inną myślą, z goryczą w sercu; ale dokonawszy wyzwolenia jego, uczuł on w głębi samej duszy radość i coś takiego, co go wiązało z tym, którego on uważał dotąd za swego przeciwnika. Czuł się on w sobie jakby wyższym, lepszym, szlachetniejszym; kontent był z siebie. I Hali wydał się on w tej chwili inszym wcale, miłszym daleko, jakby przeobrażonym, a pociągającym pomimo wolnie. Wymówiła ona wyraz słodki: bracie mój! i podała mu rękę.

XXIII.

Stanisław znalazłszy się na lewym brzegu Dniepru, nie wiedział co ma z sobą począć; wracać do chorągwi było niepodobieństwem: raz że nie wiedział dokąd „system, natura i okoliczności” zwróciły pana namiestnika, potem że lasy naddnieprzańskie pełne były hultajstwa. Znalazł się też bez grosza w cudzej ziemi. Sielscy zanitowali go trochę, ale z tego nie mógł wyżyć długo. Oprócz tego rozniosła się wieść, że hajdamacy do tego stopnia się rozzu-chwalili, że, jak się tylko cokolwiek uporają na prawym brzegu Dniepru, myślą przerzucić się na stronę lewą rzeki i wyciąć tu zbiegłych pod protekcją Rossyi Lachów i Żydów. Małorossyanin, u którego schronili się Sielscy, przyjmował ich po przyjacielsku, nieraz bowiem sam doznawał od nich przyjęcia gościnnego w Czerkasach, ale obawiał się, aby za pojawieniem się emissaryuszów hajdamackich, lud prosty nie powstał i nie zgwałcił prawa świętego schronienia.

W chorągwi byli tego pewni, że Stanisław już nie żyje; hajdamacy w tym względzie uwijali się prędko z więźniami swoimi. Dla Stanisława tylko Maxym chciał zrobić wyjątek jako dla towarzysza wojskowego znanego ze swoich podjazdów szczęśliwych na hajdamaki; chciał on pokazać ludowi, że ów pogromca kup łotrowskich, wpadł mu

nareszcie w ręce i skonał w nich zadławiony, To właśnie się mu nie powiodło. Nie mogli dojść w Czerkasach, kto wykradł więźnia; przypisywano to czarom: zamki były nie-naruszone, żadnej dziury w piwnicy, czterej stróże leżeli jak nieżywi trzy doby. Oblewano ich zimną wodą z rozkazu watażka, przykładano im nawet żelazo rozpalone do podeszew, ale kozacy nie objawili żadnego czucia.

Stanisław zabawiwszy czas jakiś w Małorossyi, postanowił brzegiem lewym Dniepru dostać się do Kijowa, ztąd udać się do granicy nad Irpień, przebyć go w Białohorodce, albo w Przewozie i pojechać do domu starostwa. Zdawało mu się, że w te czasy burzliwe pomoc jego przydać się im na coś mogła. Mówiono, że hajdamackie „szajki” tworzyły się nad Irpieniem, na stronie prawej rzeki i ztąd wkraczały w granice Rzeczypospolitej. Kozacy dworscy długo tu. byli wierni, ale brakło im tylko dobrego przywódcy. Z watażków tutejszych sławny był Szwaczka; obracał się on ze swoimi w Fastowszczyźnie i krążył w borze pomiędzy Irpieniem, Stuchną i Kraśną, na samem pograniczu, ocierając się o Białocerkiew i kusząc się o ubieźnienie onej. Długo nic wiedziano jak będą patrzeć na te • rozruchy komendy wojska rossyjskiego, rozstawione tutaj, ale te, bOz rozkazu wyższej władzy, nie wiedziały, jak mają postępować w tej mierze. Dowódcą wojsk rossyjskich w stronie tej był książ Mieszczerski, lconsystujący w okolicach Żytomierza, w Leszczynie; rozporządzenia jego zależały od rozkazów gubernatora wojannego gubernii Iziąsławskiej rezydującego w Kijowie; ale ten, nim mógł działać, musiał się radzić wprzódę władzy najwyższej w Petersburgu. Ztamtąd rozkazy nie były jeszcze nadeszły i watażki korzystając z pory nachodzili dwory i kościoły, sprawując w nich rzeź, grabież i pożogę.

W okolicy tej była komenda Lubomirskiego, ale ta źle jakoś chodziła około wyniszczenia hajdamaczyzny; siła wojska regularnego była słaba; sprzężystości w dowódcach mało, ufności w kozakach nie było wcale, kiedy posłyszano jak w innych starostwach, kozacy starościńscy przechodzili na stronę rabusiów. Jednakże w tej stronie sami atamani kozacy chodzili nieraz na hajdamaków i znosili ich. Lud był tu przywiązany do panów; po większej części w stronie tej, na pograniczu Polesia, obywatele sami mieszkali w majątkach swoich i umieli wzbudzić ku sobie miłość poddanych. W Ukrainie dalszej leżały starostwa panów wielkich, Lubomirskich, Sanguszków, Jabłonowskich, Sołtyków, którzy przez rządców swoich, przez tak zwanych gubernatorów, rząd tu swój sprawowali. Byli pomiędzy nimi ludzie chciwi, chociaż wielu było takich, co potrafili sobie pozyskać przychylność poddanych, pomimo wstrętu jaki oni mają powszechnie ku oficyalistom. Patrząc jak się oni panoszyli dobrem dziedzica, donosili o tem panu swemu, ostrzegając o niewierności rządców, a potem śpiewali sobie:

Do naszoho pana grapa łysty nedochodiat'
Szczu ekonom z atamanom w żupanach cliodiat'!

Jak nad granicą pola dzikiego, oprócz Żeleźniaka, byli watażki inni jak Mamaj, tatarskiego pochodzenia, rozbijający około Czehryna, tak i nad Irpieniem i Stuliną, oprócz Szwaczki byli mniejsi rabusie. Był tu Witrohon z Motowidlówki, który rozbijał ukradkiem i nikt we wsi, gdzie go miano za gospodarza uczciwego, nie wiedział tego, że on jest watażkiem bandy zbójeckiej. Hajdamaka ten był osobliwego animuszu, bo kiedy raz w nocy namawiali go, ażeby napaść na dom komissarza motowidlowskiego Borowskiego, w którego oknach, chociaż już było po północy, jeszcze się

świeciło, ten odpowiedział: „Dajcie mu pokój, to dusza kozacza! Co w dzień zarobi, to w nocy w karty przegra.”

Ze strony Ukrainy głębokiej emissaryuszem hajdamackim był tu, znany nam już, Iwan Bondarenko; on pod maską, Cygana, z niedźwiedziem Mysiem, obchodził wsie i jarmarki po miasteczkach, podburzając lud, prawiąc mu o hromocie złotej, o Maxymie Żeleźniaku, o nadciągających z Niżu wojskach Zaporozkich ku Kijowu. Brzegiem Dniepru szedł ów niedźwiedźnik ku Rosi, potem ku Kraśnej, Stubnie i Irpieniowi, okolicom rodzinnym. W Hruźce z której był rodem, przechowywały się stare hajdamackie tradycje; jeszcze 1741 r. niektórzy chłopci tej wsi zajmowali się rozbójem; wpadło ich kilkunastu do Brusilowa i zrabowali go. Bondarenko precyzyjnie się nad Stuhnę, osiadł na jakiś czas w klinie wchodzącym pomiędzy tę rzekę a Irpinem, należącym do Rossyi; były tu położone majątki monasterskie; tu sobie on zwerbował sześciu wiernych towarzyszy, z których podręcznym jego był Onopryj Pokatyło. Z nimi przeszedł on na nowo granicę polską we wsi Czarnohorodce, należącej do Fastowszczyzny, mając zamiar burzyć lud i napadać na dwory i kościoły jawnie, pomimo kozaków dworskich i żołnierzy.

Z Czarnohorodki obrócił się ku Nowosiołkom. Przeczuwając czasy niespokojne, obywatele tego zakątka wynosili się dalej. Dziedzic Nowosiołek i Bohuszówki pan Lenkiewicz wyjechał do dóbr swoich na Litwę, kniaziowie Szujscy też samo wynieśli się z Jasnohorodczyzny do majątku, jaki posiadali około Grodna. Dlatego samego może w tę stronę najsamprzód skierował się Bondarenko, że tu pod nieobecność właścicieli, łatwiej można było niż gdzieindziej zawładnąć dworem i tem, co w nim pozostało. W Nowosiołkach we dworze nie wiele zastał, było tylko bydło i stą-

do koni. To stado hajdamacy objęli w posiadanie własne; bydło które tłusciejsze było wyrznęli i zjedli, wódkę, co była w 10cbu pańskim, wypili, resztę zaś z obory rozdawali to mołotlycom z którymi balowali, to dziewczkom na posag, z którymi hasali. Bogaci gospodarze przechowywali dostatki swoje po spławach i łozach Irpienia i sami się chowali z nimi, bo hajdamacy umieli się o nie dopytywać. Chłopki, co sprytniejsze, bydła dworskiego, od hajdamaków im darowanego, nie zbywały, ani rznęły, ale miały je tylko u siebie w depozycie, przeczuwając, że ten stan rzeczy nie potrwa długo i że właściciele upomną się kiedyś o swoje. Wreszcie proroctwa wieszczka Wernyhory doszły były i tutaj. Mówiono już jak hajdamacy tropili go wszędzie, ale ten zawsze się im wymykał z rąk, a krążył wszędzie w pośród ich zagonów zbójceckich. Była wieść, że się przechowywał w czasie samego ognia hajdamaczyzny w Korsuniu, na ostrowach Rosi, u młynarzy. I nadirpieńscy hajdamacy odgrążali się na niego, zwąc fałszywym wieszczkiem; ale lud po całej Ukrainie wierzył mu i otoczył go glorią cudowności; szlachta także mu wierzyła, a pan Suchodolski spisał jego proroctwa o losach kraju, które słyszał z ust jego, w czasie pobytu Wernyhory na skałach Rosi, i te przepowiednie jego długo krążyły po Ukrainie całej. Czytając je, doprawdy można uwierzyć, że Wernyhora miał jakieś, niejasne zapewne, przejrzenie przeszłości, takie np. jakie miał nasz Stanisław Reszka.

Z Nowosiołek udał się Bondarenko do Byszowa; pan rotmistrz umknął był ztąd gdzieś aż na Wołyń, z całym dworem swoim. Bondarenko przybywszy tu z swoimi hultajami, których liczbę pomnożył już w kilkornasób i powсадzał na konie, zabrane w Nowosiołkach; najsamprzód dwór zajął i złupił, potem udał się do kościoła aby go ta-

kóz ograbić. Hajdamacy wyrąbali drzewa i poczęli plondrować; przeor i kaznodzieja schowali się; laik tylko jeden, brat Wincenty, następca Rajmunda, którego przeniesiono do innego klasztoru oo. Dominikanów, zastąpił im drogę u krzyżka, a rozpostarłszy nakrzyż ręce, upominał poważnie zgrają, aby się nie ważyła kłać świętości Pańskich.

— Precz Lachu, wołał Iwan, precz mi z drogi ty sroko, bo trupem padniesz, a krwią powalasz sukienkę białą.

Sroką przewał go dla sukni białej a czarnego płaszczyka.

— Oj człeku ty zaślepiony a okrutny!—odparł mu śmiało staruszek. — Widzisz ty ten oto pasek czerwony? To znak krwi męczeńskiej, jaką nasz Ojciec Jacek Odrowąż przelał był kiedyś na tej ziemi samej. Myślicie że ja sługa boży będę się bał przelać również krew moją w obronie świętości przybytku Pańskiego?

Iwan zatrzymał się zmieszany i spuścił oczy.

— Czy ty kpisz, czy o drogę pytasz, dziadzie stary? Ale znaj moją łaskę. Daruję ci życie, puszczam z duszą; idź sobie dokąd chcesz, a nie leż mi tylko w oczy!...

Ale Wincenty cisnął do piersi puszkę srebrną i połykał z niej komunikanty, aby ciało Boże nie zostało znieważone ra. Lud, kobiety, co się wcisnęły do kościoła, płakały głośno, wznosząc ręce do obrazu N. Panny, którego łask doznawały one nieraz. Hajdamacy nawet niezaprawni jeszcze w zbrodni, opuścili ręce i stali pomieszani. Bondarenko trzymał w ręku siekiere, którą właśnie wyłamał zamek kościelny i nie wiedział co miał począć, bał się oburzyć lud przeciwko sobie, jeżeli przeleje krew Wincentego i zmaże nią kościół.

Śliczny to był obraz tego staruszka, ochraniającego ołtarz, pożywającego sakrament święty; tych zbójów pomieszanych i cofających się wstecz; ludu w głębi przerażonego i zalewającego się łzami, a nareszcie hajdamaki zatwardziałego w zbrodni, a wahającego się widocznie, czy ma uderzyć w pierś, w której, jakby w niebiesiech Bóg połączył się ze stworzeniem swoim, czy ustąpić i ukryć się przed mocą wiary i Boga.

Nad ołtarzem wielkim był wizerunek Matki Boskiej, tułającej pod płaszcz swój braci zakonu kaznodziejskiego. Lud ruski wznosił do Niej ręce, aby zakryła od śmierci staruszka, wiernego sługę bożego, pilnującego Jego domu i świętości.

Byłoby może obeszło się bez krwi wylania, gdyby nie jedna okoliczność. Onopryj Pokotyło, podręczny Bondarenka wylazł na chór i kazał dziadowi zakalikować na organie, a organiście zagrać na nim pieśń wesołą ukraińską, pełną tłustych i rozbestwionych wyrazów, które on sam ryknął na cały kościół. Na to lud zgrozą przejęty jął uciekać z kościoła; hajdamacy przyszli do siebie, *zarechotali* i poczęli przyśpiewywać chórem, rżnąc tropaka, a Bondarenko przejęty duchem piekielnym podjął nareszcie topor i ugodził w szyję Dominikanina, właśnie gdy ten pożywał ostatniego komunikanta, bijąc się w piersi, a mówiąc głośno: „Panie Jezu Chryste, nie jestem godzien, abyś wszedł do przybytku serca mego, ale rzeknij słowem, a będzie zbawiona dusza moja!”

Ugodzony śmiertelnie zakonnik jeszcze wymówił wyraźnie modlitwę:

„Ciało Twoje Panie, które pożywałem i krew którą piłem, niech przylgną do duszy mojej i spraw, aby w niej nie została żadna grzechów zmaza, którą czyste i święte tajemnice nakarmiły”.

A potem ciszej: „Panie Boże, w ręce Twoje oddaję ducha mego, prosząc Cię, abyś krew moją przyjął za wybawienie braci moich od mordów tej oto tłuszczy rozbastwionej.”

A wtem skonał, tuląc do piersi swojej puszkę próżną. Hajdamacy, aby ją wydrzeć, rękę odciąć musieli bratu Wincentemu.

Krew męczennika oblała prezbyterium i podnoże ołtarza.

Kiedy taki mord okropny został dokonany w domu bożym, Stanisław stanął był u starosty. Na dziedzińcu było pusto, w powierzchowności dworu wszystko było jakoś inaczej, pozór sam zdradzał, że czegoś tu brakło.

Ledwo odszukał służącego gdzieś w kredensie, bo wejście główne dworu było zamknięte. Przeczynał, że coś musiało się stać. Przyszli mu na myśl hajdamacy, ale mu mówiono w okolicy, że tu jeszcze nie byli.

Spytał służącego o jegomościa.

— Jegomość nasz niedomaga, zawsze u siebie.

— A jejmość?

— Jejmość? — spytał służący jakby zdziwiony pytaniem tem.

— Tak, pani starościna.

— Chybaż wy nie wiecie tego, że nasza jejmość już od dwóch miesięcy, tak, w przyszłą niedzielę skończy się akurat ośm tygodni, jak żyć przestała.

Stanisław pobladł i oparł się o ścianę; serce mu się ściśnęło boleśnie, w oczach go zapiekło, a tchu w piersi za brakło. To było jedyne serce co go kochało.

— U-u-marła mówisz? — wyjęknął przez płacz.

— Umarła paniczu, świeć Panie nad duszą jej sprawiedliwą.

— Z czegoż, z czego ona umarła, co się jej stało? mów Filipie.

— Bóg dał jej śmierć i umarła. Czy to wiele na to potrzeba! Czegoś zatęskniła, zesmutniała, wyniszczała i zgasła. Jegomość nasz od jej śmierci do nikogo słowa marnego nie powie; o ptastwie swoim nawet nie pamięta: gdybym ja je nie karmił, dalibóg żeby ono pozdychało, ot proszę diad'ka Kuźmy się o to zapytać.

— A panna?

— Panna jest; chciała ona wyjechać na Wołyń, ale pana starosty nie mogła do tego namówić żadnym sposobem; on ją wyprawiał samą do Łucka, do Panien; dawał jej konwój kozaków z Kuźmą, a sam miejsca nie chciał tego opuścić. Więc pan nie chciał jechać, a panna samego nie chciała jegomości zostawić, więc tak to i przeszło sobie i na niczem się skończyło.

— A można się widzieć ze starostą?

— A czemu nie? On was, bywało, za życia nieboszki jejności często nawet wspominał.

— A dziś?

— Dziś! Dziś on prawie zawsze milczy. Siedzi w oknie i patrzy się w stronę grobu jejmościnego w ogródku. Jeść-by, zdaje się, sam nie poprosił; a gdyby mu nie dano, toby nie jadł i nie pił.

— Mój Boże! dawnomże ztąd odjechał, a tak tu wszystko okropnie się zmieniło! — zawołał Stanisław.

— Straszne rzeczy dzieją się, paniczu, teraz. My po nocach nie śpimy; hajdamacy grassują to tu, to tam. W Nowosiólkach dwór ograbili, stado zabrali pana Leńkiewicza; mówią że się wybierają na Byszów, —a może do nas trafią! Nasi ludzie mówią, że nie dopuszczą do zamku tych łotrów; Kuźma odgraża się, że im lby postrzela....

Stanisław udał się do pokojów starosty. Wszystko tu było tak jak zostawił. W przedpokoju stała klatka kurka,

ale i ten coś posmutniał. Papuga tylko krzyczała czasami, a słowik milczał, bo już jęczmień oddawna się wysypał w kłosa i pora wesola śpiewu jego, jak to bywa i dla ludzi, przeszła niepowrotnie.

W drugim pokoju było pusto; w trzeciej izdebce ubranej po myśliwsku w broń i rogi jelenie, siedział starosta w krześle, w żupanie białym, jak wtedy, kiedy Stanisław ujrzał go po raz pierwszy, ależ jakże zmieniony do niepoznania! Twarz mu pożółkła i wyciągnęła, oczy jakby się zwiększyły i na wierzch wyszły, były zaczerwienione i łzawe; zestarzał się, posiwiiał: przynajmniej dziesięć mu lat przybyło napozór! Broda była nie golona od tygodnia zapewne, a biała jak mleko.

Stanisław zbliżył się, a starosta nie postrzegł go; patrzył on z oczami szklannymi w okno otwarte. Ach! w tem oknie widna była mogiła świeża. Stanisławowi łzy bujne puściły się z oczu; upadł on do nóg staroście, ujął go za rękę i cisnął ją do ust płacząc.

Ten przyszedł do siebie, ujął głowę klęczącego młodziana w obie dłonie, podniósł ją i popatrzył mu w twarz.

— Ach, toś ty chłopcze! Toś ty! Wiesz? Ona umarła! O! tam ją pochowano....

I wskazał ręką na mogiłę świeżą.

Zamilkł. A łzy puściły się mu z oczu po wychudłej twarzy.

— Ona cię kochała bardzo, bardzo, mój chłopcze! Umierając nawet wspominała o tobie i o kasztelanowej!

Tu wziął ze stolika chustkę i otarł sobie oczy, a potem sięgnął do niego po książkę do nabożeństwa i różaniec, u którego wiszący krzyżyk ucałowawszy, rzekł do Stanisława:

— Idźno waść do siostry mojej i pani Kwaśniewskiej? możeś jeszcze bez obiadu, a ja tu pomodłę się trochę. O! to

tylko, chłopcze, pociecha cała, to! — mówił wskazując na książkę i różaniec.

Stanisław udał się do apartamentu dawniej samej starościny], a dziś zajmowanego przez pannę Konstancją, siostrę starosty. Pani Kwaśniewska, od śmierci starościny była ochmistrzynią i towarzyszką młodej dziewczyny.

Panna Konstancja powitała pana Stanisława ze łzami w oczach; pierwsze słowa jej były o staroście.

— O! to tak stało się niespodzianie ta jej choroba! Pamiętam, czytałam głośno, po obiedzie, gazetę, właśnie opis powrotu do kraju oo. Redemptorów i spis wykupionych przez nich z niewoli pogańskiej osób, gdy raptem zrobiło się jej słabo, aż omdlała. Potem legła do łóżka, płakała dużo, dużo... wspominała was, chciała była pisać jeszcze do kasztelanowej, pisać do was, ale sił jej zabrakło i trzeciego dnia, po odbyciu spowiedzi świętej i przyjęciu świętych Sakramentów, na moich rękach duszę Panu Bogu oddała.

Stanisław z Kostusią, jakby dzieci rodzone, oplakiwali tę, która im obojgu zastępowała matkę i zastępowała ją prawdziwie po macierzyńsku.

Pani Kwaśniewska, stara matrona, siedziała wyprostowana w krześle, nad robótką; nos okulbaczyła okularami o dużych szklach okrągłych, bez ramion, a tylko, jak rak kleszczami, ściskającymi ten poważny organ powonienia. Na głowie miała ona czółko axamitne, czarne; na sobie zaś kabacik ciemny i takąż spódnicę kamlotową. Staruszka słuch miała już przytępiony, oczami więc niejako słuchała, śledziła za rozmową, patrząc po fizyonomiach rozmawiających osób. Robiąc pończoszkę, powtarzała, od czasu do czasu, obracając się do gościa:

— Oj tak, tak, mój rycerzu, źle, bardzo źle się dzieje na świecie Bożym! A do czego to przyjdzie w końcu? Nie wiadomo.

A potem, jakby przez litość nad okulbaczonym, a ściśniętym nosem swoim, dostawała staruszka z sepecika tabakierkę i traktowała go tabaczką; zażywszy jej, podawała tabakierkę Stanisławowi.

— Dziękuję unizienie jejmości, nie zażywam.

— Ej! co tam, bierz mój rycerzu. Lepiej to jakbyś miał co innego.

1 Stanisław, uznając słuszność uwagi, brał szczyptę proszku i przytykał go sobie do nosa.

— Albanka, prawdziwa brailowska. Mój nieboszczyk jegomość, świeć Panie nad jego duszą, nie zażywał nigdy innej i pocziwy był z kośćcami. To toż on tych hajdamaków bijał! Bożeż mój! Boże! jakże on ich bijał!

Wtedy Kostusia obracając się do Stanisława:

— Ach! ci rozbójnicy hajdamacy! my spać po nocach nie możemy! Dobrze żeście wrócili, będziecie nas bronić panie Stanisławie. Kuźma ma myśl porozumieć się z kozakami proskurzyńskimi z Kornina, ze starościńskimi z Rożowa i z kozakami z Makarowszczyzny i napaść na Bondarenka i jego szajkę. Jak o tem myślicie? Ja chciałam prosić brata, aby posłał albo do Kijowa, do gubernatora, albo do Leszczyna, do ks. Meszczerskiego, aby dał tu dla bezpieczeństwa załogę. Ale brat milczy, nie decyduje się, a ja sama w głowę zachodzę. Pisałam do Czarnobyła, prosząc o przysłanie nam huzarów—ale Bóg to wie, czy to się na co przyda.

Pani Kwaśniewska podniosła głowę od pończoszki, popatrzyła na Stanisława i wyrzekła, trochę przez nos z powodu okularów;

— O tak! tak! mój piękny rycerzu! Bijął śp. nieboszczyk mąż mój hajdamaków! Ale w kompanii, cóż to za dusza wesola była! Kochanym był od wszystkich powszechnie. Ale co to znaczy, pytam waścia? Oto polityka!

I znowu staruszka wzięła się do roboty.

Tak wieczór przeszedł; kiedy miano się rozchodzić, cała czeladka zgromadziła się do sali na modlitwę; mówiono pacierz razem, a potem kobiety śpiewały pieśń nabożną. Do łez rozrzewnili się przytomni śpiewając ten oto ustęp do Matki Boskiej:

Wszakci na krzyżu nas Jego konanie,
Za dzieci dało wszystkich w świętym Janie!

Stanisław obrał sobie kwatere w oficynie przy kozami, u mostu zwodzonego; tu naradzał się z Kuźnią starym; tu dowiedział się o wypadkach zaszłych w Byszowie.

— Kozacy, mówił Kuźnia, poszliby i zbili Bondarenka: co go tam bić! Ale mówią, ma nadejść Szwaczka ze swoimi, więc boją się zemsty.

— Właśnie, Kuźnio nie czekać Szwaczki, a bić Bondarenka póki słaby w sile.

— Ba! kiedy jedności nie ma. Jeździłem do Makarowa, byłem w Motyżynie, gadałem z kozakami i atamanami—ale cóż? Jeden to, drugi owo, ty mu swoje, a on swoje. Iwanko, ataman Makarowski, mówi tak: Pobić Bondarenka nie sztuka, ale co potem będzie? Za Bondarenka ktoś większy się ujmie. A możnaby było zebrać „watahę” dobrą kozactwa: z Kornina, Jurowa, Motyżyna, Rożowa, Makarowa, Nalewajkówki, Borodianki. Ha! toby coś było! Ale ba! Kiedy porządku sprawiać niema komu! Mrówka drobna i pszczołka mają porządek u siebie, jest matka u nich na to, a u nas niemasz nikogo! Ot, Bóg was przyniósł pa-

niczu w porę, bądź u nas batfkiem-atamanem, a zniesiemy tych rozbójników.

Gdy tak radzą w Dołhobródce, w Byszowie gospodarzy Bondarenko. Posłał do Hrużki, aby sprowadzić do siebie matkę. Pokazało się, że matką jego była owa niewiasta, co zamierała „Zamirajłycha” Jaryna. Była ona teraz, powróciwszy z włóczęgi, u siostry swojej, co wychowała Iwana.

Jaryna przybyła do Byszowa w nocy. Syn przyjął ją u „caryny” (kołowrotu) przy świecach i pochodniach zapalonych; duchowni śpiewali jej „długie lata.” Watażko witał matkę uroczyście i wprowadził na zamek. Jaryna zawsze była w swojej sukni dziwacznej i obłąkana trochę.

Stanąwszy na ganku, popatrzyła po dziedzińcu, zapchanym tłumami, oświetlonym krwawym światłem pochodni, i odezwała się do syna:

— Synku Iwanku, wszystko to dobrze, tylko czegoś jakby na pogrzeb zakrawa, a jak patrzę na to, to mi mróz po skórze przechodzi!

I już więcej nic nie wymówiła przez cały czas pobytu swego w zamku, tylko chodziła z kąta w kąt i krzyżykiem żegnała drzwi i okna.

Hajdamacy całą noc bankietowali i pili. Kilkunastu muzykantów grało na dziedzińcu, a hultajstwo hasało z wrzawą i przekleństwem na ustach. Czasami wtórzył im ryk „Mysia” niedźwiedzia Bondarenki, pijanego jak i oni. Na drugi dzień, w sobotę, pojechał do Hrużki. Tu do niego przybyło dwudziestu kozaków z Didowszczyzny, a potem ściągało się doń kozactwo dworskie z całej okolicy: z Makarowa, Brusilowa, Borodianki, i starościeńscy z Kożowa, pod atamanem Josypem Nowyczenkiem: potem nadciągnęli kozacy z Karaszyna, Motyżyna i Nalewajkówki.

Iwanko, ataman kozaków makarowskich, zaprosił Bondarenka do Makarowa; przyjął on łaskawie te zaprosiny i udał się tam. Tu dwór, plebanią i kościół złupił; ksiądz dziekan Rościszewski, dziedzic makarowszczyzny, wyniósł się dalej w Polesie; proboszcz także. Tak jak w Nowosiólkach rozdarowywał bydło, konie, sprzęty, suknie; osobliwie ponętą była miedź: kotły ogromne z gorzelni i browaru, alembiki, rądle. Te rozdarowywał duchownym, którzy się zjeżdżali do niego, albo kozackim atamanom, co do niego poprzystawali. Suknie bogate rozdarowywał 1110-łodycom i dziewczkom co urodziwszym. Śpiewano mu „długie lata” po każdej uczcie, a miał tych śpiewaków wielu; zewsząd się do niego zjeżdżali. Straszny był i obrzydliwy widok tych orgij. Worona, kozak makarowski, wdział na siebie ornaty kościelne i chodził w nich po rynkach śpiewając, albo puszczał się w nich „na przysiudy” czem bardzo bawił Bondarenkę i jego grono.

W Makarowie była w zamku biblioteka; piękny w niej był zbiór ksiąg polskich i łacińskich. Pokotyło, jako piśmienny, rozbierał je uważnie, ale widząc w nich inne litery od tych jakie znał sam, w ogień je powrzucał, mówiąc, że są to same bajki a zabobony lackie.

Udał się do Brusilowa Bondarenko i był tu przyjmowany od kozaków dworskich; kiedy napiły siedział w ganuku, wpadła na dziedziniec Jaworowska, szlachcianka, żona pisarza gorzelnianego i nuż mu palić *verba neñtatis*. Tę prawdomówność swoją wszakże przypłaciła nieboga krwią własną: Iwan stracić ją kazał.

Wrócił potem watażko do Hrużki. Tu mu z Brusilowa mnóstwo rzeczy ponawożono; te posprzedawał śpiewakom lat długich i chłopom. Około Bondarenka, jakby jarmark

się utworzył; przyjeżdżali do niego kupcy nie tylko swoi, ale i z zagranicy, dla zakupu łupów jego.

Kiedy tak hajdamactwo bankietowało, nadeszli do Hrużki z Czarnobyła huzary Chodkiewiczowscy; kusili się oni o to, aby hultaj pijących pod cerkwią zbić: ale się im to nie udało i zostali odparci. Hajdamacy spalili dwór i kilka chat.

Stanisław, przebrany za parobka, zjawił się w Hrużce, umawiał się z huzarami, a ci mu na to: — Dziś zbijemy Bondarenkę, a jutro przyjdzie może tu ktoś silniejszy. Nie wiadomo jak działać i przeciw komu działamy. Odwet może nastąpić.

Kuźma miał znowu rozmowę z Iwankiem, atamanem makarowskim, a ten mu nic nie powiedział: machnął tylko ręką i kiwnął głową.

Dowiedziawszy się o tem Stanisław, za głowę się porwał. Co tu było począć! Przy tej sile hajdamackiej zamek w Dołhobródce nie mógł się utrzymać. Pozostawała jeszcze jedna ucieczka do Kornina, do kozaków Proskury. Ci zawezwani od Bondarenka nie chcieli się stawić do niego, więc musieli mu być przeciwni. Więc nienamysłając się dłużej, Stanisław udał się do Kornina, a Kuźmę wyprawił do domu dla bronienia zamku. Hultajstwo mówiło głośno o tem, że mają się udać tara, aby go opanować.

Bondarenko otrzeźwiawszy nareszcie po kilkodniowym upojeniu i trunkiem i powodzeniem, począł się niepokoić co dalej będzie. Czekał on na Szwaczkę, którego zostawił zajętego rzezią w Fastowie, ale ten nie przybywał. Więc postanowił posłać na zwiady do niego; ale bał się poruczać tej misyi któremu ze swoich, aby przez to nie osłabił w bandzie własnej wiary w siebie; więc wybrał na ten cel

Maxyraa Snihura, kozaka z Motyżyna. O ile był rozrzutnym po pianemu, o tyle był skąpym po trzeźwemu; wysyłając Snihura do Fastowa dał mu tylko na drogę pół rubla i czarkę wódki.

A tymczasem pociągnięto pod zamek Dołhobrodzki i poczęto go oblegać. Kuźma poustawiał u mostu zwodzowego moździerzki wiwatowe i gotów był strzelać, ale Bondarenko krzyknął z poza kanału:

— Wara strzelać, wara! Jeżeli się zdacie, daruję wam życie, ale jeżeli tylko wystrzelicie, wyrznię was co do nogi: krew za krew! Słyszycie?

Garstka wiernych poczęła się chwiać; jęli przekładać Kuźmie, że się nie utrzymają, że kanał słabą jest oporą, że staw z tyłu zamku w bród przejść łatwo, ile że od upałów letnich wysechł był prawie.

Kuźma pobladł; nie przypuszczał on, aby do tego przyjść kiedy mogło. Mówił załodze swojej o huzarach czarnobylskich, którzy niedaleko rozłożyli się obozem, że ci pewno napadną z tyłu na hajdamaków i zniosą ich do szczytu. Zaklinał, aby się wstrzymano choć trzy dni, a pewno doczekają się odsieczy. Ale kozacy milczeli tylko, nie odpowiadając ani „tak,” ani „nie,” atamanowi swemu.

Bondarenko puścił niedźwiedzia swego; ten rzucił się w kanał i popłynął do dobrze znanego sobie zamku; niewiele było płynąć. Przepłynawszy go począł się niedźwiedź drapać na wał, a ryczeć okropnie.

Chłopi stojący w tem miejscu pierzchnęli z krzykiem: „niedźwiedź, niedźwiedź!” Inni myśleli, że to sam Bondarenko przedzierzgnął się w tę bestyą, bo hajdamaków miano powszechnie u ludu za charakterników, czarodziejów i wilkołaków. Być może, że pod strachem tym zamaskowała się była także zdrada. Dość, że w kilka minut hajdamacy byli już w zamku; spuszczone most i Bondarenko wjechał

po nim do dworu, na pięknym koniu karym, cały w karmazynie i w pasie litym. Na głowie miał kołpak soboli z kilką, piór czaplich; na nogach czerwone buty safianowe, srebrem podkute; u boku zaś wisiała bogata karebela kameryzowana, zabrana w zamku makarowskiim.

Hultajstwo cisnęło się na dziedziniec; w otwartym oknie zamku siedział starosta, z książką od nabożeństwa i z różańcem w ręku; oczy jego jakby nie widziały nic co się działo wokoło.

— Pal do Lacha, pal w okno!—wołali, wpadając gwarnie a tłumnie hajdamacy. — Worona! pal ztąd, czy trafisz? A no o zakład, czy trafisz?

Kula poleciała i trafiła starca w tym właśnie czasie, kiedy całował medalik poświęcony różańca swego.

— Zuch! tęgi!—wołali zbóje. — Ani drgnął. No teraz, bracia, na pokoje; dosyć będzie pożywy!

— Het! precz ztąd! — wołał rozkrzyżowany na progu sieni Kuźma stary, blady, a nieprzytomny. — Czego chcecie? Dostatków? Bierzcie je sobie, ale wypuście z duszą a wolno obecnych tutaj.

— Nie w porę już kumie, dawać nam warunki. A i z tobą samym rozprawiemy się bracie także. Weźcie go młodcy i powieście tu na tej oto topoli, nad budką mego Mysia. Patrzcie, jakie rozumne z niego zwierzę! Nietylko że zamku dobył, ale jeszcze swoją budę opanował. Spójrzcie, już jest w nity i tarza się z ukontentowania wielkiego. Zuch Mysio! Za tę sztukę dostanie garniec cały gorzałki!

Kozacy śmieli się ze słów watażki i schwycili Kuźmę.

— Na pohybel tobie kominiarzu, — wołał ten obracając się do Bondarenka;—ja zginę, ale nie żal umierać, nie żal rzucić dziś świata.

— A co batfku, czyje na wierzchu?—mówił watażko, nadržasając się, do starego kozaka.

— Ha, dziś tobie słońce świeci, prawda, ale nie długo to tego będzie państwa. „Pohybel” was czeka wszystkich—Pętle zadławiła w gardle Kuźmy dalsze słowa. Za chwilę trup jego dyndał na wierzchołku topoli, na którą Pokotyło sam wylazł i stryczek założył.

— Ot i początek dobry! — zawołał zlazłszy z drzewa.

— Ale jaki koniec będzie tego? —odezwał się w tłumie niewiadomo kto.

Z zamku wyprowadzono na ganek Konstancyą, panią Kwaśniewską i cały fraucymer.

— Hura! — krzyknęła dziko na ten widok banda cała.— Hura! Laszki! Laszki!

— O! ta Laszka młoda, to żona moja będzie, — zawołał Bondarenko.—Weźcie ją,—odezwał się do kapelana swego — i nauczcie ją po naszymu pacierza, a wieczorem ślub. O! tę starą daruję tobie Pokotyło wraz z okularami....

Śmiechy były głośne; klaskano w dłonie i tupano nogami.

— A więc dziś wieczorem dwa wesela obchodzić będziemy. A tymczasem przyprowadźcie tu kucharza, mego starego znajomego, Ułasa, niech nam obiad sporządzi. Jest z czego gotować, piwnica dobra, będzie co pić na weselu i czem się uraczyć. A gdzież więcej Lachów? Gdzie jest pan podstarości? Chciałbym się z nim bardzo zobaczyć.—Szuka-no go, ale oficjaliści potrafili zemknąć.

Konstancya tylko wymówiła: - Zabijcie mnie, przez litość zabijcie mnie, jak zabiliście mego brata; zróbcie mi tę łaskę— i chciała się rzucić do nóg watażkowi, ale stara Kwaśniewska powstrzymała ją od tego:—Bójże się Boga, co aśćka robisz! Nie upodlajże się

Jakaś stara kobieta ze wsi przyłączyła się do fraucymeru i jęła cieszyć Konstancją. Podjęła się sama uczyć ją pacierza, broniąc ją od obelg tłuszczy.

Snihur wrócił z Fastowa i szepnął na ucho złe nowiny o Szwacze. Wojska rossyjskie rozbiły go we wsi Błoszczyńcach, a samego schwytały i odprowadziły do Leszczyzna, gdzie kwaterował książę Meszczercki.

Zbladł herszt hajdamacki na tę nowinę, ale jeszcze jej nie dowierzał. Wszakże kazał naładować kilkanaście „maż” od soli kosztownościami sainemi, aby je, wraz z matką i ciotką za granicę wyprawić: resztę rabunku kazał złożyć w Byszowie w śpichrzu.

Stanisław tymczasem traktował w Kominie z kozakami; ci już wiedzieli o rozgromieniu Szwaczki w Błoszczyńcach przez komendę rossyjską: więc tem ośmieleni dali się wciągnąć do zmywy przeciw hajdamakom. Zaraz po powrocie Snihura nadciągnęli i oni, stawiając się niby na rozkaz Bondarenki, którego pierwiej służyć nie chcieli.

Przyszli właśnie przed obiadem; Bondarenko kazał ich częstować. Ale tymczasem ataman korniński Szczerbina wciągnął także do zmywy Iwanka, atamana kozaków makarowskich; co tem łatwiej mu było dokonać, im więcej przeraził go on wiadomością, na ucho mu daną, że Szwaczka rozgromionym został od komendy ks. Meszczerckiego i sam zostaje w okowach.

Zmówili się nie pić samym, a poić na śmierć bandę Bondarenka. Nie trzeba było na to wiele sprytu i namowy. Po uczcie i pieśni „Na długie lata” hajdamactwo spało wszędzie w zamku, a Bondarenko wylęgał się rozebrany w łóżku starosty, pod pyszną kołdrą adamaszkową.

Na dane hasło przez Stanisława powiązano rabusiów, a najprzód samego ich herszta Iwana Bondarenka i pozamy-

kano do lochów dużych murowanych, pod zamkiem będących.

Stanisław wprowadził Konstancją do zamku, a w kilka dni wywiózł ją do Łucka, do panien zakonnych, gdzie w klasztorze miała ciotkę za przełożoną. Wprzód jednakże oplakano i pochowano uczciwie na cmentarzu zwłoki starosty i wiernego Kuźmy.

Huzarowie czarnobyłscy już wyszli z miejsca; w Borodiance, na drodze do Czarnobyła, dowiedzieli się o zabraniu Bondarenki, wrócili więc nazad i w Kominie odbili Bondarenka od kozaków. Dokonawszy tego, zdawało się im, że byli pogromcami hajdamaczyzny, więc i „spolia” zabrane na nieprzyjacielu słusznie się im należały. W Byszowie zabrali ze spichrza złożone tam kosztowności, a potem poczęli dopytywać się o resztę i odbierać rzeczy rozdane po wsi. Szukali po chatach i komorach mszcząc się niemiłosiernie na tych, co przystawali do herszta i pomagali mu w grabieży. Wreszcie zabranych hultajów, wraz z Bondarenkiem, do Czarnobyła odesłali. Aż Hrużce huzary, szukając skarbów od hajdamaków ukrytych, w cerkwi w ziemi, pod podłogą trupa dziewczki, córki Pawła Myszczenka, wykopali. Kiedy się tak cieszyli huzary zdobyczą swoją, komenda z Leszczyna do Hrużki przemaszerowała, wszystkie rzeczy od nich odebrała i samych ze wsi wyparowała. Żołnierze na nowo rewidowali chaty i komory chłopskie; od parocha hruzeckiego 140 rubli odebrali, a ludzi hruzeckich, co mieli stosunki z hajdamakami, zapędziwszy do dzwonnicy, więzili. Osobliwie Hryćko pevien, syn duchownego, wiele się obłowił przy hajdamakach; więc jego się dopytywali natarczywie o skarby ukryte, a nareszcie miedź i inne sprzęty pozabierali i wrócili

do Leszczyna (*), aby zapewne zwrócić własność do kogo ona należała.

Tak się skończył krwawy ustęp hajdamaczyzny nad Irpieniem, pod wodzą Iwana Bondarenka. Na jego pamiątkę „mysia” przewano imieniem herszta hajdamackiego, z którym się włóczył długo po świecie; ale i Myś stary nie długo pożył po swoim panu.

(*) Wiadomości te z dokumentów współczesnych, na miejscu, przy śledztwach urzędowych spisanych, są zaczerpnięte.

XXIV.

Cóż było z rotmistrzem Karlińskim, po dokonaniu przez niego okropnej zbrodni zabicia księdza?

Przyszedłszy do siebie nazajutrz, a dowiedziawszy się, że ksiądz umarł, rotmistrz przejął się szczerym żalem; przestraszył się sam postępu swego. Jakto, podnieść rękę na namiestnika Chrystusowego! Zapłakał krwawymi łzami. Poszedł do klasztoru, gdzie były wystawione zwłoki księdza, nim je przeniesiono do kościoła. Dwie świece się paliło; nie było nikogo u ciała, bo starano się w Pyszowie przygłuszyć tę sprawę.

Rotmistrz po chrześcijańsku ukorzył się u ciała męczennika; płacząc i łkając wymówił na głos, jak to opowiadali potem dworzanie Karlińskiego:

— Trawiński, odpuść mi tę zbrodnię straszną, jam był nieprzytomny! Słudzy moi zawinili więcej, że mię słuchali w tym stanie będącego.

I ukorzony rotmistrz całował nogi trupa, a bił się w piersi mówiąc:

— Moja wina, moja wina, moja bardzo ciężka wina!

Na pogrzebie on najwięcej płakał za nieboszczykiem, a pogrzeb sprawił mu okazały.

Pan Czopowski wziął na siebie krzywdę wyrządzoną kościołowi i stał się instygatorem w tej sprawie. On wytoczył mu proces o kryminal *lesae rditionis*, w grodzie żytomierskim.

Martwił rotmistrza sam postępek jego i wina popełniona. Najsamprzód kozaków przywołał i tak się do nich odezwał:

— Byliście mi wierni i posłuszni, ale ściągnęliście przez to na mnie zbrodnię ciężką.

— Na twoje słowo *bat! Im* my w ogień i w⁷ wodę.

— Widzę że tak istotnie. Macie oto pieniądze, uchodźcie za Irpień, bo odpowiedzialność was straszna czeka. Idźcie i niech Bóg zmiłuje się nad wami.

Kozacy z płaczem rzucili się do nóg pana, pożegnali go i zemkneli.

Do szlachty olicyalistów i brata Rajmunda miał zawsze żal.

— Wyście mię do tego kroku pobudzili delatorstwem swoim, i wasza to jest wina. Jam był nieprzytomnym wtedy; upajały mię wtedy gniew i trunek, a wyście mię podżegali odnosząc do uszu moich słowa księdza. Czyż nie wiecie, że słowo rani i że rana się prędzej zagoi niż słowo złe się zapomni?

Postrzegł Karliński, że go czeka wielka odpowiedzialność. Sprawa- była groźna; moc prawa, skuteczniejszą już była niż za czasów saskich, więc, chociaż pan możny, Karliński tyle tylko mógł dokazać, że przewlekał bieg sprawiedliwości, o ile mógł tylko; ale też kosztowało go to

ogromnie. Sprawa ta wyniszczyła go z dawnych zasobów i z pieniędzy, wpływających do szkatuły z dochodów corocznych z dóbr znacznych.

A sprawa agitowała się i wypadek jej miał stanąć o gardle może rotmistrza, a tu już w szkatule były pustki.

Zjechała do niego kasztelanowa, dama świata wielkiego, ale sumienia małego, zjechała do Byszowa jako przyjaciółka szczerą; doniosła mu, że sprawa jego w Żytomierzu zależy od pewnego sędziego, z którym możnaby było ułożyć się o dekret, byle dać mu jaki prezent piękny. Ale cóż mu dać? Szablę batorówkę? Ale na co mu ona? Puchar cara jegomości? Nie tyleby go on przejednał, ileby ogołocił skarbiec, dziś pusty, z pamiątki tak drogiej w rodzinie. Kasztelanowa przypomniała rotmistrzowi, że jeszcze ma spinkę, pierścień i inne piękne klejnoty dawne. Ostatki to były tak zamożnego niegdyś skarbcu, ale i to wręczył rotmistrz kasztelanowej, byle go tylko ona ratowała i wydzwignęła z tej matni. Jejmość pani kasztelanowa wzięła *precyoza* i pojechała do Żytomierza, Może i doprawdy chciała nieboga dopomódz rotmistrzowi, którego była przyjaciółką kiedyś, ale tu bawiono się; pan lliński dał bal, potrzeba było ubrać się i pokazać, a w kieszepi było pusto, dobra były odłużone, prowenta strwonione, a tu przyszła myśl do głowy taka: E! djabli pana nie wezmą! Da rotmistrz sobie radę! Udaje, że niema pieniędzy; bał się mi pewno pożyczyć. Otóż ja pożyczam u niego te klejnoty, przecież mu je oddam i t. d.

Tymczasem sprawa się ciągnęła, a niespokojny Karliński o to, jaki dekret zapadnie, utrzymywał pomiędzy Żytomierzem a Byszowem, na przestrzeni mil jedenastu kresy kozaków. Na najwyższych punktach drogi stali ko-

zacy; konie jadły obrok w zawieszonych im na szyi torbach; skoro stojący na czatach kozak ujrzał z mogiły drugiego biegnącego galopem ku niemu, natychmiast zdejmował torbę z szyi koniowi, kielznał go i leciał naprzeciw towarzyszowi, odbierał papiery od niego i niósł je co tylko koń mógł wyskoczyć ku Byszowu. W ten sposób, w kilka godzin wiedziano u rotmistrza to, co się działo w grodzie. Ufał on, że mu interes dobrze pójdzie teraz, skoro go oświecą pyszne brylanty, spinki i pierścienie; aż oto doszła go *insperate* wiadomość, że wszystko było stracone. Plenipotent rotmistrza donosił mu, że sędzia ów żadnych podarunków nie odebrał, a nie ujęty niczem, został jego wrogiem największym. Dekret grodzki skazywał go za słowa świętokradzkie, w czasie bicia przeora wyrzeczone, na ucięcie języka i na karę gardła; radził mu więc uciekać czempreclzej z kraju, unosząc zdrowie miłe i życie. Już nawet komenda wojskowa, na pojmanie go, wyruszyła z Żytomierza.

Nie było chwili do stracenia. Rotmistrz wziął cztery najlepsze konie ze stajni swojej, wstąpił jeszcze po drodze do kasztelanowej, której przyłożeniem pistoletu do piersi wymógł oddanie sobie klejnotów, które już wykupiła. Kleła się, że to zrobiła przez lekkomyślność, że je zawsze oddać mu miała, że myślała, że sędzia bez tego ujętym zostanie. Tłumaczyła mu się ze łzami. — Ha! Bóg cię niech sądzi na sądzie swoim, — powiedział jej rotmistrz; — oby On, co mnie samemu Sędzią będzie, tak mi odpuścił moją winę, jak ja ci odpuszczam z serca twoją i te tułactwo na które się puszczam, z twego powodu. Ale może tak lepiej, gdzie wina tam i kara!

Uboicznymi drogami uciekł do Wiednia, ztąd zaniósł apelację od dekretu grodzkiego na trybunał lubelski.

Jakże się odmienił rotmistrz! Zupełnie innym stał się człowiekiem. Lat średnich będąc mężem, stał się starym prawie; włos mu zbielał przed czasem. Z dumnego stał się pokornym, a żywot pędził cichy i skromny.

Zostając pod klątwą kościelną, nie wchodził do świątyni Pańskiej, a modlił się u jej progu, klęcząc, a leżąc krzyżem. Strój jego był zaniedbany: wytarta kapota szaraczkowa, pas skórzany, obuwie z prostej juchty. Tak się nosił już do śmierci samej. Hojny był dla ubóstwa, dla siebie nie prawie nie wydawał. Trunku zarzekł się używać wszelkiego. Żal i litość brały patrzac na niego.

Chociaż zbrodnia była wielką, były jednakże i zwalniające zbrodnię w części okoliczności; nieprzytomność, bo czyn dokonał się popijanemu; rozdrażnienie z powodu pierwszego niesławiącego go wyroku, podstępna wreszcie czynność prowineyała. Do tegoż znano go powszechnie za śle dziennika. Trybunał zniósł karę śmierci, a Karlińskiego skazał na więzienie kilkonastoletnie w twierdzy kamienieckiej, z pozwoleniem zabawienia kilka tygodni w domu dla uporządkowania interesów i gospodarstwa. Wrócił więc na czas do Byszowa, gdzie płakał dużo w grobie ks. Trawińskiego, a ztąd udał się do Kamieńca. Tam osadzony w więzieniu, kazał sobie zrobić łańcuch srebrny i ten włożył sobie na ręce i nogi i tak okuty niby, prezentował się odwiedzającemu go komendantowi fortecy, wyrzekłszy solenne słowa: „dopełniłem rygoru prawa!”

Tylko dyrektor sumienia rotmistrza, którego obrał sobie, zgromił go za to: Znowu pycha rogata rozpiera się w sercu waszmościa! Pokory! pokory ci potrzeba; upadłeś przez dumę, w pokorzebyś odpokutował grzech swój. Weź gruby łańcuch żelazny i spętaj się nim, a duma cię opuści, która cię opętała i zgubiła!

Ale i ta już ceremonia włożenia więzów srebrnych na delikwenta była wielce płaczliwą. Oficjalista grodowy, któremu poruczono pilnować skazanego w czasie podróży jego z Byszowa do Kamieńca, był kreaturą rotmistrza; oblewał łzami gorzkimi wszystkie miejsca drogi swej z więźniem. Był nim, zgadnijcie kto? Oto Waśkiewicz.

O boleści swojej, jakiej doświadczał, kiedy ohstalowywał u złotnika te pozorne kajdany ze srebra i kiedy zakował w nie potem swego dobroczyńcę, opowiadał jeszcze w starości swojej Waśkiewicz i to z nieudanym żalem.

— Co się jest?—mawiał.— W łańcuchy mi się, srebrne się, pana mego okulem się jest! Jak bóbr płakałem się i kując się nogi jego całowałem się jest!

Waśkiewicz za usługi wierne otrzymał potem od rotmistrza na siebie i na żonę dożywocie ze trzydziestu chat złożone. Uposażył go Karliński dobrym kawałkiem chleba. Dożywocie to trwało lat trzydzieści z górą, bo i żona Waśkiewicza żyjąc długo, korzystała z tego dobrodziejstwa rotmistrza.

Po upływie dwóch lat, rotmistrz wypuszczonym został na wolność. Wrócił on do Byszowa zubożony, ale przecie nie ubogi obywatel i żył tu cicho, skromnie a odludnie (*).

W czasie sprawy rotmistrza „agitującej się" w grodzie żytomierskim, jakiś obywatel, szczycący się pokrewieństwem Karlińskiego, wyzwał na rękę Czopowskiego za to, że stał się instygatorem i promotorem procesu tego. Wyzwanie to rozgłosiło się w mieście i cała palestra i wielu z obecnej szlachty w Żytomierzu wyszło nad Teterów „na Sokole" gdzie się zeszli z sobą przeciwnicy i wieńcem cie-

(*) Za materiały do tego ustępu, oprócz tradycji miejscowej miałem artykuł M. Gr., w Roczniku literackim Romualda Podbereskiego T. III.

kawych otoczyli zapaśników. Obywatel co wyzwiał irtstygatora, był wzrostu słusznego i gruby, Czopowski zaś małeńki, suchy, a zwinny. Pierwszy, widząc w około siebie zgromadzenie liczne ciekawych, chciał zaimponować i odezwał się w głos do swego przeciwnika: No! dobywaj waść pałasza: kto k... ten zostanie na placu. A Czopowski: k..., *mamo moja, zostanie? A to tobi, mamo moja, zostawatsia!* I wśród powszechnego śmiechu, po pod ręce widzów, wysunął się z tłumu.

Hajdamaczyzna została zniesioną na różnych punktach kresy ukraińskiej za wdaniem się wojsk rossyjskich; sławna rzeź humańska zakończyła się wzięciem w niewolę, przez Kreczetnikowa, Żeleźniaka i atamana huczańskich kozaków Gonty, który przeszedł na jego stronę. Hajdamacy zostali wydani władzy regimentarza Stempkowskiego i sędziego Dubrawskiego. Ale ta część dziejów hajdamaczyzny wielokrotnie już była opisana i wystawiona w powieści, więc nie już o niej tu nie wspomnimy, patrząc na nią jako na przedmiot, mniej więcej, od każdego już znany.

Po uśmierzeniu buntów ukraińskich, wywołanych przez hajdamaków, znowu na kresach rozpoczął się dawny spokojny żywot. Kadry chorągwi pogranicznych poczęły się opróżniać po dawnemu; młodzież, jak Cyncynaci, od broni wracała do domów, do pług.

Kiedy Stanisław powróciwszy z Łucka, zabierał się już wrócić z Dołhobróclki pod rozkazy pana namiestnika

Wilczopolskiego, do chorągwi, nagle zjawił się tu Ignacy, w gościnę do ojca przybyły. Ani można go było poznać; był to inny wcale człowiek: wojak co się zowie! Śmiały, pewny siebie, z układem rębacza sławnego, z czapką na uchu, z wąsikiem zakręconym, acz niewielkim, a szablą taką brzęczącą, że chód jego zdaleka już słychać było. Pozawracał on głowy dziewczętom, o nim tylko była mowa w okolicy. Ale jegomość, ojciec syna, nigdy nie mógł zapomnieć swoich nadziei świetnych, jakie w nim kiedyś pokładał i nieraz mu to nawet powtarzał:—Oj synku, nie o tem ja myślałem dla ciebie: *ja dumaw, szczo ty budez retorom moszpanie!*

Stanisław poszedł wieczorem z Ignacym na przechadzkę do lasu za miasteczkiem i rozpytywał go o kolegów, osobliwie o Waclawa i swoich przyjaciół, noszących jego barwę; ten mu tak na to odpowiedział:

--- Myśmy już ciebie oplakali, Stasiu! Powiedziano nam, że cię powieszono w Czerkasach na rynku. Inni mówili, aleśmy temu nie dawali wiary, że umknąłeś, a pod twojem imieniem hajdamacy powiesili kogo innego. Żał nam ciebie było bardzo, tylko ten twój „ciosek” widocznie nie mógł ukryć swego zadowolenia z tego powodu. Coś ty mu zrobił, bracie, że on cię tak nie lubił? Jakież musiały być okropne kwasy pomiędzy wami: nazywaliście się imieniem jednym jak bracia, i, jak to mówią, nienawidziliście się pomiędzy sobą jak bracia. Ty nie, może, ale on! to niezawodnie w łyżce wody by cię utopił. Wiesz, mówił o nim Nowacki, że przysięgłby na to na Ewangelii, że on wystrzelił umyślnie w konia twego, aby cię wydać w ręce tych zbójów.

— Bo tak to i było, rzetelnie!

— O! widzisz! A my śmieliśmy się z tego powodu z „trójwąsą” naszego; mówiliśmy zawsze, że się mu to przy-

widzieć musiało, albo że mu się może w oczach dwoiło. Niema już teraz twego „cioska” w chorągwi, Bogu chwała; pojechał sobie z Bogiem. A wiesz, że coś dobrego musiało go spotkać! Ja mówię, takim jak on ludziom szczęście w ręce samo lezie!

— Cóż przecie ?

— Oto przyjeżdżał do chorągwi i odpytywał Stanisława Junoszę jakiś zacny, majątny obywatel; myśleliśmy zrazu, że to ciebie mu potrzeba było, ale pokazało się w końcu, że miał interes do tego twego „cioska.” Awantury, mości dobrodzieju! awantury i tylko! Ojciec jego był w jassyrze i długo ani słychu, ani wieści o nim nic było; dziś, słyszę, powrócił do kraju, zapewne wykupiony od tych oo. Redemptorów, cośmy to ich widzieli pod Rzyszczowem i co wykupili także tego urwisa Błażeja, i odpytuje syna. Gdzie to chłopczysko nie było, gdybyś wiedział! Byliśmy u namiestnika właśnie kiedy go wziął był na konfessatę ów obywatel, ów przyjaciel ojca jego, awantury! Wyobraź sobie, był wychowany u jakiegoś dzwonnika! Podrzutek, czy co! Potem go oddano do kolegium Xaver - Ovrucense, tam gdzieśmy to sami byli z tobą i Alwara gryźli; ale widać kilką laty wcześniej od nas wyszedł, bo tóż i starszy jest bykas ten od nas o lat pewno jakich ze sześć.

Stanisław słuchał osłupiały.

— Jak to, mówisz—przerwał w końcu—on się przyznał do tego, przyznał w twoich oczach! że się chował u dzwonnika Gabiży?

— A tak. Ale jak to się było nie przyznać, kiedy go ojciec odpytuje, ojciec bogaty, co na pieniądzach, słyszę, siedzi!

Stanisław zrozumiał teraz wszystko ; zrozumiał nienawiść tego człowieka do siebie; zrozumiał dlaczego on

chciał go trzymać się w boju; dlaczego zabił pod nim konia i wydał go wreszcie w ręce hajdamaków, a nadobitkę teraz oto wykradł mu ojca i skarb nieoceniony miłości rodzicielskiej.

Co tu było począć? Żadnych nie posiadał dowodów pochodzenia swego. Gdzież było szukać Pawła i Scholi, czy żyli jeszcze oni? Tokarski, Kuźma, Starościna, Starosta: wszyscy już byli w grobie. Zapewne znano go w Dołhobrodce za Stanisława Junoszę, ale nikt nie znał jego pochodzenia i przejść z pierwszych lat jego żywota; a to było najgłówniejsze. Przyszła mu na myśl Kasztelanowa; cokolwiek mówiono o niej, on przecie wierzył, że pomimo zepsutego, płochego charakteru jej, ma ona dla niego przynajmniej dobre serce. Uważał ze wszystkiego, że ona znać musi jego historią, znać musi ojca jego, że do niej tedy udać się mu należy, jeżeli chce dochodzić praw swego urodzenia.

Stanisław miał jeszcze trochę grosiwa w kieszeni, miał przytem konia dobrego, kulbakę, odzież, a więc, przeżegnawszy się i zmówiwszy „Pod Twoją obronę,” puścił się dalej w świat, szukać szczęścia i imienia; któż za tem dwójgiem nie poszedłby gonić, choćby pogoń za niemi na koniec świata zaprowadzić miała.

Pojechał najprzód do dóbr Kasztelanowej. Tu powiedziano mu, że pani mieszkała podówczas w Warszawie. Przypomniawszy sobie Stanisław, że żegnając się z nim powiedziała była do niego łaskawie: „Cóż, mój chłopcze, będzieszże mię pamiętać? Jeżeli będziesz kiedy w Warszawie, a przypomnisz sobie dawną przyjaciółkę, zgłoś się do mnie na ulicę Senatorską, pod N° 597.” Miał nawet adres ten wynotowany u siebie w pugilaresiku, w którym notował sobie zwykle na czarnej tabliczce, bieliznę do prania odda-

waną. Takie książeczki zwyczajne były w tym czasie w Polsce.

*

— Ha!—pomyślał sobie—*sic fata tulerunt!* będę więc i w Warszawie. Może tam właśnie czeka na mnie dola moja; wszak dobrze mówi lud nasz, że doli swojej nikt nie prześcignie, ani się schowa od niej, ani pozostanie w tyle. Ślepa babka, a każdego zaprowadzi tam gdzie sama wie, a nikt tego nie odgadnie.

Więc na koń i dalej traktem warszawskim do stolicy.

O! iluż to biegło tam tym traktem! Wielcy i mali, panowie i szlachta, świeccy i duchowni, dziewczęta ładne i szachraje, a każdy jechał tam w nadziei zysku i polepszenia bytu swego. Stolica, dwór, polor, oświata, moda, cudzoziemskie wpływy: wszystko to przydawało starej Warszawie mazowieckiej jakiś nowy charakter, jakiego ona dotąd nie miała, charakter nienawidzony od wielu w kraju, jak charakter tego, który go jej nadał.

Nasłuchał się o tej Warszawie dziwów Stanisław i od kasztelanowej i od oicyalistów starosty i od kolegów w chórągwi. O królu krążyły same ostateczności w kraju. Był on raz Salomonem drugim, drugi raz znowu był tylko ukoronowanym wnukiem podstarościego, kuszącym się o „*absolutwm dominium;*” był awanturnikiem, mającym skończyć gdzieś w tym kącie nieznanym nikomu w kraju, z którego wyszedł był jego dziadek. Takie były głosy partyj przeciwnych.

Konfederacya barska, pomimo klęsk doznanych, jeszcze krzepiła się w kraju całym i tu i tam zawiązywały się nawet nowe stowarzyszenia przeciw królowi Poniatowskiemu. Szymon Kossakowski krążył w Litwie, W Sieradzkim i Krakowskim Bierzyński, Ignacy Malczewski w Wielkopolsce został mianowanym marszałkiem konfederacyi, a wspoma-

gany przez regimentarza swego Gogolewskiego. Ziemia warszawska miała swoje konfederacyą pod przywództwem Tresseberga, utrzymującą porozumienia swoje ze stolicą; ukazanie się tuż prawie pod miastem, w puszczy Kampińskiej Bachowskiego, przestraszyło było miasto i królewskich. Ale pomimo to w stolicy starano się nie tracić ani muszu, mnożono rozrywki i zabawy u dworu; grano teatru, wydawano bale i zawiązywano intrygi miłosne na złość Sarmatom kontusznikom i na złość im także rozwodzono się i gwałcono wszelkiemi sposobami Sakrament małżeństwa.

Stanisław wychowany na dalekiej granicy, nie miał jasnego wyobrażenia o co tu szło, kto miał słuszość, gdzie była prawda, gdzie fałsz; czy szło to naprawdę tylko o sam leb'golony i o perukę, czy na dnie tych zamieszek było coś takiego, od czego zależy pomyślność i przyszłe losy kraju?

Pomimo tych gonitw konfederatów po kraju, udało się przecież Stanisławowi dostać do Warszawy bez żadnej przeszkody. Mówiono mu w drodze o konfederatach wszędzie, ale nigdzie ich nie napotkał.

Piaski, wzgórza okryte lasami, czasami z poza nich błyskała smuga Wisły, coś gęściej ukazywały się karczemki po trakcie, a coraz ludniej na nim i gwarniej, coraz więcej drożyn ubocznych wlewa na gościniec liczne fury, bryki i kolasy. Ha! błyska wieżyczka jedna, zabielały mury, potem wyjrzał jeszcze jakiś budynek duży, jeszcze jedna i druga wieża klasztoru, a w końcu rozwinął się przed okiem Stanisława widok wspaniały miasta dużego. To Warszawa, to rezydeneya królewska: to serce kraju całego!

Zaciekawiony, z sercem bijącym, z okiem baczernem na wszystko, wjechał Stanisław do stolicy, niespostrzeżony od nikogo; wkrótce, jak kropelka w morzu znikł on w pstrym tłumie ulicznym, nie wiedząc dokąd się miał skierować,

gdzie obrócić, gdzie głowę złożyć. Jakież tu hałas, jaki ścisk! Karety poszóstne panów senatorów przesuwały się wśród tłumu; jakież konie, jakie powozy pozłociste, jakie barwy jaskrawe a wytworne lokai, hajduków, strzelców i pajuków! Tam kozacy nadworni poprzedzają karocę magnata jakiegoś, biega laufry; tam huzary innego pana mundurem paradnym oczy wszystkich na się ściągają. Konie prześliczne, a jakie czuby z piór strusich, jakie szory; a jakie śliczne panie wyglądają z poza szyb zwierciadlanych, krążących po mieście powozów. A pomiędzy tym światem modnym przesuwa się bryka szlachcica, powożona przez jakiegoś Maćka w kicrezyi wyszywanej; karabon wojskowego, albo powóz starościński wysłużony, przełożonego jakiegoś klasztoru. Mój I»oże! ludzie, ludzie, ludzie, zewsząd i bez końca ludzie! Tłumy ludzi, a nikogo pomiędzy nimi znajomego! Wjeżdżasz, nikt nie wita, nikt nie czeka na cię; nikt oka swego nie zwróci nawet w stronę twoją, myślał sobie biedny sierota, przybyły z samego krańca Ukrainy.

Usłużny tylko żydek jakiś, widząc Stanisława i odgadując w nim przez skórę nowo przybyłego do stolicy, zapraszał go wymownie do zajazdu jakiegoś na ulicę Franciszkańską; skierował się więc za nim nasz podróżny, a żydek biegł przed nim ustawicznie oglądając się, a wychwalając mu oberżę swoją.

Zajazd żydowski był zwyczajną karczmą z sienią na przestrzał; od frontu były, po jednej i drugiej stronie bramy, stancyjki, z których przednie były dla bogatszych, na zatyłku zaś dla uboższych. Nad wjazdem wisiała wiecha: znak zajazdu.

Do takiej stancyjki został wprowadzony Stanisław⁷, kiedy w stajni zajezdnej uwiązał był konia swego do żłobu,

a sam z mantelzakiem na plecach udał się do izby, pytając szafarza, co mają u siebie?

— Tu jest wszystko u nas W. Panic! Jest bilard, wino, piwo, miód, wódka; jest ryba faszerowana, rosół, kawa, śmietanka i bułki. Można zrobić piwo grzane z jajami i ze śmietaną, z serem świeżym, pływającym, jeżeli jegomość każe. At! jest tu cały harmider! Do naszego gospodarza panowie zawsze zajeżdżają. Na całej Franciszkańskiej znany jest Joś Tuler.

— Dobrze! zgrzycie mi piwa ze śmietaną, dacie mi bułkę....

— Może W. Pan czasem kurzyć sobie lubi? Mamy lulki i tytoń rarytny, *agite! fajni*

— Nic,

— No, to może W. Pan co innego lubi? Proszę tylko powiedzieć: w jeden moment wszystko będ/ie.

— Nic, idź i każ mi zrobić jeść.

— A jeżeli pan wielmożny zechce się zabawić, tu u nas w pierwszej izbie jest zawsze kompania; Jakób stare gra na skrzypcach i śpiewa: „Nasza pani majorowe.” — Jest także ruletka: zna pan ruletkę? To i zabawka ładne i wygrać można w nią wiele pieniędzy, albo ładnych rzeczów.

Austerya ta miała zupełnie minę karczmy małego miasteczka i Stanisławowi dobrze jakoś było w tym zajeździe. Zdawało mu się, że jest gdzieś w swojej prowincyi, a nie w pośród całkiem obcego mu świata, gdyby nie izba pierwsza, duża, z bilardem, ze stolikiem do gry w kości, na którym stał kubek blaszany do ich rzucania, drugi z warcownicą, trzeci stół z ruletą, za którym siedział jakiś żyd z Niemiec zapewne, strój go bowiem różnił od naszych polskich żydów. Za ladą swoją miał on rodzaj kramiku norymberskiego, z etykietkami pod numerami; rzeczy te

można było wygrać — jak mówił każdemu — za bezcen, jeżeli tylko kto z obecnych panów zechciałby zrobić mu honor, szczęście i zaszczyt i zagrał z nim w ruletę.

Stanisław przypatrywał się jak niektórzy stawiali pieniądze i wygrywali grzebyczki, szczoteczki, puder, perfumy i pomadę, ale opłacali w końcu sownie złotówkami. Napatrzwszy się na to nie miał ochoty do gry, chociaż żyd ustawicznie go do niej zapraszał, wmawiając weń, że miał szczęśliwą fizyonomią i mógł wiele wygrać.

— Ten pan nie gra,—mówił do obecnych — z czego ja jestem bardzo kontent, bo, widzę po twarzy jego, że jest nadzwyczaj szczęśliwy; wiem, że gdyby tylko spróbował szczęścia, wnet wszystek kram mój przeszedłby w jego ręce.

Ale Stanisław, mimo wiek swój młody, przebył już frycówkę w wojsku i nie dał się namówić do rulety.

Więcej go bawiły arye Jakuba; żyd z długą brodą siwą grał na skrzypcach i przyśpiewywał przytem rozmaite zwrotki zabawne; tem więcej bawił on obecnych, im więcej tkliwym kiwaniem głowy udawał, że jest rozrzuwniony pieśnią swoją, która nic wcale w sobie czułego nie miała, a przygrywek melancholiczny niegodził się bynajmniej ze słowami, *więcej niż wesołej* piosenki. Żołnierze i starzy zalotnicy sypali Jakóbowi rześiste brawa i trojaki.

Potem jakieś arfiarki wyfiokowane nadeszły bawić szanownych gości śpiewem i muzyką, a ożywiać towarzystwo wdziękami dość już wprawdzie przywiędłemi. Zjawienie ich napełniło izbę duszącą wonią piżma.

Nareszcie właściciel rulety, widząc że już nikt w końcu nie kusi się o wygranę wszystkich jego pięknych rzeczy, jął się sztuk kuglarskich z kubkami i gałkami, z kartami,

krajał wstążki i oddawał je całe, zamyka! wreszcie gębę Jakóbowi staremu na kłódkę i wytrząsał z kieszeni obecnych gości różne fanty zamknięte poprzednio do szufladki stołu.

Wieczorem coraz więcej gości schodziło się na karty; gra odbywała się w izbie drugiej. Grano tu w marysza do puli, w éwika, a nawet faraona, Arfiarki grały i śpiewały coraz głośniej, a grający w karty, opuściwszy marysza, zbliżali się do nich i częstowali je to lipcem, to winkiem słodkiem. przysiadając się i umizgając do nich co wlażło.

Stanisław widział tu samych, tak zwanych, Francuzów z Kołomyi, co to się przyoblekli w strój obcy, sami niewiedząc dobrze dlaczego, najczęściej dla dogodzenia fantazy pańskiej, bo, o ile mógł wnosić z toczącej się rozmowy, byli to po większej części służący z domów pańskich, schodzący się do tej szynkowni na zabawę. Tu się wiele mógł dowiedzieć o życiu prywatnem samych panów tych służących, o ich intrygach miłosnych, a nawet o romansach samego najjaśniejszego *regnanta*. O Sodoma i Gomora! myślał sobie w duchu prostoduszny przybysz z Ukrainy, więc takie to życie tutaj, takie obyczaje. Chyba już ma nastąpić rychło koniec świata. A potem przypomniał sobie proroctwo wieszca stepów — Wernyhory, smutne przepowiednie o losach kraju, i pomyślał sobie, po raz pierwszy, że tak może stać się naprawdę.

Byli tu też dworzanie duchownych, panów, biskupów. O! co też się nasłuchał o nich, o Massalskim, Młodziejowskim, Ostrowskim i innych prałatach. Słyszając to znowu powtarzał sobie: *O! tempom, o mores!* O! zaprawdę, już musi być koniec świata!

Smutny poszedł się położyć w stancyjce swojej, aby wypocząwszy sobie po drodze, udać się nazajutrz do „pałacu” kasztelanowej.

Zaledwie poczęło szarzeć, obudził się Stanisław i posłyszał dzwonek u Franciszkanów; więc odziewszy się poszedł na mszę ranną do klasztoru. O! jakże ta msza ranna o wschodzie słońca, w kościele pustyni prawie, była dlań miłą! Wysłuchał jej, a potem następnej, z -szczerem nabożeństwem i rozrzewnieniem serdeczném. Ofiarował Bogu mszę tę na tę intencją, aby mu Ojciec Niebieski dopomógł wyszukać jego doczesnego ojca i uścisnąć nareszcie stopy nieznanego mu dotąd rodzica.

Tak pokrzepiony na duchu, poszedł nasz Stanisław wałęsać się po Warszawie, nim nadeszłaby pora przyzwoita stanąć przed obliczeni pani kasztelanowej.

Przeszedł około zaniku, zachodził do kilku kościołów, był na Kraków skiém-Przedmieściu, a tymczasem miasto się budziło, odmykano okiennice domów, drzwi magazynów, zamiatano chodniki; na ulicach Stanisław spotykał tylko kucharzy i kucharki z koszykami, dążących w stronę rynku do jatek i straganów z warzywem, albo chłopców piekarskich, roznoszących w krubkach bułki ciepłe od domu do domu, aby były gotowe do kawy.

Miło było wałęsać się tak po nieznanem mu mieście; ranek był świeży, było to bowiem w pierwszej połowie sierpnia, powietrze chłodne a czyste, słońce świeciło jasno, dźwięk dzwonów unosił się ponad Warszawą, i jakoś w głębi duszy budziły się uczucia pogodne, serce było pełne nadziei pomyślnego skutku zabiegów i starań młodziana.

Wtem wydało mu się, że w zaułku spostrzegł postać cioska swego, nawet zdało mu się, że poznał jego twarz

łojową; ale nieznamy ten poprawił' płaszcz, otulił się nim i znikł gdzieś w zakręcie ulicy.

Najlepsze, przed chwilą, usposobienie duszy Stanisława skwasilo w jednym mgnieniu oka to przywidzenie się mu w oddali jego zaklętego wroga, jak, czasami, zdarza się, że cały dzień męczy nas i wprawia w zły humor widziadło jakieś senne, którego nawet nie spamiętaliśmy dobrze i nie potrafilibyśmy sobie zdać z niego sprawy, jakie ono było i co mogłoby w niem tak nieznośnie uciskać uczucie nasze. Stanisław wzburzony cały, szedł ulicą i pytał sam siebie: czego chciał od niego ten wróg zacięty? Co mu on zawinił? POCO lezie mu w drogę, poco czyha nań ustawicznie? Co go z nim związało, że odtąd losy ich muszą iść z sobą w parze, podczas kiedy serca ich obydwóch odpychają się gwałtownie od siebie? Czemże to się ma skończyć, czy krwią koniecznie, czy koniecznie jeden z nich musi poledz, aby drugi był spokojny? Czy pomiędzy nimi od urodzenia leżał jakiś grzech krwawy, pociągający za sobą wszelkie najczarniejsze uczucia i czyny, zawiść, prześladowanie, nienawiść, zdradę, zasadzki i mord wreszcie?

Z takim usposobieniem zwrócił się ku ulicy Senator-skiej, do pałacu kasztelanowej pod N^{em} 597. Uspokoił się nieco i począł myśleć sobie o tej damie wielkiego świata. Osobliwsze uczucia miały sercem Stanisława, im więcej zbliżał się do domu kasztelanowej. Nigdy dotąd nie był u niej, nie wiedział więc jak mieszkała, na jakiej stopie dom swój utrzymywała. Mógł wnosić przecież ze zbytku jaki ją otaczał, ze sukien kosztownych jakie nosiła na sobie w Dołhobródce, że musiała mieć się dobrze. Odpytał nareszcie „pałac” jej; w Warszawie bowiem wielki dom o piętrze, zajmowany przez samego właściciela zwano wówczas pompatycznie pałacem. Ten jednakże wyglądał wcale

pozornie i świeżo; nad bramą wymalowany i wyzłocony był herb rodu kasztelanowej i jej męża, który już oddawna przeniósł się *ad patres*, aby zapewne nie przeszkadzać w niczem samej pani. *Post fata* pana kasztelana wdowa młoda i piękna żyła sobie bardzo wesoło i nigdy nawet nie lubiła wspominać imienia zgasłego swego małżonka. Lubiano ją dla jej wdzięków, dobrego humoru i nawet dobrego serca; ale obok tego była lekkomyślna, płocha, trwoniąca pieniądze, lubiła pożyczać i nie oddawać, a nawet mogła dopuścić się, dla jakiejś wystawy, szалу, lub balilcu, takiego postępków jak ten, którym się splamiła w sprawie rotmistrza Karlińskiego. Stanisław, co znał ją bliżej wyrostkiem będąc, nie wiedział dobrze jak o niej trzymać. Kiedy ujrzał to mieszkanie pańskie, zwątpił o skutku zabiegów swoich; on na Ukrainie, na kresach, gdzie przychodził służyć w obronie granic Rzeczypospolitej mógł zajmować miejsce przyzwoite, będąc wprowadzony do grona „towarzystwa” rekomendacją starosty. Ale tu, w obliczu kasztelanowej, znającej tajemnicę pochodzenia jego, jak się on ukaże i jak zostanie od niej przyjętym? Spostrzegł to odrazu, że w stolicy więcej, niż gdzieindziej: „jak cię widzą tak i piszą,”

Wejść, czy nie wejść? Może doprawdy zawysokie były te progi na jego nogi? Miałże się nastęczać na odtrącenie, na wzgardę może, albo na szyderstwo służalców? On czuł się szlachcicem w duszy; on przelewał krew swoje w obronie kraju: miałże się teraz narażać na upokorzenie? Tak myślał, tak rozważał rzecz tę w duszy, a serce szeptało mu ciągle: a ojciec twój Stanisławie? A jego włosy białe? A starość jego samotna? A jego nadzieje? A łzy jego?

— A! dziej się wola Boża! Przeżegnał się i poszedł naprzód pełen męstwa i odwagi. Przypomniał sobie także

dobroć tej kobiety okazywaną sobie niegdyś; jak go całowała. jak bawiła się z włosami jego, jak sama, wreszcie, zalecała mu wyraźnie udać się do niej w potrzebie i dała mu adres domu swego.

Zadzwonił więc u drzwi.

Drzwi się otworzyły i wyszedł naprzeciw niemu upudrowany, czysty jak z płatka, uperfumowany nawet, a fertyczny lokaj, w pończochach jedwabnych białych i trzewikach lakierowanych ze srebrnymi sprzączkami. Barwa była na nim herbowa, suto wygalonowana.

— Pani kasztelanowa w domu? — spytał dość śmiało Stanisław.

Galonowy zmierzył pytającego od stóp dół głowy i to takim wzrokiem, że aż Staś biedny zarumienił się pod nim po same uszy.

Dziwna rzecz, jaka to zachodzi solidarność pomiędzy ludźmi! Nietylko syn, albo wnuk, albo prawnuk, poczuwa się do pewnej jedności moralnej z ojcem, dziadem, albo pradziadem swoim, ale lokaj nawet czuje solidarność tę względem pana swego. Niedawno Rzymianie pod wyrazem „*familia*” rozumieli pana i czeladkę jego razem. Sługa u nas mówi także o panu swoim „*my*,” a na uboższego i niższego urodzeniem od pana swego patrzy tak, jak gdyby on sam był od niego i bogatszy i lepszy urodzeniem. Dziwna! A jednakże są ludzie, co wbrew przyrodzeniu ludzkiemu, co wiąże ustawicznie osoby w grupy i ciała organizmu moralnego jeszcze od czasów Adamowych, chcieliby rozbić społeczność ludzką na jednostki i atomy!

Otóż ów *farntdus* zmierzyszy wzrokiem Stanisława, widząc że przyszedł był „*per pedes apostolorum*” że, najpewniej, ani urodzeniem, ani mieniem ich domowi nie wyrówna, nic dając baczenia na jego minę dobrą a marsową,

na jego ruchy żołnierskie i na szabelkę błyszczącą, odpowiedział prędko:

— Nie, mości panie, JW. pani kasztelanowej niemasz w domu.

Spuścił Stanisław głowę smutnie i miał odchodzić z niczem z przysionka, kiedy powóz jakiś szybko zajechał przed drzwi pałacu, służący z trzaskiem spuścił stopnie jego, a po nich wysiadł, wspierając się na ramieniu lokaja, pięknie odziany, średnich lat, mężczyzna. Galonowy kasztelanowej wyskoczył naprzeciw przybyłemu, ręką odsunął Stanisława z drogi nowego gościa i schylił się układowie, jakby czekając pokornie co mu ten powie:

— Pani kasztelanowa?

— W bawialni JW. panie, tuż obok gabinetu.

Nowo przybyły poszedł prędko po wschodach ustawionych kwiatami, wysłanych kobiercami, a Stanisław stał na dole z otwartą gębą. Ale krew żołnierska zawrzała mu nagle w żyłach, jak gdyby spostrzegł hajdamakę na stepie zielonym Ukrainy.

— Ach ty łgarzu niegodny!—zawołał w passyi, porywając za kołnierz galonowany liberyi lokaja i wstrząsając nim tak silnie, że aż mąka marymoncka posypała się z pukli jego na ziemię; — ach ty pudlu! czyż nie powiedziałeś mi przed chwilką, że pani kasztelanowej niema w domu?

— Jest wprawdzie, ale przyjmuje tylko swoich dobrych przyjaciół—wyjąkał przełęczony i obsypany, jak młynarz, mąką pytlową, perukarz.

— Dowiedźże się trutniu, że jestem najlepszym przyjacielem kasztelanowej i że przybyłem umyślnie z nad kres ukraińskich, aby się z nią obaczyć.

Język ten i to wstrząśnienie gwałtowne jakiego doświadczył lokaj, dały mu wysokie wyobrażenie o go-

dności przychodnia i nauczyły go odrazu uszanowania i grzeczności z jakimi powinien był zachować się względem niego. Stał się najniższym sługą, poprosił wejść do pokoju i oświadczył Stanisławowi, że jeżeli tylko będzie łaskaw oświadczyć mu swój „honor,” to on, natychmiast, jak skoro JW. kasztelanowa zostanie samą, zamelduje go.

Stanisław wszedł do pokoju umeblowanego z gustem; widocznie musiała to być sala jadalna, pełna kandelabrow i pajaków kryształowych. Ale zamiast konterfektów antenatów, rozwieszonych po ścianach, jakichby się należało tu spodziewać, widział on tylko same mytologiczne obrazy, wyobrażające Ledę z Jowiszem; nimfy napadnięte w lesie u źródeł od Satyrów; Peleja i Fetydę i tym podobne nagości, oddane w smaku zepsutym wieku zepsutego.

Jestemże ja w domu kobiety? Możeż to być, aby tu ucztowano w gronie kobiet dobrego tonu i „konduity,” kiedy światła jarzące i kryształy oświecą i odbiją w lustrach te wszystkie nagości bezwstydne? Któż jest przecież ta kasztelanowa? Czem się *bawi* ona tu w stolicy?

XXIII.

Tak rozmyślał sobie Stanisław, stojąc u okna, z którego odkrywał się widok piękny na Warszawę całą; przypomniał sobie kasztelanową jaką mu się okazała w domu starościny, na wsi, i pożałował czasu tego i tej kobiety do której garnął się chłopięciem. Mażto być jaka zalotnica niegodna, z którą tu lubią się pobawić wprawdzie, ale nikt nie szanuje, a każdy gardzi w duszy. A ileżto wdzięku było w tój postaci pięknej, w tych rysach wybornych, w tych ruchach miłych a naturalnych! Ta płeć śnieżna, ten rumieniec przyrodzony, to oko pełne życia i wyrazu, ta uprzejmość w obejściu, chwytająca każdego za serce. Czyż te wszystkie dary „natury” miały zostać tylko ozdobą jakiejś metressy? Ach! jak to w młodości bierze się wszystko żywo do serca! Stanisław, kiedy czynił myślą te przypuszczenia, miał łzy w oku. Ona była zbliżoną ze starościną, dobrodziejką jego; już to samo wiązało go do niej; a gdybyż, jak to mówił mu ów niegodziwiec, kasztelanowa miała być naprawdę jego matką? Zbladł na samą myśl tego; ale się pocieszył prędko tem, że ów „ciosek” jego nie powiedział nigdy jednego słowa prawdy.

Gdyby od widzenia się tego z kasztelanową nie zależała była wiadomość o urodzeniu Stanisława, uciekłby był niezawodnie z tego pokoju złoczonego, w którym wszystko mówiło mu o jakichś orgijach i zepsuciu świata wielkiego.

Na prowincji zasłyszał już był Stanisław o „faworach” warszawskich, „o *petits soupes*” czyli „kolacyjkach” wyprawianych przez paniczów modnych w kole kobiet płochych. Każde odstępianie od zwyczajów starych, za panowania Stanisława Augusta, wielki miało rozgłos w Polsce całej. Starzy Polacy, z epoki saskiej, opowiadali sobie ze zgrozą to co się działo w Warszawie za panowania Poniatowskiego, dodając, że o czemś podobnem zaledwo u Tacyta tylko i Swetoniusza doczytać się było można. Miały czasy owe swego Propercyusza i Petroniusza w osobie Kajetana Węgierskiego. Stanisław, wychowaniec szkoły starej Jezuitów, brzydził się tą swawolą wieku. Ten jegomość, myślał sobie, co go uprzedził, musiał być zapewne jeden z tych, co doświadcza „faworów” kasztelanowej. O! dlaczego ona nie była taką, jaką ją widział na Ukrainie!

Kiedy tak rozmyślał, w drugim pokoju posłyszał suwanie nogami eleganta; kłaniał się on, żegnał i zbiegł wkrótce po wschodach na dół. Stanisław słyszał jak skakał po stopniach: nareszcie turkot powozu zapowiedział o wyjeździe jego.

Sługa otworzył drzwi, prosząc go za sobą, Stanisław drżał; serce biło mu gwałtownie w piersi: doznawał nadzwyczaj silnego wzruszenia. Przewodnik jego stąpał lekko, jakby nie dotykał się posadzki; otworzył drzwi wreszcie od „bawialni,” uklonił się, wskazał ręką na pokój i zamknął za Stanisławem podwoje.

Młodzian zatrzymał się na progu; w pokoju było dość ciemno; zasłony z grubej materyi w oknach na wpół zasłaniały światło dzienne; jakaś młoda osoba siedziała u klawikordu i grała na nim dość cicho jakąś rzewną melodyą. Za wejściem Stanisława powstała i wyszła, albo raczej przesunęła się cichutko przez pokój, tak jak gdyby przele-

ciała przezeń, nie rzuciwszy nawet jednego spojrzenia na przybyłego gościa; wyszła drzwiami przeciwnymi tym, któremi wszedł Stanisław.

Żołnierzowi coś odległo od serca na ten widok; chwała Bogu, kasztelanowa przecież nie była samą.

Pokój był umeblowany gustownie i bogato; jakaś woń delikatna kwiecia wiosennego napełniała go. Grube kołnierze pokrywały posadzkę, i, jakkolwiek kołnierze w Polsce, na dworach pańskich, niemiłymi bywały czasami dla wychowującej się na nich młodzieży szlacheckiej, ta wystawa przecież podobała się Ukraińcowi na tem miejscu. Cóż bo to za kwiaty śliczne rosły mu pod nogami; jakież barwy żywe nęciły ku sobie oko jego i czarowały wzrok nieprzywykły do zbytków i wymysłów świata wielkiego, jakimś niewypowiedzianym urokiem. Meble, konsole z kandelabrami i wazami marmurowymi były przepyszne, a z waz tych wykwiwały kwiaty rzadkie.

— Ślicznie tu, pomyślał sobie w duchu młodzian. Ale potem dodał pociechu: „ale u nas ładniej i wonniej na kołnierzach kwiecistych stopów naszych, kiedy wiosna zwłaszcza tchnie na nie tchnieniem ciepłym, a P>óg pobłogosławi niwy i pokropi je rosą niebieską! Tu pięknie, ale zawsze to klatka!”

W drugim pokoju na sofie szerokiej a wygodnej spoczywała kasztelanowa, wsparta na poduszce aksamitnej, barwy ciemno-morderowej; jakże ślicznie na tem tle odbijały się bogaty biust jej i ramiona kształtne, jakby wytoczone z marmuru paroskiego! Wezle mody owoczesnej nic się nie skrywało przed okiem ludzkim z tego, co tylko kobieta miała w sobie pięknego. Do tegoż światło przedziwnie jakoś padało na tę postać piękną, przez draperye osłaniające okno naprzeciw sofy stojące.

Więc to ona! pomyślał sobie Stanisław; jakże ta pani pyszna przyjmie mię biednego sierotę, z którym kiedyś lubiła się była bawić? Ledwo myśl ta przebiegła przez głowę młodzieńca, kiedy kasztelanowa skinęła na niego wachlarzem ze słoniowej kości delikatnie wyrobionym, a na rękę, przy tem jej poruszeniu zagrały dyamenty na bransoletach i w pierścieniach osadzone.

Stanisław zbliżył się ku temu tronowi piękności dojrzalej, ale upajającej zmysłowością.

Pomimo ten przepych, ten wdzięk cały, kasztelanowa jakby starała się ukryć boleść wewnętrzną; skrzywiła się, zbladła, a potem łzy pokazały się w jej oczach — ale to przeszło prędko, jak deszczyk latem, kiedy chmurka mała nabiegnie, zakryje na chwilę słońce i zrosi ziemię; potem znów pogoda, jasno i piękniej jeszcze, kiedy na liściach świeżych i kwiatach drgają kropelki czyste mieniące się barwami kamieni drogich. Tak i kasztelanowa przycisnęła tylko rękę do piersi, jakby chciała w nich zdławić boleść jak gadzinę ukrytą, i uśmiechnęła się do młodego żołnierza dawnym, dobrym, niby macierzyńskim uśmiechem.

— Mójże ty pocziwy Stasieczku! rzekła, wyciągając do gościa swego dłoń białą.

— Sługa najniższy i faworyt niegdyś pani kasztelanowej dobrodziejki, — rzekł ten całując podaną sobie rączkę, połyskującą od pierścieni drogich, na wszystkie jej palce powkładanych.

Niegdyś? Czyż uczucia pocziwe mają więdnąć tak prędko? I teraz mój Stasiu i teraz! Ale cóż mi powiesz?

— Jak nateraz tylko jedno mogę wymówić. Daruj pani, ale to jedno, to mój podziw nad pięknnością pani; wybacz mi pani kasztelanowa, ale tego nie mogę przemilczeć!
U l c e d o J v Y ' Paui przemówić tak jak Telemak wyrzekł

był do Callipso: *o vous qui que vous soyez mortelle ou deesse, quoique a vous voir on ne puis.se vous prendre que pour une diihnite.*

— *Pas mai, savez-vous? Pa* mai!* Więc jestem piękną? Cieszę się, że to mi mówisz, że cię nie przestraszam, mój drogi, mój kochany przyjacielu! Powiedzże mi, tylko szczerze, mój Stasieczku, nie widzisz-że ty we mnie żadnej a żadnój zmiany?

— Taką chyba, ale maleńką, bo dla wielkiej miejsca-by niestało, że jesteś pani jeszcze piękniejszą niż przed-tém byłaś.

— *Charmant!* Pochlebnikiem jesteś jak widzę! Więc i u was już, na Ukrainie, nauczono się nareszcie mówić słówko słodkie? A ja chcę od ciebie prawdy, szczerzej prawdy.

— Ale najszczerzój mówię to pani kasztelanowej.

— Dziękuję ci więc. To dobrze; ach jak dla mnie każde słówko takie jest drogiem. Widzisz Stasiu mój:—ja czuję się chorą; źle, źle ze mną; więc każdy co mi powie, że nie znać po mnie choroby, że ta mię jeszcze nie pożarła, balsam skuteczny leje mi w duszę. A! jak to okropnie porayślc sobie, że to co jest mną dzisiaj, że to ciało śmierć skosi, że mię wywiozą na Powązki, wszyscy zapomną o mnie i robactwo tylko nową pastwę dla siebie znajdzie. *Oh! que cet horrible!* Ale stań-że tu przedemną, mój Stasieczku, niechże popatrzę na cię. *Afais vous etes charmant!* Na „awantaż,” prawdziwie na „awantaż!” Tylko zanadto sensata udajesz. A potem: *rous rietes pas hien mis mon chbr!* Mniejsza, że po polsku! Strój narodowy jest piękny, ale wigcćj gustu, wigcćj ozdób nie zaszkodziłoby w stroju twoim.

I kasztelanowa patrzyła na Stanisława okiem niewypowiedzianej dobroci. Zawstydzony tem trochę, Staś spuścił oczy i rzucił wzrok na stolik mały z marmuru białego, na którym leżały przepyszne edycje, bogato oprawne, dzieł francuzkich. Stanisław na grzbiecie wyczytał: *Oeuvres de Voltaire*. Z przestrachem odkrył okładkę i wyczytał tytuł dzieła: *La puçdle çfOrleans*; druga książka nosiła tytuł: *Les amours de Psyche et de Cupidon par Lafontaine*. Dla niego to była litera martwa, ale kasztelanowa zapłonila się trochę: bała się zapewne, aby przerzucając te dzieła nie natrafił na ryciny, więcej mówiące od tytułu; więc wzięwszy za rękę gościa swego odwróciła uwagę jego od książek.

— Daj temu pokój! To są pisma Woltera; jeszcze cię spalić gotowi na Ukrainie, albo oczy ci wyłupić za to, żeś patrzył na te książki, a ręce uciąć, że się ich dotykały. A może i słusznieby tak postąpili.

A po chwili milczenia:

— "Więc pamiętasz te czasy kiedym była u was na wsi? Jakież-bo to były dla mnie miłe „momenta;" i dziś, nieraz radam je sobie przypominać. Ale cóż z tego, mój Stasiu, kiedy to wszystko mija? Zarówno złe i dobre!

Pomyślawszy trochę:

— Ale będziesz ze mną jeść obiad. Zadzwońże Stasiu, tylko delikatnie, bo nie mogę znieść hałasu. Potem mi opowiesz dzieje twoje: boje na kresach i podboje serdusek; wszak dla mnie tajemnicy nie masz: prawda? *

Stanisław zadzwonił w srebrny dzwoneczek, i piękna, młoda panienka, co tak cichutko, a tak rzewnie umiała grać na klawikorcie, weszła na palcach do pokoju. Skinęła na nią głową kasztelanowa i ona podeszła do sofya i schyliła się; gospodyni coś powiedziała pocichu panience. Kiedy odchodziła, niepodobna było nie postrzedz na jej twarzy

głębokiego smutku i boleści, a także spojrzenia pełnego politowania, jakie ona rzuciła na panią swoją, czy może na przyjaciółkę.

Stanisław usiadł u nóg kasztelanowej na małym stoleczku i ucałował z uniesieniem jej rękę.

— Całuj chłopcze tę rękę i licz na nią równie jak i na serce moje; one są na twoje rozkazy, dopóki obojga nie odwiozą na Powązki.

Przypomniał sobie Stanisław słowa „cioska,” że kasztelanowa była matką jego i zastanowił się; cokolwiekby przycisnął rękę kobiety tej do serca swego. Ach! pomyślał sobie, może ona jest grzesznicą, ale czyż Chrystus Pan nie powiedział tego o Magdalenie jawno grzesznicy: „wiele jej będzie odpuszczono, bo wiele kochała.” Do mnie sieroty nikt tak nie przemawiał jak ona — oprócz tylko tej świętej niewiasty, dobrodziejki mojej, starościny.

— Powiedz-że mi o swoich „sukcessach” mój rycerzu piękny; wiele pokonałeś owych hajdamaków strasznych, bo zapewne służąc na kresach, w partyi ukraińskiej, musiałeś walczyć z nimi. A może trzymasz z konfederatami? Wszak wiesz Stasiu, że mię to wszystko żywo obchodzi, co ciebie dotyczy. Mówże, mów—i to powiedziawszy rzuciła chustkę białą na twarz swoją, jakby chciała drzemać, przysłuchując się słowom Stasia.

— Ale dlaczegóż mówiąc, nie miałbym mieć tej rozkoszy, abym mógł patrzeć na twarz pani, na te rysy tyle mi drogie? A toż słońce zachodzące i tonące gdzieś w Wiśle, poza tym lasem, czy ogrodem, jakże jest przepyszne! Ach jakże często, bywało, myślę sobie o pani patrząc na wschód i zachód słońca? Proszę zbliżyć się do okna i spojrzeć na ten widok jedyny, nim ta gwiazda dzienna skryje się poza drzewa.

— Nie mów rai, chłopcze kochany, o zachodzie! Ja nie mogę teraz znieść tego widoku. Mówisz, abym wstała! O' dziecię mego najlepszego przyjaciela, wiedz o tem, że nie mogę powstać, nie mogę ruszyć się nawet bez pomocy obcój, bez niebezpieczeństwa jawnego. Ta sofa — to łożo chorego, że nie powiem umierającego., Mówią mi, Stasiu, mnie, której tylko coś wychwalał wdzięki, że dni moje są policzone! Radzą uciec się do spowiedzi, sprowadzić księdza. Ale ja im nie wierzę — nie — nie—nie — nie wierzę! Ale dość tego; nie powinnam wzruszać się: to rai szkodzi. Możesz ty, mój chłopcze, taki szczęśliwy, że przybyciem swoim, obecnością swoją, przyniesiesz mi zdrowie i jeszcze długo z sobą pożyjemy na świecie.

— Czyż to podobna! Czyż to być może! Nie! pani próbujesz mię tylko! Ale to okrutny żart, kasztelanowo ! Odwołajże to pani, jedyna moja na ziemi przyjaciółko!

— Wzruszenie to zabije mię, Stasiu mój drogi. Gądzina i teraz właśnie ssie i gryzie mi wewnątrz serce. Daj mi rękę.

Wzięła dłoń Stanisława i przyłożyła ją sobie do serca. Ach! serce to biło i trzepotało się w piersi jak gołąb' umierający; ustawało trochę i biło znowu i trzepotało się w łonie po dawnemu. Przestraszony chłopiec spojrział na twarz kasztelanowej, była ona blada jak marmur. Ale paroksyzm był tyle krótkim o ile był gwałtownym; za chwilę twarz się jej znowu wypogodziła i była piękną jak przedtem.

— Wiesz więc teraz Stasiu, że najmniejsze wzruszenie wprawia serce moje w ten stan okropny, a każdy podobny paroksyzm boleśniejszym jest zawsze od poprzedzającego. *Savez-vous*, mówią mi lekarze, że blizką jestem skonu? Ale ja temu nie mogę dać wiary, ja nie mogę tego pojąć nawet. Jakież są ślady we mnie śmierci blizkiej? W około

wszystko oddycha życiem, zdrowiem, świat się uśmiecha; tam w mieście tak wesoło, wszyscy się bawią u dworu wybornie, brakowało mi ciebie jeszcze; teraz mam i ciebie mój paziu kochany i mówią, że mam umrzeć. Podobneż to jest do prawdy? *Je vous dis que cela n'apas. le sens commun!* Nie! to kłamstwo wierutne! Nie, nie—i nie! Ja nie jestem umierającą!

— O! dałby to Pan Bóg i Jego Matka Przenajświętsza! Jakkolwiek bądź wszyscy my jesteśmy śmiertelni ludzie; młodzi i starzy zarówno są blizcy śmierci, i nikt z nas tego nie wie „który z brzegu;” więc spodziewając się żyć, niezawadzi przygotować się i do śmierci, kochana pani kasztelanowo dobrodziejko!

— O! jam nie przygotowana!—A pomyślawszy chwilę i wzruszając głową dodała:—jam nie w stanie przygotować się na śmierć sama.

— Królowo moja! potrzeba poprosić księdza; małoż tu w Warszawie musi być duchownych świątłych, cnotliwych, przykładnych i pełnych poświęcenia.

— Zapewne, że muszą być; ale, przyznam się, że ja znam tylko niektórych prałatów; ale ci mię nie przygotowują do śmierci i nie pogodzą mię z sumieniem mojem. Znam księdza Bohomolca, ale ten nie wierzy ani w piekło, ani w czarta; ksiądz Naruszewicz umie pięknie wiersze pisać, ale nie u Anakreona szukać mi pociech duchownych. Ksiądz Krasicki śmieje się z mnichów nie gorzej od Woltera samego; wybornie układa bajki, a mnie prawdy gorzkiej potrzeba. Ksiądz Albertrandy potraktowałby mnie historią, a ks. Młodziejowski polityką! Oj! Stasieczku drogi! Jak trudno jest znaleźć spowiednika dobrego, bo spowiednik to anioł stróż, co kocha nas, płacze nad upadkiem naszym i wspiera

w nim, podnosząc nas do Boga! o! takim był tylko ks. Beaudouin!

— Każdy ksiądz cię pokrzepi i przygotować potrafi. Posłać do XX. Missyonarzy, poradzić się w tej mierze jakiej duszy pobożnej, a tymczasem przeczytać jaką książkę piękną, ks. Piotra Skargi dzieła....

— Ha! może toby mię pokrzepiło! Teraz mię najweselsze książki nie bawią! Miałam romans *Chaderlos de Larclos:—Les Uaisons dangereuses*, ale i to mię nie zabawiło,— powiedziała dobrodusznie.— Ale dajmy temu pokój: ja nie chcę umierać i nie myślę umierać! Jutro zbierze się konsylium z najpierwszych lekarzy złożone; doktor królewski jest zaproszony; muszą mi więc wynaleźć coś skutecznego na moje cierpienia i podźwignąć mię na nogi. Dajmy temu pokój! Czyż i ty Stasiu mój skazujesz mię na śmierć? Brr! to straszna myśl — umrzeć! *Cest affreux!*

— Tak! zwłaszcza umrzeć przedwcześnie.

Zanadto mówiła; uspokoiła się, przymknęła oczy i zdawała się drzemać spokojnie. Stanisław siedział u jej głowy, czuwając nad nią. I niktby, patrząc na tę grupę nie odgadł tego, że ta kobieta, piękna, piękna jak posąg snu, stworzony myślą i dłem jakiego Michała Anioła, że ta kobieta stała nad grobem. Młody żołnierz popatrzył na przepych panujący dokoła, popatrzył na tę postać pełną wdzięku i powiedział do siebie z królem Salomonem i z mistrzem swoim Klimowskim: *vardtas vanitatum et orania vanitas!*

Nareszcie przebudziła się z uśpienia, napozór pokrzepiona.

— Mój drogi chłopcze, czemużeś nie w żałobie?

— Rozumiem do czego pani zmierzasz; spostrzegam teraz, że sama masz żałobę na sobie. Nie powinienem cię

niepokoić, ale, na Boga! powiedz mi pani, powiedz mi to jedno tylko: byłaż ona matką moją?

— Czy śmierć rozwiązuje od przyrzeczeń?

— Nie jestem zbyt biegły w kazuistyce, aby odpowiedzieć na to pytanie; ale wiesz, że ta niewiadomość przywodzi mnie do ostateczności: wszystko porzuciłem, wojaczkę, strony rodzinne, szukając imienia, a choćby tylko tego, abym wiedział jak mam w modlitwie wspominać matkę moją i ojca po imieniu.

— Stasiu mój, Stasiu! Zostaw to czasowi i okolicznościom.

— Nie! dość już tej ślepej babki! Ja chcę znać moich rodziców. O! ile to upokorzenia doświadczyć przychodziło! Ja nie mogę spojrzeć nikomu w oczy śmieie! Niedawno jeszcze łotr jeden śmiał mnie nazwać dzieckiem nieprawem, a ciebie pani zniesławił macierzyństwem podobnem. Mogęż czekać i znosić takie poniżenie cierpliwie ?

— Ale któż, kto, kto?

— A pewien człowiek odlany z łoju, czy z masła, nie wielki, układny jak kotek, migdalili, z głosem takim, że ten mnie zawsze wprawiał w zamieszanie, z kąd go znam, aż teraz dopiero poznaję, po raz pierwszy, to powinowactwo głosu; hultaj, rozrzutnik, nazywający się, zapewne tak kłamiąc w tem, jak we wszystkim innem

— Stój, stój, mój drogi, ffe miłość Pana Boga — a to mówiąc, pierwszy raz podniosła się na sofie. — To, na czem się zawsze skończyć musiało, zbliża się; potrzeba to raz odbyć, chociażby przyszło i życiem przyplacić. Zadzwoń, proszę, raz jeszcze, na pannę Milecką.

I znowu cicha, piękna panienska przyszła tu z pokoju drugiego, znowu nastąpiły pomiędzy dwiema kobietami szepty jakies i narady. Panna podawała krople jakies,

kasztelanowa wzięła je na cukrze, (zapewne tynkturę z korney dygitalis, i wodę laurową), a nareszcie wydostała panienka z kądcis związke papierów jakichś. Dokonawszy tego sługa ta, czy przyjaciółka, przypomniała uroczyście, z przyciskiem, kasztelanowej, żeby się uspokoiła, a ukłoniwszy się zlekka Stanisławowi, leciuchno, na paluszkach wysunęła się z pokoju.

— Posłuchaj mię Stasiu. Przez całe życie moje—rze-
kła, kiedy w pokoju pozostali byli tylko we dwoje — przez
całe życie moje nie lubiłam i unikałam starannie scen wszel-
kich; nie lubiłam wzruszeń gwałtownych. Teraz nie myślę
ci wcale dawać dziejów żywota mego, spowiadać ci się
z przeszłości, prosić ciebie i Boga o darowanie mi win
moich, a potem umrzeć jak w melodramacie jakim. By-
łoby to niedorzecznością; muszę przecież wyznać, że los
twój dziwnie jakoś splątał się z moim własnym bytem. Nie
kryję tego przed tobą, że jestem kobietą upadłą, grzesznicą;
ale tak jak mi brakło zawsze wdzięków Magdaleny, tak też
braknie mi dziś jej skruchy i żalu. Upadłam dla najpierwszej
głowy w kraju; rozumiesz mię o kim mówię: uważałam to
za szczęście i honor; myślałam, że ten -który mię uwiódł,
mnie jedną tylko ukocha i omyliłam się w tem. Wiem że
u was na prowincyi potępiają to życie dworskie, jakie my
tu prowadzimy; może i ty mną wzgardzisz — ale ja ci to
wybaczę Stasiu mój, niech t^{*}posłuży mi na okupienie winy
mojej. Ale na miłość Pana Boga, nie mów mi źle o tym
młodzianie, o którym wspomniałeś; może to wreszcie nie
ten, eo zatrul mi goryczą życie, z kądinąd dość wesołe. Bo
wyznam ci, że jestem filozofką i biorę życie takie jak ono
jest, Opowiedz mi wszystko, a ja ci powiem z kolei, tyle
przecież, ile będę widzieć, że potrzebnem jest wiedzieć
tobie.

Więc Stanisław opowiedział kasztelanowej szczegółowie jak był wstąpił do wojska partyi ukraińskiej; jak przybył po nim na kresy jakiś „ciosek” jego, nietylko co do imienia, ale i co do nazwiska nawet; jak go on wybawił był od „arkana” hajdamaki, posłyszawszy głos jakiś dobrze mu znany, a potem jak ten „ciosek” odpłacił mu ten jego uczynek dobry drwiąc nielitościwie z jego urodzenia, mieniając go synem nieprawym ojca własnego, zrodzonym z kasztelanowej. Jak potem postrzelił pod nim konia, kiedy napadnięty, w sile nierównej, od hajdamaków, hufiec podjazdu polskiego musiał podać tył i pójść w rozsypkę. Jak wreszcie miał ginąć na szubienicy w Czerkasach i tylko został wybawiony od śmierci przez poczciwych dwóch parobków, szewczyka i kowalczuka.

W miarę tego jak mówił, wzruszenie owładało fizyonomią tej światowej i pysznej kobiety. Z początku długo była twarz jej nieruchoma jak bywa u tych, co zacisnąwszy zęby, starają się przenieść spokojnie bolesną operację chirurgiczną. Oczy tylko kasztelanowej pały i zdawały się przesywać na wskroś Stanisława. Była jakaś niespokojność w tym wzroku, ale najmniejszego poruszenia w oku.

Wzruszenie objawiło się wyraźniej, kiedy Stanisław wspomniał o stryczku hajdamaki zarzuconym na szyję wroga jego i jak ten go ściągnął z konia i ciągnął po ziemi okładając jeńca harapem. Załamała ręce i podniosła oczy w górę jakby prosząc Boga o zmiłowanie, albo wzywając Go o pomstę nad zuchwałym zbójem stepowym. Im dłużej mówił Stanisław, tem wyraźniej spostrzegł, że tracił łaskę tej kobiety i że ona pomimo słuszności, brała stronę wroga jego. Kiedy wspomniał o listach, jakie mu pokazywał ów zaklęty nieprzyjaciół, dla przekonania go, że nie był kłamcą, kasztelanowa wyrzekła spokojnie;

— Dość *tego*, Stanisławie; mniejsza o to jak go masz nazwać, wiedz tylko o tem, że on jest synem moim!

— I moim bratem?

— O nie! mój gości panie! Jakkolwiek się on poniżył, szlachetniejsza krew płynie w żyłach jego od wascinej. Nędzny, nieszczęśliwy, spodlony, niema przecież powodu sromać się pochodzenia swego ani ze strony ojca, ani ze strony matki. Jesteś jego wrogiem; spokojniej mogę słu-chać tego co mi mówisz o nim. To jedno tylko wiem i za to mogę śmieie zaręczyć, że się nie wyrzekł matki swojej!

— Pani kasztelanowo dobrodziejko! — przemówił obo-jętnie, chłodno Stanisław — widzę, że pani, lubo niesłusznie, wzięłaś stronę jego przeciwko mnie. Nie zgrzeszyłem ja w niczem ani przeciw pani, ani przeciw jej synowi: — Bóg to widzi; byłem napadany od niego, nigdy zaś sam „agres-orem” nie byłem: — zawsze byłem tylko ofiarą jego. Nie myślę teraz obrażać uszu pani, ani razić serca jej, powta-rzaniem wykroczeń syna. Skrzywdził mię bardzo; nic ko-niec jeszcze zapewne tego: ale Bóg go, a nie ja. niech sądzi. O jedno się tylko upominam: oto o moje dokumentu, o świa-ductwo urodzenia mego, z któremi on chce podejść rodzica mego, aby się udać przed nim za jego syna,

— O! tego nie będzie! Szalone, zepsute chłopię! I ja, matka jego mam w tem być oskarżycielką jego, mam działać przeciwko niemu jakby jego nieprzyjaciółką. Ale oddawna odepchnęłam go od siebie, prawie przeklełam go! Oh! Sta-nisławie, Stanisławie, gdyby on był podobnym do ciebie! Ale od pieluch prawie miał on skłonność do zepsucia, do trwonienia pieniędzy; przed rozrzutnością jego nieostałaby się nawet królewska fortuna; wszystko on przebrał i wy-czerpał: nawet miłość macierzyńską! Odmówiłam mu pieniędzy, a on okradł mię z papierów. Ani myślałam jaki

zły użytek może z nich uczynić. Oszczędź mię trochę, a ja ci wszystko powiem; tylko na miłość Pana Boga, Stasiu, gdyby jeszcze raz los dał go na łaskę twoją, jak wtedy na stepie ukraińskim, zaklinam cię na rany Chrystusa, nie zdepcz wtedy nogą mściwą mego biednego Augusta!

Tu dostała nowego a silnego paroxyzmu słabości sercowej, który przecież, jak i poprzedzające, przeszedł prędko; ale tą razą uciekła się do kropel. Uspokoiwszy się mówiła dalej:

— Ani ty, ani nikt znać nie powinien mojej historii; dość ci na tem, że od młodości mojej miałam się połączyć z osobą wysoką. "Wcześniej upadłam w tę świetną „plamę” jak to świat nazywa, chociaż ja nigdy nie miałam tego za złe. Nawet wszelkie były zachowane pozory, bo przedtem, nim syn mój się urodził, zostałam wydaną za mąż za pewnego starostę, którego do dziś dnia noszę nazwisko w świecie; miał on lat sześćdziesiąt, ulegał mi we wszystkim i trzymał się zdała. Dostał za to kasztelanią drażkową i był zadowolony z losu swego. Do domu naszego zawitał ojciec twój; ten, dla którego poświęciła wszystko: zapomniał o mnie, zbyt stał on wysoko, aby mu brakło kochanek. Z kolei pokochałam księcia N***, byłam wtedy wdową po mężu i po kochanku. Żyłam natenczas w świecie modnym kochana, wielbiona, królowa wszystkich zgromadzeń. Jeden tylko wybrany serca mego, najpierwszy, nie wracał do mnie, więc pocieszałam się powtórna miłością. Ha! cóż mi pozostało w życiu? Przeżyło się ja-koś na świecie: jutro, jeżeli konsylium lekarzy potępi mię, nic mi więcej nie pozostanie, jak wezwać jurystę i księdza; jeden rozporządzi tem co mam, drugi zbawieniem duszy.

— Pocóż odkładać na jutro?

— A! bo dziś należy do ciebie. Słuchaj więc: Matka twoja była zacnego, chociaż nie wysokiego urodzenia; była ona córką possessora w okolicy mojej. Była najpiękniejszą, dziewczką w powiecie całym. Ojciec wysłał ją na „edukację” do Warszawy i została wychowana świetnie nad stan swój. Przez to zawróciła się jej głowa, marzyła o życiu świata wielkiego; myślała, że dlatego, że mówi po francuzku, że tańczy szala i bukieta, że śpiewa i gra na gitarze, powinien się z nią ożenić koniecznie książę jakiś, lub wojewoda przynajmniej. W tym celu zapewne, wbrew woli rodziców, wołała zostać ochmistrzynią u księstwa N*” mieszkających w stolicy natenczas, niż wrócić pod strzechę słomianą rodziców poczciwych, ale ubogich. Pomyliła się w rachubie nieboga i to właśnie stało się niedolą całego jej życia.

Stasiu mój! jam kochała serdecznie twoją matkę, wiesz sam o tem, ale jako ochmistrzyni przy dzieciach księstwa N*”, bałam się i nienawidziłam jej prawie. Może nie była ona piękniejszą odemnie, ale ten kogo wybrałam sercem, książę N*” był tego przekonania. Mieczysław Jedliński kochał się w niej, i nawet starał się o nią. Pomogłam mu w tem, zaprzyjaźniłam się z matką twoją, namówiłam ją na wykradzenie się, załatwiłam wszystko i Mieczysław Jedliński ożenił się z ochmistrzynią; byłam świadkiem ślubu. Odtąd byłam spokojną o księcia.

— Niechże za to będzie Bogu Najwyższemu dzięki! Nic jestem więc dziecięciem nieprawem.

— Ojciec twój był rozrzutnikiem, szalapatem; chociaż miał już lat pono więcej trzydziestu, był starostą, ulegał przecież we wszystkim matce, kobiecie wygórowanej ambicyi: bał się jej jak ognia. Boże broń, aby się dowiedziała o tem! Ojciec twój był słabej duszy; kochał żonę, a po-

zwoił na to, aby ona była dalej ochmistrzynią, jak przedtem, w domu księcia. W przyzwoitej porze potrzeba było znowu wyjechać niebodze z domu tego. Sama byłam świadkiem twego urodzenia. „Poczekaj jeszcze trochę, jeszcze trochę tylko, a prześlągam jejmość i przyjmę cię do siebie;” tak mówił ojciec twój matce twojej. „Będziesz moją w oczach świata całego, a Stasię synem moim.”

— O biedna, biedna mateńka moja!

-- We dwa lata po pobraniu się, jeszcze tak stały interesy; matka umarła w końcu, a pan Mieczysław nie myślał rozgłaszać aktu swego ożenienia. Matka twoja była dumna i milczała, nie nalegała kiedy on sam zapomniał o obowiązku swoim. Mówiono jakoby on powiedział, że ją oszukał fałszywym ślubem.

Stanisław zakrył sobie oczy.

— Tak, mówił jakoby dający ślub nie był kapłanem. Trudno mu było dowieść tego że było inaczej. Stryj jego nie odmawiał przecież pomocy pieniężnej dla ciebie, kiedy wtem niebo chciało się zemścić nad nim. Oto zagon hajdamacki, wracając z obłowu z ogromną batownią, wpadł razu jednego do rezydencji wołyńskiej ojca twego, zniszczył dwór, a jego samego z wielą innymi zabrał na Sicz i sprzedał Tatarom, którzy go z jassyrem całym odprzedali na niewolnika Turkom.

— Więc jestem synem nieprawym?

— A gdyby? I cóż ztąd? Wszystko to czyży przesąd, mój Stasiu! Ale nie pytasz mię o los matki.

— O! owszem, cóż ona nieboga? Cóż, powiedz pani na miłość Boską?

Mieszkała zawsze u rodziny księcia N"*, jako panna respektowa, uważana i kochana od wszystkich; historia z Jedlińskim nikomu nie była wiadoma. Tu poznał ją sta-

rosta Marliński, upodobał ją sobie i ożenił się z nią, a księstwo dali jej wyprawę, jakby własnej krewnej. Matka twoja wyszła za mąż, głosząco bowiem że ojciec twój zmarł w niewoli; wychodząc za starostę, spodziewała się polepszyć byt twój i dać ci wychowanie przyzwoite. Oddała cię więc do kollegium owruckiego, a potem wzięła do domu własnego.

— Teraz więc rozumiem dlaczego zachorowała, słysząc z gazet o wykupie przez XX. Redemptorów niewolników polskich, jęczących w jassyrze niewiernych; w liczbie ich musiał być wymienionym ojciec mój.

— A tak, wrócił on, odzyskał majątek, który zagarnęli krewni jego i robił pilnie poszukiwania, dowiadując się o losie dziecięcia swego. Kiedy jeszcze byłeś w domu dzwonnika, pisałam do niego o tobie, ale obojętnie on to przyjmował. Te właśnie listy widziałeś w ręku Augusta mego.

Ale wzruszenie i opowiadanie długie osłabiły w końcu kasztelanową; pochyliła się więc znowu na poduszkę i jeszcze raz ośwładła ją drzemką.

Kiedy znów kasztelanowa otworzyła oczy, Stanisław począł rozpytywać ją jeszcze o szczegóły ważne dla niego.

— Pani kasztelanowo dobrodziejko ! Zmiłuj się pani, racz mi zakomunikować wiadomość ważną: gdzie mieszka mój ojciec? bo ja tu czasu w Warszawie tracić napróżno nie mogę, kiedy wróg mój kopie może dołki podemną!

— Tak! Ale nie jedźże do ojca bez papierów; nie wszystko zagarnął mi jeszcze ten szalapat. Weź z sobą to i to, oprócz tego dam ci świadectwo własnoręczne od sie-

bie, jakó cię znam że jesteś jego synem, zrodzonym z przyjaciółki mojej. Może ci się to przydać.

Napisała więc krótki bilecik do Jedlińskiego, opisując w nim dokładnie postać i rysy Stanisława, świadcząc że on jeden, a nie kto inny był owym Stanisławem Junoszą, wychowanym od Gabiży dzwonnika.—Weźże to i wręcz ojcu, a ja o jedno tylko proszę ciebie: oszczędzaj krwi „jego,” a razem mego własnego zdrowia. Pamiętaj żem nie powinna, żem nie przygotowana jeszcze do tego, by umrzeć.

Podano obiad: jedli milcząc, smutni oboje, zafrasowani i myśląc o czym innym; po obiedzie Stanisław wyszedł do siebie. Nazajutrz, do-dnia, myślał wyjechać, ale tyle było uczuć w duszy jego, tyle myśli w głowie, że aby się rozerwać, poszedł przejść się po Warszawie, opatrzeć miasto i oświeżyć się wreszcie chłodnem powietrzem wieczoru.

XXVII.

Pochodzący po mieście zmrok począł zapadać, a Warszawa poczęła błyskać światłkami coraz gęstszymi; na Wiśle nawet, na tratwach, zadrgały światelka i odbiły się w wodzie rzeki. Śliczny to był widok miasta dużego gorejącego światłem, od strony Pragi! Zgiełk i turkot dolatywały tu ze środka stolicy, jakby ryki i szum morza wzburzonego. Jakże to wyglądało inaczej niż na Ukrainie! Cisza stepu pola dzikiego i łoskot i gwar stolicy! Tamtę ciszę, za ledwo latem, w porze nocnej, przerywa ćwierkanie konika polnego, lub świst susła; tu wszystko kipiało życiem, namiętnością, ruchem a zgiełkiem.

Pochodzący tak godzin kilka na wolnym powietrzu, począł przypominać się młodemu żołnierzowi żołądek; delikatne potrawy stołu kasztelanowej przetrwały się oddawna. Więc zaszedł Stanisław do traktyerni jakiejś, „*pod dwoma wiosłami.*” Nad Wisłą położona, służyła ona ku wygodzie szyprów, przybywających do stolicy na galarach, herlinkach i tratwach, tudzież cudzoziemców przybyłych do Warszawy szu-

kać szczęścia, lub dla handlu, albo żołdactwa cudzoziemskiego autoramentu.

Zaledwo Stanisław usiadł sobie w kącie, przy stole przykrytym grubym obrusem, na którym stało „naczynie” cynowe i łyżki drewniane, kiedy do izby wszedł jakiś gruby, wysoki, atletycznej budowy szlachcic, w dość wyszarzanej kaptocie, z czapką na prawem uchu, w butach niegdyś czerwonych, z miną djabłą, z ręką prawą opartą na karabeli, jakby chciał być wyzwać na rękę wszystkich gości traktyerni; z wąsem sumiastym szpakowacizną przypruszonym, z twarzą okrągłą i czerwoną jak księżyc w pełni, nosem dużym, okrągłym a sinym jak śliwka węgierka, z oczami czarnymi siedzącymi głęboko w głowie, patrzącymi zezem, świecącymi jak węgiel w popiele. Wszedłszy odchrząknął głośno, splunął jeszcze głośniej i zawołał:

— Iiej gospodyni! A gdzieżeś aśćkau djaska? Podajno mi tu wasani piwska kufel, pieczeni, zrazów z ośm, chleba okrajec spory i czarkę kminkówki, ale miary dobrej, królewskiej, a żywo, bo u mnie czuj duch, babo! Nie lubię niuńkostwa: szach—mach i po wszystkim.

Hałasując tak szedł do stołu opierając się na szabli. Tu dopiero można było spostrzedz, że nowo przybyły był kuterem i szabla służyła mu jakby kij za podporę: jednakże i to można było zauważyć takóž, że szlachcic radby był ukryć ten „defekt” od oka ludzkiego i dlatego właśnie tak się on nadstawiał, a stukał w podłogę szerpentyną, aby nie dać przytomnym poznać tej słabej strony postaci swojej. Z sukien wyszarzanych dobrze i połatanych w wielu miejscach lubo dość zręcznie, można było wnieść to, że ten brat szlachcic nie wysokiej był *kondycyi*.

Nie wiele się kto zajmował z gości jego przybyciem; łójówki dość ciemno się paliły w izbie dużej, równie jak i ka-

ganiec zawieszony u pułapu; a Niemcy siedzący u stołu w drugim kącie izby tak nadymili swoimi króciuchnymi fajczyskami, szwargocząc po swojemu, że zaledwo przy sobie można było dojrzeć szklanki i talerza na stole. W alkierzu także było gwarno; pełno tam było żołdactwa, a dymno tak samo jak w pierwszej izbie. Goście zwyczajni gospody tej siedzieli w izbie trzeciej, gdzie u ogromnego ogniska gotował się barszcz z rurą. piekła się pieczeń huzarska, smażyły się zrazy zawijane, do których tuż była i kasza sypka. Gospodyni i mąż jej uwijali się przy ogniu, ale sama pani traktyerniczka, na odgłos stukania szabli przybyłego i jego grzmiących rozkazów, zaprawnych całemi kupami diabłów i *diasków*, czempredzej pośpieszyła do izby przychodniej, aby usłużyć temu szlachcicowi butnemu, znanemu tu za rębacza i zawadyję, więc dogadzano mu jak złemu wrzodowi.

Popatrzywszy po wszystkich kątach pilnie, przyłożywszy sobie rękę nad oczami kosemi, jak gdyby kogo tu szukał, krzykacz ów zbliżył się wreszcie do stołu, przy którym siedział Stanisław i usiadł wedle niego, nie dając przecież na sąsiada najmniejszego baczenia.

Ten przecież przypomniał sobie, że figura ta chodziła za nim wszędzie od kilku godzin, że ją widział był i słyszał stukającą szerpentyną swoją na moście rzeki, a teraz kuternoga ten aż tu za nim przyszkutykał.

Siadłszy szlachcic rąbajło, zrzucił ze łba czapkę wytartą na stół, tak że ta padła na talerz Stanisława, a z pod niej objawiła się przytomnym czupryna z włosów ryżych złożona, z których ciemię było całkiem огоłocone.

Stanisław odsunął się pomimowoli od przybysza; przyszło mu na myśl to, co w dzieciństwie swoim słyszał był

od starego Marcina, organisty, a co do koloru włosów sprawdziło się tak boleśnie na Ignacym:

Szafran, łys, zez, kuternoga
Jeśli się uda, wielka w tein będzie łaska Pana Boga.

Ale kasztan ten rozparł się na ławicy, jakby albo wcale nie widział, albo bynajmniej nie dbał o sąsiada.

— Mości panie, — rzekł Stanisław, — trochę miejsca, jeśli łaska waszmości; będzie go dość dla mnie i dla jegomości. Mnie tu ciasno.

— Bardzo mię tam głowa o to boli, czy ci tu ciasno smarkaczu czy nie! Jeśli ci ciasno, ha! to szukaj sobie u diaska...

Ale nie skończył okresu swego burda, bo mu rękawicą łosiową zamalował Stanisław w papę, a potem poprawiwszy się uderzył pięścią owę śliwkę dużą a opuchłą, zastępującą mu miejsce nosa.

Rozruch wszczął się w szynkowni; kuternoga dobył szerokiego pałasza i krzyknął na całe gardło:

— Oddajże się teraz Bogu, błażnie ty jakiś, bo gęgniesz tak jak amen w pacierzu.... — a to mówiąc natarł na niego z orężem w dłoni.

Osobliwszym sposobem władał kulas ten szablicą: jak błyskawica migała ona mu w jego ręku.

— Już po nim, już mu będzie amen, — wołali przytomni; — to Zbirkowski, kuternoga!

— Jezus, Marya! — wołała gospodyni łamiąc ręce — oto znowu krwią niewinną splami się gospoda moja.

Stanisław ledwo mógł się złożyć kilka razy pałaszem i odtrącić od siebie nacierającego nań żywo napastnika, kiedy nareszcie karabela tego ugodziła go w pierś samą i przecięła mu razem kontusz, żupan i koszulę, a zatrzymała się

jeno na blasze poświęconej obrazku N. Panny Berdyczowskiej, danej mu przy rozstaniu przez Konstancją Marlińską. Szabla zraniła przytem Stanisławowi ramie i krew bluznęła z niej w same oczy kulasowi. Ten podniósł ramie, aby jeszcze poprawić razu i pokonać ostatecznie swego przeciwnika, kiedy wtem, ktoś z przytomnych podstawił mu nogę i podbił nią z taką siłą jego jedyną pozostałą mu podporę, że Zbirkowski runął jak długi na ziemię, klnąc siarczyście, że aż w piekle słyhać było.

Na hałas ten wpadli do szynkowni pacholki marszałkowscy, szczęśliwym trafem przechodzący tędy i rozbroili Zbirkowskiego; mieli oni z nim na pieńku, burda ten bowiem ufny w swą siłę i sztukę władania orężem, za pieniądze napadał na niewinnych, obrażał ich, rąbał się z nimi i ranił śmiertelnie, albo zabijał nawet na miejscu. Był to jakby *bravo* polski. Gotów on był bić się za kieliszek wódki, której, jak się wyraża, wielkim był „zelantem i amatorem.”

Balwierz jakiś, co się posilał w kuchni u ogniska, czekając na bijatykę, mającą tu miejsce „ordynaryjnie,” opatrzył ranę Stanisławowi, założył ją pajęczyną i ósrodkiem z chleba, przewiązał starzyzną, zapewniając, że cięcie nie uszkodziło nic w żyłach i ścięgnach, a przecięło tylko miękkie części pod ramieniem. Druga jakaś osoba krzątała się także około Stanisława, przewiązywała mu rękę i okazywała we wszystkim największą troskliwość.

Kiedy podniósł głowę wreszcie ten przyjaciel nieznajomy i światło łójówki padło na twarz jego, Stanisław zawołał:

— To ty, panie Nowacki?

— Nowacki, vel Nowak, wachmistrz partyi ukraińskiej, do usług jegomości, panie towarzyszu. Rad jestem, żem mógł dopomóc waszemu w bitwie z tym o to Goliatem. Ja

to mu podstawiłem nogę tak skutecznie, że aż obaliłem go na ziemię; inaczej byłoby z waścią amen. Rębacz, panie, z niego taki, co tylko Chryste uchowaj! On szwadron cały zrabąłby, pono, jak kapustę na bigos....

— Cóż tu aspan porabiasz?

— Ha! zostaję w dymissyi. Sprzykrzyło się człeku na jednym miejscu, ile że teraz na kresach cicho jak mak siał. *Tandem* udałem się do Warszawy, szukać jakiejś „funkcyi,” a teraz, w tym oto momencie szczęśliwym dla mnie, bom mógł usłużyć jegomości, posilałem się zrazikiem z kaszką i szklaneczką piwa. Okrutnie to się „kasa” tutaj w Warszawie, wielmożny panie! Co krok to grosz z trzosa a funkcyi znaleźć nie mogę....

— Przystań waść do mnie; wkrótce, da Bóg, może mi słońce zabłyśnie....

— Daj Boże aby ono świeciło W. panu i przygrzewało jak *in mense junio*.

— Ach! porzuć-że waść gadać po łacinie — zawołała traktyerniczka, — a zapłać mi raczej za zrazy i piwo.

— Ja płacę za tego pana — rzekł Stanisław, i dobywszy sakiewkę zaspokoił niewiastę ową. Potem wynagrodził sowicie balwierza za opatrzenie rany, dając mu aż dwuzłotówkę.

— Jeżeli zgoda, panie Nowacki, tobyś wziął manatki swoje i przyszedł do mnie na Franciszkańską, do zajazdu Josia Rudego.

— Znam, jest tam ruletka pewna, co się kręci jak opętana, i w którą przekręciłem 40 florenów.... Ale co się dotyczy manatek, to nie potrzebuję się fatygować: *omnia mea mecumporto*, jak mawiał w szkole ks. Łacina kiedy dobywał z za cholewy boćkowca. Konik mój bułanek przywiązany tu w podwórku, wezmę go więc i jestem gotów na usługi.

— Tem lepiej, więc chodź waść.

I Stanisław z Nowackim udali się do zajazdu przy ulicy Franciszkańskiej; abszytowany wachmistrz prowadził konia za sobą. Idąc drogą, opowiedział Junosza koledze swemu, że się domyśla tego, kto usadził na niego Zbirkowskiego; oto najpewniej zajadły wróg jego, imiennik, co postrzelił mu konia w potrzebie z hajdamakami.

— Ani chybi że tak, wielmożny panie! Widziałem ich dziś „*circam quartam*” razem około Zygmunta; szeptali coś z sobą i najpewniej że się zrywali na miłe zdrowie waszmościa, bo coś im bardzo źle z oczu wyglądało. Na jednej gałęzi możnaby było ich powiesić i pewno jeclenby drugiego nie przeważył.

Przenocowawszy u Josia Rudego, na drugi dzień, do świtania jeszcze, spożywszy wprzódy obaj po garncu piwa grzanego z bułką, Stanisław i Nowak vel Nowacki, znany także pod imieniem „Trójwasa,” puścili się w drogę traktem wiodącym ku Bugu, na Wołyń, gdzie w dobracli swoich mieszkał p. Jedliński. Kilka dni zajęła im ta podróż; narreszcie przybyli do dóbr ojca Stanisława. Pod miasteczkiem stała karczemka; do niej więc zajechali, chcąc się utaić, aby wywiedzieć się o wszystkim dokładnie, a samym nic dać się odkryć.

Piechotę ztąd udali się do miasteczka; zdała jeszcze ujrzeli dwór obszerny dziedzica, gontami kryty, chociaż zkąd inąd wielce opuszczony. Ogród był stary, duży, cienisty; widać tu było długie szpalery lipowe, rzędy kasztanów starych i topole wysmukłe, rosnące w dole po nad wodą. Dookoła obchodziła woda zamczysko; widać siedlisko to musiało być dawne: znać tu było kanały, wały i ślady nawet mostu zwodzonego.

W miasteczku, od żydka dowiedzieli się bardzo nieomyślnych nowin. Stary dziedzic był chory bardzo, lekarz zaledwo obiecywał mu kilka dni życia. Syn jego, którego uznał prawość, objawiając ważność małżeństwa swego z matką jego, był przy nim i nie odstępował go na chwilę, budując przywiązaniem swoim ku ojcu dwór cały. Powiedziano im także, że jest obecnie przywieziony przez syna z Warszawy jurysta jakiś, że z regentem spisują wszystko, na co krzywem okiem patrzy pan Starzewski, dawny, a dziś odprawiony plenipotent starego jegomości i rządcą dóbr, zamieszkały na miejscu od bardzo dawna.

—• A gdzież mieszka pan plenipotent?

— A tu, niedaleko, na końcu miasteczka ma on swój dworek; ale podobno po śmierci starego jegomości myślą go z niego wyparować. Czterdzieści lat mieszkał on na jednym miejscu! Kamień mówią, mosanie, na miejscu porasta, a cóż człowiek dopiero? Dokąd to się uclać! rzekł szlachcic jakiś czynszowy, siedząc pod karczmą i kurząc fajkę, a siwego muskając wąsa.

— Zapewne! stary i zasłużony sługa wierny, przyjaciel doświadczony...

— A cóż? Ale bo też pono mówią dobrze — rzekł szlachcic—służ panu wiernie....

Lecz podróżni nasi dowiedziawszy się o tem, co im było potrzeba wiedzieć, poszli dalej, nie słuchając już, co tam mówiło w tym względzie przysłowie.

Łatwo znaleźli na końcu miasteczka, zaraz przy zakręcie u Bożej męki, dworek rządcy, ukryty w sadzie, z dziedzińczykiem, na którym rosły lipy, dęby stare, grusze dzikie rozłożyste, a na jednej brzozie uschłej, z obrąbanymi gałęziami, było gniazdo bocianie, jak przy chacie owego Piaśta kołodzieja, którego losy wyniosły na stolec książęcy,

Na ganku siedział na ławie pan rządca, w białym płóciennym żupanie, opasany pasem skórzanym, a w rękę lewą miał różaniec, podczas kiedy prawica jego trzymała roztworzoną książkę nabożną: *Scholam pietatis*, w której karty modlitw porannych i wieczornych bardzo były zużyte, a więcej jeszcze zatabaczone.

Przybyli powiedzieli pochwalonego po łacinie, zbliżywszy się do podgańcza. Na to chrześcijańskie, rzetelnie polskie pozdrowienie, podniósł głowę pan Starczewski, odpowiedział: *insaeada saeculorum, amen*, a trzymając się starej maxymy, że gość w dom, Bóg w dom, nie pytając co zacz byli i poco przyszli, uprzejmie przybyłych do izby z sobą zaprosił.

Tu nastąpiły powitania nasze, staropolskie, a rzetelnie chrześcijauskie: oto uściskiem bratnim najprzód, a potem chlebem i solą.

Chciał był Stanisław zaraz mówić o tem rządcy, co go pod daciej domu jego sprowadziło, ale ten, jako człowiek gościnnie, słyszeć nawet o tem nie chciał, zanim przybyłych nie nakarmił i nie napił, bo już czas był potem, aby o obiedzie pomyśleć należało. Nie pytał ich nawet kto byli, co nawet było na rękę Stanisławowi, bo nie chciał tego wcale, aby imię jego dostało się do „zamku.” Oświadczyli tylko goście gospodarzowi swemu, że byli „towarzyszami” chorągwi partyi ukraińskiej, co już było aż nadto dostatecznym, aby ich jak najlepiej polecieć względem i sercu pana Starczewskiego. Owszem dowiedziawszy się o tem, jeszcze raz ich wyściskał serdecznie, jako sam był także żołnierzem wysłużonym, mężem *de jure et de hajda*.

Ale co się może ukryć w miasteczku małym! Przybycie do niego dwóch nieznajomych, wypytywanie się ich najprzód o pana, potem o rządce, udanie się wreszcie do niego, rozgło-

sito się prędko i nim nieznanymi nasi stanęli we dworku jegomości pana Starczewskiego, już o ich przybyciu wiadano we dworze, doniesiono nawet o tem panu „młodemu.”

Ten łatwo się domyślił kto był przynajmniej jeclen z tych nowo przybyłych gości, przygotowany był bowiem do tego, że Stanisław z każdym dniem mógł tu przybyć, jakkolwiek nasadził był na niego w Warszawie tego zawady-aka Zbirkowskiego.

Nad wieczorem dopiero, przy kieliszku, Stanisławowi wolno było objawić juryście, „który traktował także, jak sic wyrażał, żołnierkę i gospodarkę.” powody przybycia swego w te strony, które sprawiły mu także zaszczyt służenia imci panu Starczewskiemu w^r jego domu własnym.

Zdumiał się na to gospodarz; jakby to było we śnie tylko, tak się temu przysłuchiwał i wierzyć nie chciał. Ale tu Stanisław dobył z zanadrza dokumenta „czarno na białem,” czem najlepiej trafił do przekonania staremu. Opowiedział mu także co wiedział o „sprawkach” „ptaszka” tego, o „konduicie” jego i zbrodniach nareszcie, jako postrzeleniu konia, nasadzeniu na życie jego Zbirkowskiego, wykradzeniu i pofalszowaniu dokumentów.

— A! to *infamis* panie, jeżeli tak! Ale do pomsty straciłeś asindziej dużo czasu drogiego. Od kilku dni już ten „homo trium literarum” jest stale przy jegomości. Zapewne, nie „supponuję” tego, aby jeszcze miał on jaką nadzieję co do przywłaszczenia sobie mienia i imienia asindziej, to jużby się na nic nie zdało, kiedy masz waść w rękę niezbite dowody tego, że jesteś rzetelnym synem naszego pana; ale chce on najpewniej skorzystać z czasu i pory dobrej, aby się obłowić i okraść naszego biednego, osłabionego, a zgonu bliskiego dobrodzieja. Nikogo z nas do jegomości nie dopuszcza, nikogo, a nikogo! Jest więc w tem sęk! Ten jur

z Warszawy, ten regent, to na to tylko tu sprowadzeni, aby, co się może mu zapisać to schwycić, a zresztą zostawić to tylko, czego uwieźć niepodobna z sobą. O! prałat! Potrzeba nie dopuścić tego; byłoby to wyraźnie wpuścić wilka do obory, aby w niej gospodarzył; ale już dziś późno, jutro więc jakoś potrzeba będzie przystąpić do tego, ale jakoś prawnie.... No, zobaczymy; może Bóg natchnie myślą dobrą.

Tak się rozstali goście z gospodarzem. Chciał ich zatrzymać u siebie na noc starowina, ale ci wymówili się tem, że lepiej dla niepoznaki stać osobno i wrócili do siebie.

Położyli się wcześniej, aby do dnia już wstać i myśleć jak mają sobie postąpić w ważnej sprawie. puszczenia z kwitkiem „uzurpatora.” Ale jakkolwiek Stanisław sławny był z daru swego spania, wtedy kiedy chciał, nie mógł przecież zasnąć długo; potem budził się razy kilka przerażony jakimś snem strasznym.

Nowacki, *vel* Nowak, *vel* Trójwąg, spał snem błogosławionych po miodku wczorajszym, spał odziany jak był.

Stanisław obudził go.

— Wybacz mi waść niedyskrecją moje, ale nie mogę zasnąć; kto wie, co się tam dzieje na zamku? Ojciec mój zostaje na śmiertelnej pościeli i jest w ręku tego, co czyha na śmierć jego, a ja, krew jego, mam tu spoczywać, jakby to mię nic nie obchodziło wcale. Byłbym synem wyrodnym.

Nowacki poziewał tylko i drapał się w głowę; wielka była wątpliwość, czy zrozumiał nawet, co nasz Stanisław mówił; ale mało po mału przychodził do siebie i począł słuwać.

- Chodźmy na zwiady do zamku, panie bracie — mówił dalej niespokojny chłopak.

A, chodźmy! Mówiąc prawdę, jużem się trochę przespał. • Musi być już z północkska dobrze i drugie kury już

pewno prześpiewały. Ale nienależy zapomnieć o szabli i pistoletach. Nie k... był wcale ten, panie, co broń wymyślił.

Po tej uwadze filozoficznej, Nowacki począł szukać po oknie i lubo pociemku, zrobił na niem odkrycie ważne: znalazł sztof z wódką.

Wkrótce gotowi całkiem, a Nowacki pokrzepiony na drogę, wyszli z karczmy niepostrzeżeni od nikogo. Szli ku zamkowi bez celu żadnego, sami niewiedząc co sobie poczyna; przeczuwali jednak w głębi duszy „że coś będzie, a czegoś niestanie,” jak oświadczał Nowacki.

Dziwne uczucia mieszały się w duszy Stanisława: raz obudzał się żal względem nieznanego mu rodzica, to znowu brało nad nim górę uczucie zemsty nad człowiekiem, który go prześladował niewinnie. Gwałtowność wrzała mu w piersi.

A w górze, w niedoścignionej okiem wysokości, w czystem, pogodnem a chłodnem powietrzu nocy jesiennej, w ciszy niezamączonej niczem, świeciły gwiazdy wyiskrzone, kapiąc czasami smugą światła, jakby lżą uronioną cicho nad zdrożnością ludzką.

Stanęli pod częstokołem, opasującym ogród, przeszedłszy po kładce kanał. W tem miejscu brakło jednego kołu; inne rozdały się na dwie strony, służąc zapewne za furtkę dla robotników przychodzących ze wsi do ogrodu; kładka nawet umyślnie była rzucona na kanale, aby tędy wchodzić było można do zamku. Weszli więc. W alejach lipowych długich a ciemnych straszno było czegoś; w dali tylko, brama wystrzyżona w szpalerze, szarzała światłem. Puszczyki odzywały się jęklawie, a niedoperze latały u samej twarzy naszych znajomych. Nowacki poprawiał ustawicznie czapki, co w nim oznaczało zwykle niespokojność wewnętrzną; Sta-

nisław myślał tylko o tym co się dzieje w zamku i jak mu się uda wejść do środka.

Przeszedłszy aleję główną, odkryła się przed ich oczami fasada frontowa zamku; stara to była, drewniana budowa, w złym stanie; dziedziniec był zarosły trawą i burzanem, gdzieś stały stopy cegły i leżało drzewo na budowlę. Snać myślano o naprawie mieszkania, ale potem wykonanie zamiaru tego musiało „pójść na delatę.” Dokoła dworca było nawet rusztowanie.

Stanisław rzucił okiem na te rudery i pomyślał sobie w duchu: dom ten mnie ma za dziedzica prawego; ja się tuliłam i dom się wali! Krew szlachecka przemówiła w żyłach. A potem dodał półgłosem:

— Jakże tu smutno!

— Tu jakby więzienie — szepnął Nowacki.

— Czyż nie więzienie? Nie więź aż tu rodzica mego?

— Ale co to tam rusza się w tej paszczy otwartej a ciemnej alei lipowej na prawo? — szepnął ex-wachmistrz; — wiesz wać co, ale te rudery wydają mi się „niepewne"! Tu muszą być strachy! Nieczysta siła kocha się w ruinach, zwłaszcza w tych, do których mięsza się grzech jaki śmiertelny! Patrz wać jeno; tam niby konie z rydwanem. Boże odpuść! Cóż to być może? To chyba przepowiednia śmierci dla rodzica jegomości w postaci wozu żałobnego?

"Wtem dało się słyszeć parskanie konia i wyraźne strzepnięcie się jego; musiało go przejąć do szpiku wilgotne a chłodne powietrze nocy.

— Słyszysz aspan? Koń parska! To więc nie przywidzenie!

— A kto go tam wiedzieć może!

— Źle! miejmy się na bacności! Ten pudel zamyśla zmykać, podebrawszy ojca mego. Dobry miał węch w tej mierze p. Starczewski.

— Ale co waść gadasz! Bój się Boga! To ani chybi, karawan! Zdaje mi się że widzę całun i krzyże białe na nim naszyte! Nawet konie jakieś czubate, akurat jakby postrojone w pióra strusie!

— Czy nie tchórzysz czasem aspan, panic Nowacki!

— Ha! co? Ja, Nowacki tchórzę? A wstydzilibyś się waść mówić coś podobnego!

Ale, czy to dreszcz go był przejął, czy wilgoć nocy mu nie służyła, dość że szczęka mu drżała kiedy to mówił.

Stanisław pewny swego poszedł dalej ku drzwiom. Te były otworzone na oścież; w sieni stały walizy i sepeciki rozmaite skórą obite i okute żelazem. Kiedy weszli tu, (a było ciemno, tylko szarzało nieco od gwiazd i księżycy na nowiu z podwórza) ktoś zeszedł do nich i szepnął:

— A co? czy już tam u was gotowo wszystko?

— Cicho! sza! — szepnął mu na to z kolei Stanisław.

— Nic! nie bój się! Modlą się teraz w sypialni jegomości; coś niespokojny starowina, przywidzą mu się czasami, a wodzi ustawicznie rękami po kołdrze.... Zły to znak! Już zapewne prędko skończy.

— A gdzież są ludzie? — szepnął znowu Stanisław.

— Chrapią gdzieś po kątach, albo na piecu w piekarni; dano im wódki, więc podochocili sobie przy wieczerzy.

— A któż tam jest z jegomością?

— Ksiądz Kapucyn tylko i syn; regent odszedł się położyć: miód stary musiał mu zaszkodzić. Ale mniejsza tam o niego, papiery już sporządzone, stary zaraz popodpisuje, sygnet swój przyciśnie, a potem zamknie oczy i *ftnis*. Najpewniej jutra nie doczeka,

— Wypadła mi potrzeba, pójdę do młodego pana: a którą tam do jegomości? Muszę powiedzieć słówko naszemu, aby się zwijał prędej, bo widzicie jest okoliczność pe-

wna... rozumiecie mię? A wy idźcie lepiej jeno do powozu, powiedźcie niech podjedzie, tylko cichutko, cichutko.

— Zapewne, zapewne, już spuść się na Wojtaszka; „mądrej głowie dość dwiesłowie!”—Wskazał na drzwi do starego pana, a sam na palcach wyniósł się na podwórze do powozu.

Kiedy już go nic było, Stanisław tak odezwał się do Nowackiego:

— No! teraz do drzwi i zaryglujmy je wewnątrz; jednym mniej „dobrze i to!” Stukać nie będzie, boby wszystkich pobudził z. czeladzi. Teraz za mną Nowaku, tylko pamiętaj stary wiarusie, łap-cap, a nie dobywać na niego pałasza, bo ta jucha spaskudzi oręż rycerza.

— A kuksa, wielmożny panie, tak „pod kotlety,” albo „w połędwicę,” czy wolno? Miernego kuksika tylko!—spytał, szepcząc wachmistrz.

— Już jak tam sobie asan uważać będziesz, byłeś się nie pastwił.

Stanisław czuł się tu na swoich śmieciach, a Nowacki uważał się już w duchu jakoby za marszałka dworu, albo totumfackiego nowego pana. Już inszą wcale okazywał mu „konsyderacją” i częściej go „wielmożnym panem” tytułował, a ten go znowu częściej zwać począł asanem.

Tu należy opisać ściślej pozycją zamczyska samego, aby postawić czytelnika w możności zrozumienia jaśniejszego samej rzeczy działania. Front dworu był równy z gruntem dziedzińca; ale od tyłu, budowla przypierała do jaru skalistego brzegu rzeczki, omywającej z jednej strony zamczysko i zasilającej wodą kanały, otaczające je z trzech innych stron sadyby. Z tej tylko jednej strony brzeg rzeczki był stromy i wysoki; z innych wał nie był zbyt wyniosły: była tylko pochyłość pewna gruntu. Pod stroną skalistą zamku

prąci wody był szybki i głąb' jej znaczna; skały ~~wchodzące~~ w koryto same rzeczulki, pokrywały się u spodu białą jak śnieg pianą. Rzeczulka ta, dla biegu szparkiego, zwała się Bystryjówką.

Sypialnia starego Jedlińskiego była dużą izbą; obita była kobiercem starym perskim, z łupów przez dziada, czy pradziada właściciela, pod Wiedniem zabranych, kiedy wojował Turka z bohaterem polskim Janem Sobieskim. Okna sypialni wychodziły na ów brzeg stromy, wysunięty nad głąb" samą rzeczki. Pomiędzy oknami wysokimi a wązkiemi zmałemi szybkami, wisiał portret króla-bohatera, z wieńcem laurowym na skroni, w koczowej zbroi, z chorągwią Mahometa w prawicy. Na kominie dużym palił się ogień.

I ta strona domu była otoczona rusztowaniem, w celu naprawy jego ustawionem. Żerdzie rusztowania opierały się o wazki szmat brzegu, skalistego, oddzielającego budowlę od rzeczki. Wróciwszy pod dach ojczysty, a widząc wszędy ruinę i pustkowie, Jedliński postanowił „wyreparować” gniazdo rodu swojego; ale później choroba, smutek z powodu utracenia śladu syna, zgryzota sumienia wreszcie, wszystko to przyczyniło się razem do zaniechania powziętego zamiaru. „Bóg tak snać chciał, aby ród mój zaginął! Niechże i to gniazdo rodzinne idzie w ruinę!....” mawiał nieraz do siebie stary. Rusztowanie przecież pozostało, roboty tylko ustały przy tej fabryce; tak przeszła była zima, przeszło i lato; od śniegu i dżdzu dyle cienkie nadpsuły się znacznie, a więcej jeszcze zbutwiały od wilgoci i niepogody sznury, któremi drzewo było powiązane z sobą dla ustawienia na nim pomostu.

Obaj, pan i sługa, pocicbutku, skradając się, weszli w korytarzyk wiodący do sypialni pańskiej; wszędzie było pusto. Snać nie obawiano się nikogo, nie przypuszczano tego,

aby można kogo złapać na uczynku podstępu. Więc poomacku, w ciemności, zbliżyli się dwaj nasi znajomi do przytwartych nieco drzwi, przez które mogli byli widzieć wyraźnie co się działo w pokoju dziedzica zamku. Osobliwszy to był widok. W dużym krześle, ozdobnie wyrzezanym w dębinie starej, a wymateracowanym wygodnie, siedziała postać wynędzniała męża wieku podeszłego; znać było na twarzy jego ślady choroby, smutku ciężkiego i zgryzot bolesnych, może z wyrzutów sumienia pochodzących. Chciwie patrzył na niego Stanisław przeczuwając w starcu tym schorzałym ojca. Pomimo choroby poznał w nim odrazu owego najstarszego wiekiem męża, wykupionego z jassyru przez oo. Redemptorów, którego widział był w Rzyszczowie, udając się do Czerkas, do chorągwi; przypomniał sobie wszystkie słowa jego słodkie wyrzeczone do siebie i życzenia oświadczone biednemu sierocie... i lzy stanęły mu w oczach, a serce roztkliwiło się do samej głębi uczucia. Stanisław poczuł się synem. Jakże mu żal było tego starca wyniszczonego chorobą, stojącego nad samym grobem, a otoczonego zdradą; na twarzy umierającego malował się przestach.

Na stole, przed krzesłem stojącym, a pokrytym kobiercem bogatym, gorzały cztery świece woskowe i stał krucyfiks i puszki srebrne z *olea sacra*; ksiądz Kapucyn w stule odprawiał przy tym ołtarzyku modlitwy i zapewne miał przystąpić do udzielenia choremu Sakramentu ostatniego olejem świętym namaszczenia.

Na twarzy chorego nie znać było zupełnej przytomności; czasami zdawało się, że trup tylko siedział w krześle, potem znowu myśl spływała na twarz i ożywiała w niej fizyonomią; roztargnienie jednak było widoczne. Przy drugim stole, na którym gorzało dwie świece, siedział jur przywieziony przez fałszywego syna z Warszawy; miał on głowę

całkiem ogołoconą z włosów, nos duży, ściśnięty potężnymi okularami; pisał on coś, wyrabiając przy tej akcji rozmaite grymasy gębą. Sam spadkobierca klęczał przy stole, na którym leżała duża in 4-to książka od nabożeństwa; kiwał on nad nią głową i odpowiadał księdzu amen, gdzie tego było potrzeba. Jeszcze więcej jak zwykle miał twarz łojową, ale odziany był wykwintnie i z dobrym smakiem.

Dotąd starzec siedział niemy, czasami tylko szeptał pocihu odpowiedzi księdzu, chociaż poszept ten zdawał się nieraz być tylko jakimś jękiem, albo westchnieniem przytłumionym w piersi. Nareszcie kiedy ksiądz ukończył już obrzęd administrowania Sakramentu i zdjął z siebie stulę, w pokoju słyhać było tylko skrobanie pióra jurysty po papierze: cichość uroczysta nastąpiła „jakby anioł przeleciał.” Cisza ta przejęła duszę nawet jura starego, i on przestał skrobać papier, obejrzał się, otarł pióro w wicherku włosów, rosnących mu za uchem i położył je na stole. Potem patrzył wzrokiem osowiałym po przytomnych, oblizując językiem usta zaschłe, a chciwie odwilżyć się trunkiem.

Wpółśród tej ciszy, przedwcześnie zestarzały Jedliński odezwał się niespodzianie donośnym, ochrypłym i przykro dla ucha dźwięczącym głosem, jak gdyby ten z grobu dochodził do słuchu przytomnych:

— U! Jezu Chryste, zmiłuj się nademną grzesznym!

W obszernej komnacie wykrzyknik ten odbił się echem przeciągiem. Głos ten znalazł jeszcze echo w sercu Stanisława i obudził w nim uczucie takiego żalu nad tym starcem, że zaledwo powstrzymał się od tego, aby nie wejść do pokoju i nie paść do nóg ojcu, aby się wypłakać u kolan rodzica do sytości. O! wiele było pomiędzy tym ojcem a sy-

nem jego! Ale jakaby nie była wina starca tego, wszystkoby mu potrzeba było odpuścić dla tego jednego bolesnego wykrzyknienia, pochodzącego z samej głębi duszy skruszonej. Niedola i łzy matki, poniewieranie się syna, wszystko musiało być odpuszczone starcowi temu dla tego jednego tyle bolesnego jęku serca jego! Pomimo woli syn ten, (jakby syn marnotrawny Pisma Świętego, stojący u progu i nieważący się go przestąpić, kiedy dla drugiego zabity był cielec i włożony pierścień drogi na palec jego), z głębi serca wymówił w głos: „Panie Jezu Chryste nie pamiętaj na winy młodości jego i nie bierz rachunku za nie na sądzie Twoim strasznym!”

Podziwienie i bojaźń objawiły się na twarzy chorego, kiedy słowa te doszły do słuchu jego; wszyscy popatrzyli po sobie, jakby badając się wzajemnie, kto wymówił słowa te, i każdy podziwieniem tylko odpowiedział na to pytającemu.

Kapłan tylko odezwał się do przytomnych w te słowa:

- Może głos ten, bracia moi, dochodzi uszu naszych z innego już świata; może Bóg tak dopuścił, aby sumienie niespokojne chorego miało to pocieszenie za żywota, że ci, których on mógł tu ukrzywdzić odpuszczają mu z serca krzywdy od niego doznane. Czytamy nieraz o przykładach podobnych; a więc podziękujmy za to Bogu Wszechmocnemu.

Kiedy tak się dzieje w zamku, w karczmie, w której stanęli Stanisław z Nowackim, spostrzeżono wymknięcie się porą nocną podróźnych nieznajomych. Żyd gospodarz zaraz wziął to na rozum i wpadł na ten domysł, że w tem wszystkim m źle się coś święci; tem bardziej, że ktoś powiedział, iż zbiegi owi skierowali się ku zamkowi. Wniósł więc, że zapewne, chcąc skorzystać z zamieszania, jakie we dworze

spowodować miała chwila ostatnia dziedzica, udali się do zamku, aby go okraść. Więc wzięwszy z sobą wójta z pacholkami i pana Starczewskiego z jego ludźmi, udał się z tą całą czeredą do dworu, dla obrony go od rabusiów. Wszyscy przybyli do głównego ganku i zastali drzwi od sieni zabarykadowane z wnętrza,

Ale wrócimy tymczasem na nowo do sypialni umierającego Jedlińskiego.

Kiedy ksiądz Kapucyn skończył modlitwę, starzec odezwał się w te słowa:

„Moi przyjaciele, wszystko co ichność mac'e do załatwienia, lepiejby było, aby się to załatwiło natychmiast; czuję się źle bardzo i słabo mi: nie wiele już pozostało mi chwil życia. Jeżeli żałuję zdrowia milego, to dlatego tylko jedynie, iż nie mogę jeszcze sam naprawić zło wszelkie, jakie w życiu mojem komu zrządziłem. Podajcież tu waszność papiery, niech je już podpiszę. Spuszczam się zupełnie, w tej mierze, na was, przyjaciele moi, na ciebie komorniku i na ciebie, mój, długo opuszczony, synu, — mówił obracając się z kolei do jura starego i do syna kasztelanowej; — pokładam w was ufność zupełną; sam nietylko że mam teraz wstręt do wszelkiego interesu ziemskiego, ale nawet niezdolny jestem do tego. Ale, synu mój najmilszy, nim tego dokonamy, uklęknij tu przy mnie i odbierz od ojca, grzesznika skruszonego, błogosławieństwo przedśmiertne; oto, idąc na sąd Pański, przed trybunał zbawcy i sędziego mego, proszę uroczyście odpuszczenia winy mojej u Boga i u ciebie synu mój.

Papiery zostały podane skwapliwie do podpisu przez jura, a syn (bo rzetelnie syn kasztelanowej był także synem naturalnym Jedlińskiego), w ukorzonej i rozczulonej postaci, ocierając oczy suche chustką, ukląkł obłudnie u nóg drżą-

cego i osłabionego od wzruszenia ojca. Ręce starca podniosły się z trudnością w górę nad schyloną głową Augusta, ale usta chorego drżały i głos nie mógł się przez nie przecisnąć; łzy tylko płynęły po twarzy. Nim to błogosławieństwo wyrwało się z serca rodzica, Stanisław wypadł z ukrycia swego i padł u stóp ojca, łkając jak dziecko od żalu i boleści wielkiej serca, a wołając: „Pobłogosław mi ojcze! Wydarł on mi prawa moje, wydarł mi twój afekt ojcowski, najdroższy skarb żywota; niechże się tem cieszy, a nie pozbawia mię błogosławieństwa twego na pościeli śmiertelnej. Pobłogosław mię, pobłogosław mię ojcze!” A to mówiąc ścisnął, całował i Izami oblewał stopy starca.

— Stanisław Junosza! — zawołał przestraszony oszust. — A bodajbyś kark skręcił.

Ten krok gwałtowny a nieostrożny Stanisława wyszedł mu na dobre; udało mu się lepiej niżli można się było tego spodziewać.

W jednej chwili dwaj bracia porwali się na nogi i schwycili się za gardła. Postępek ten zdawało się iż natchnął nową siłą konającego; powstał z krzesła swego, a wyprostowawszy się, nabrał majestatycznej postawy, jako był mężem wzrostu wysokiego. Położył prawicę swoją ciężką na ramieniu Stanisława, a patrząc mu pilnie w oczy, wyrzekł te słowa:

— Jesteście ty Stanisław Junosza? Jeżeli to ty nim jesteś, któż jest więc ten oto drugi? — rzekł wskazując na Augusta,

— Jestto syn kasztelanowej... dziecko nieprawe—a to mówiąc Stanisław odtrącił silnie od siebie wroga swego, aż ten oparł się o okno ściany przeciwległej.

— Boże miłosierny! ileż cierpię! ileż cierpię! Ale słuszne są sądy Twoje: jako kukulka owa rozrzucałem dzieci

me po świecie, a dziś, w godzinę zgonu mego, grzechy te wcielone stają widomie u łoża śmierci i podnoszą na się wzajemnie dłoń bratobójczą! O! słuszne są sądy Twoje Panie!

A to mówiąc starzec padł na krzesło, zalewając się łzami gorzkiemi.

Tymczasem scena ta wywołała na obecnych rozmaite wrażenia. Komornik zdjął okulary, schwycił czapkę i rejterował do klamki, kiedy go ujął silnie, przy drzwiach Nowacki i wepchnął napowrót do komnaty; a potem, jakby jastrząb na kurczę, rzucił się na Augusta i zdławił go za gardło, a obracając się do Jedlińskiego, powiedział:

— JW. panie! Oto ptaszka tego muszę przytrzymać, mamy bowiem z nim rozmaite rachunki swoje.

Tak złapany oszust słówka nie pisnął; kolana mu się uginały, posiniał, usta drżały jak w febrze.

Jedliński poglądał na niego z pogardą. Potem wyciągnął rękę do Stanisława, a kiedy ten się schylił, przycisnął głowę jego do piersi i pocałował go czule po ojcowski. Ale potem zwracając się do Augusta, spytał go:

— Powiedz, tchórze, jestże to rzetelny Stanisław Junosza?

— Oduście mi winę moję, a wszystko wyznam wam.

— E! źle — mruknął komornik i wypadł niestrzeżonemi już drzwiami.

— Mów!

— Ten jegomość jest rzetelnie prawdziwym synem JW. pana dobrodzieja; ale i ja też....

— Ani **słowa** więcej: oto jest złoto; umykaj szubieniczniku i ukryj się gdzieś na końcu świata, albo na Zaporozu, albo za Prutem, lub Dnieprem, od oka człeka ucziwego!

— Nie, JW. panie! — odezwał się Nowacki; — musimy się z nim wprzód porachować. On wydał, jak Judasz Iskaryota, w ręce hajdamaków brata swego, tego oto kawalera zacnego - dodał wskazując ręką Stanisława; — on nasadził na niego w Warszawie Zbirkowskiego, on okazał się fałszerzem, oszustem.... Sprawiedliwość święta nie pozwala na to, aby go wypuścić. To tak właśnie, jakby wypuścić cało psa wściekłego, albo żmiję jadowitą, kiedy się je ma w ręku; a wszakci może szkodzić bliźniemu, a powiedziano jest, ot! ksiądz dobrodziej, niech zdrów będzie, wie lepiej odemnie, gdzie to jest powiedziano: „Nie czyń bliźniemu twemu, co tobie nie miło!” A czy prawdę ja mówię jegomościuniu?

— Nowacki, puszczaj go! Niech idzie na złamanie karku, to zakała nasza i wstyd rodu naszego! — rzekł Stanisław do ex-wachmistrza.

— Dla miłości Pana Boga i co mam łaski, człowiecze, wypuść go! — dodał składając ręce Jedliński stary, płacząc prawie.

A wtem marszałek dworu Jedlińskiego wpadł do sypialni zadyszany, a w żupanie tylko i bosi, z roztwartymi rękami.

— JW. panie! na miłość Pana Boga, dziwne rzeczy się dzieją! Wójt z pachołkami wyłamali drzwi w sieni i wpadli do zamku! Czy hajdamaczyzna wybuchła, czy im co przystąpiło do głowy, zaiste trudna do rozwiązania sprawa!

Ale drugi sługa wszedł objawiając, że wójt chce złapać złoczyńców, co spakowali już srebro i „precyoza” wszelkie w sieni i muszą być jeszcze w domu, bo wszystkie wyjścia są zamknięte.

— O! mój Boże, już zapóźno—wykrzyknął starosta Jedliński, łamiąc ręce.

— Nie — odezwał się Stanisław; — niech zmyka oknem. Księżę dobrodzieju, pilnuj jegomość drzwi i nie wpuszczaj nikogo nim się ten jespian nie wyniesie ztąd cało. Rusztowanie wybornie mu dopomoże do ucieczki.

Kapucyn spełnił włożone nań zlecenie i zaryglował drzwi ze środka.

— Teraz, Nowaku, na przyjaźń i koleżeństwo nasze wojskowe, dopomóż temu biedakowi umknąć szczęśliwie; strach odjął mu wszelką przytomność. Chodź waść, — rzekł obracając się do Augusta, — chodź i uciekaj oknem, bo możesz mieć nieprzyjemność zostać powieszonym.

— Ha! co ma wisieć, to nie utonie! a służba przede wszystkim! — mruknął sobie pod nosem nieukontentowany Nowacki; — no kawalerze, zmykaj, bo krucho koło waści.

Zaprowadzono go do okna, otworzono je i wypchnięto go na zewnątrz; stanął on na rusztowaniu chybkim i zachwiał się.

— No , spuszczażże się po dylach na dół, a śmiało! Złe nie zginie, nie bój się bratku!— wołał nań Nowacki.

— Nie mogę ! — odezwał się nędznik, drżąc cały; —przepaść okropna podemną,

— Ha! wolna wola waszmości! Ale jak się nie spuścisz na dół, to Cię pociągną do góry; zaprawdę przykra alternatywa!

Ach! cóż począć, cóż tu począć!— narzekał pod nosem ^{człowiek lojowy} — ^{rozwiąż} owe węzły sznuru, co związują pod tobą rusztowanie, przełoż powróż ten przez krzyżownicę, co masz nad głową, zawiąż na końcu jednym pętlę i opasz się nią pod pachami, drugi koniec sznuru weź w rękę i tak spuścisz się aż na dół bezpiecznie.

— No! Nowacki—zawołał Stanisław—zamykaj czempredziej okno i okiennicę; idą już ludzie, niepodobna dłużej trzymać izby zamkniętej. Co sobie ludzie nasi pomyślą! wstyd!

Okno zamknęło się i August znikł z oczu. Na dworze już świtało. Otworzono pokój, ale wtem za oknem posłyszano raptem łoskot, jakby się coś obaliło z rusztowania.

— Ptaszek musiał wpaść w wodę —zawołał Nowacki. —Widać nie miał wisieć, kiedy utonął!

— Bóg miłosierny może mu da jeszcze czas poprawy — odezwał się stary Jedliński składając ręce.—Wszak nie słyhać krzyku, ani plusku wody; musiała tylko spaść deska z rusztowania, którą poruszył zapewne nieostrożnie. Ale wpuścież tu wójta i tych moich ludzi poczciwych: niech oni nie mają żadnego podejrzenia. Nie gorszmy tych kmiotków prostych, te dusze pracowite, którym przykład dobry od nas się należy.

Wpuszczono wójta i pachółków jego, ukazał się z nimi i stary Starczewski; potrzeba było jakoś objaśnić to co się stało, więc powiedziano, że doprawdy okazały się zamiary

okradzenia, ale że winni uniknęli szczęśliwie, a nic a nic z rzeczy nie przepadło, nawet „na obwinienie palca”

Starzewski, jako był mąż przezorny, podał te myśli, czy nie uciekli oni oknem i czy nie kryją się jeszcze czasami, uczepieni do rusztowania; więc radził odemknąć okno i opatrzeć co się tam działo.

Otworzono więc okiennicę powtórnie, a potem okno i, o! zgrozo! postrzeżono okropny widok: August wisiał uczepiony za szyję, bez ducha!

Starosta patrzył przerażony na to, co zaszło, a potem padł omdlały na krzesło.

Kiedy się krzątano około niego, Nowacki mruknął pod nosem do siebie, zażywając tabaki:

— Pokazuje się znowu, że przysłowie stare ma rację, kiedy mówi, że co ma wisieć to nic utonie! Ach! nikt nie ubiegnie przeznaczenia swego! Co komu przeznaczono, to nie chybi ani na jotę jedne. Ha! zdrajco! zginąłeś śmiercią Judasza! Hajdamacy nie powiesili w Czerkasach p. Stanisława, a waszmość dyndasz teraz, bo tak zrządziła sprawiedliwość Boża!

*

*

Jedliński po tych wstrząśnieniach, zamiast tego, aby prędzej miał skończyć, odżył owszem trochę i jeszcze całe pół roku cieszył się synem swoim. Nieraz powtarzał w głos stary jegomość, trzęsąc głową:

— Jakżem był niegodziwy względem samego siebie, żem się samochcąc ogołocił z podobnego szczęścia,

A to powiedziawszy pan starosta, płakał jak dziecko. Osłabiony był bardzo i lada co do płaczu go pobudzało. Ustawicznie gotował się na śmierć i co tygodnia spowiadał się i przyjmował Ciało i Krew Pańską, nadzwyczaj przykładnie. Kiedy czuł się źle przed śmiercią, stara klucznica przychodziła go pilnować wraz z synem, a modlić się u jego łoża. Czytała mu ona modlitwy przy konających, śpiewała pieśni nabożne, które go usypiały, a osobliwie lubił słuchać starosta, jak staruszka śpiewała mu tęskną nutą stare *godzinki o śmierci grzesznika*. Na każdą godzinę był jakiś ustęp pobożny a nauczający. I tak, na godzinę pierwszą śpiewała owa niewiasta stara:

Bije pierwsza godzina,
Śmierć w oczy zaglądać poczyna:
Drżij grzeszniku, ukorz pychę... it. d.

Za to starosta pamiętał o staruszce w testamencie swoim; naznaczył jej tam pensyjkę dożywotnią, z prośbą, aby pamiętała o duszy jego.

Pochowawszy ojca Stanisław, zajął się naprawą starego dworu, odbudowaniem i upiększeniem kaplicy, pod ołtarzem której złożył kości rodzica swego. W tej sprawie dopomagał mu pilnie Nowacki, marszałek dworu. W pośród tych zajęć jednakże zatęskniła dusza młoda do przyjaciela dozgonnego. Był tam w sercu Stanisława obrazek, którego nic z niego wygładzić nie mogło, ani przygody rozmaite młodości, ani troski żywota, ani wreszcie żałoba ciężka po śmierci rodzica. Więc pomodliwszy się i wypowiedawszy na tę intencją wyruszył starościc Jedliński z domu, kierując się do Łucka, kędy w klasztorze Panien zakonnych, u ciotki przełożonej chowała się panna Konstancya Marlińska. Tu powiedział Stanisław przed Panną

starszą losy swoje dziwne, odzyskanie imienia i klejnotu rodzinnego i oświadczył wreszcie afekt swój stały, a wypróbowany laty całemi. Zapłonilo się na to wyznanie blade lice dziewicy obecnej przytem, a po długim milczeniu, wyznała wreszcie, że mu oddawna „sprzyjała” i nieraz modliła się gorąco, prosząc Boga o pomyślność dla niego i sukcessa w świecie. Udał się więc z tem pan starościc do opiekuna panny, a po różnych przeszkodach, stanął wreszcie u kresu pożądanego, i „Kosteczka,” jak ją zwał potem przez cały żywot swój, stała się połowicą jego, a razem pociechą i osłodą w troskach „egzystencyi” ziemskiej.

Na weselu družbą starszym był przyjaciel Stanisława i kolega z wojska Waclaw.

Kiedy już dokonał tego najważniejszego „postanowienia,” wyjechał z domu, aby się wywiedzieć w^e w^{si} ow-^ej gdzie się chował, o losie Pawła Gabiży i Scholi, przybranych rodziców swoich. Odpytał ich w końcu, ale Paweł zmarł już, a Schola, krzepka babka, pędziła wiek sw^ój na dewocyi przy kościele.

Czułe było poznanie się obojga. Pan Stanisław udał wędrowca i wszedł do chaty staruszki, aby się orzeźwić kubkiem wody. Staruszka po tem i owem. jęła się wy-^{py}tywać przybyłego, czy czasami nie napotkał gdzie na świecie, w wojsku, na dworze, lub w⁷ klasztorze jej Staśka, a mówiąc to staruszka zalewała się łzami rze-^{wn}emi.

— A matuniuż moja— zawołał starościc z płaczem, padając jej do nóg i ściskając jej kolana; — wiecieście »ie zapomnieli Staśka swego, któregoście wychowali, wy-^{koch}ali i nie doczekali się pociechy z niego?

— Niecli o mnie Bóg tak zapomni, jak ja o nim zapomnę kiedy! — odrzekła szlochając Scliola. Mnie się często wydawało, że to we śnie tylko było i jak mara ułudna znikło, duszę tylko omroczywszy tęsknotą niepotrzebnie!

O! wielka to była pociecha, to widzenie się, dla obojga.

Scliola nie rozstawała się już odtąd ze Staśkiem swoim, bo też własnego syna już nie miała nieboga na świecie. Ale Bóg opatrny zabierając jej dziecię własne, chował dla niej tego przysposobionego, ale kochającego ją zawsze syna.

Nowacki, jako to był mąż serca czułego, wdał się w „amory” z panną respektową starościcowej i pojął ją w małżeństwo, a państwo dali młodej parze uposażenie pewne.

Kasztelanowa, po wyjeździe z Warszawy Stanisława, dowiedziała się o różnych brudnych sprawkach Augusta i z alteracyi wielkiej, jakiej doznała z tego powodu, pękło jej serce.

Osobliwsza była to istota! Chciała wmówić w siebie, i dać się domyśleć innym w Warszawie, że syn jej był synem króla Stanisława, którego kiedyś była ona metressą. Nie wiele to jednakże kogo obchodziło, a osobliwie samego Stanisława Augusta, bo też w owym czasie wiele było w kraju naszym istot z podobnemi pretensjami do krwi królewskiej.

Pozostaje nam dodać jeszcze słów kilka o panu rotmistrzu Karlińskim. Wróciwszy z twierdzy Kamienieckiej, przesiadywał on stale w domu; przyczepiła się do niego jakaś choroba uwijająca się mu po kościach; klucznica mówiła, że to pochodziło od „zadania.” Szmitt stary twierdził,

że to była *plica polonica*, inny lekarz jakiś zadeterminował, że był to „gościec,” a trzeci znowu nazwał to podagrą, styatyką i chiragrą razem. Mówią: siła złego dwóch na jednego! Tu zaś było coś więcej jak dwóch i jeszcze bardzo silnych i strasznych nieprzyjaciół. Nieraz dopytywał się o Jarynę, ale nikt nie mógł tego powiedzieć co się z nią stało; mówiono że przebywała za Dnieprem, inni, że doszła wiadomość o tem, że umarła. Razu jednego rotmistrz wstawszy z rana był smutny, aż się przyznał wkońcu słudze wiernemu, że mu się śniła Jaryna i kazała mu się wybierać w drogę daleką. Zły to sen, dodawał: droga daleka, to śmierć. Chciano go rozerwać, ale było trudno. Postarzał się p. rotmistrz przedwcześnie; trudy łowieckie były już zaciężkie, domownicy więc, aby rozweselić pana swego, zdobywali się jak tylko mogli na różne koncepta, wymyślając mu zabawy rozmaite, któreby mu przypomniały złote czasy wieku młodego. Otóż drugiego dnia w piękny dzień jesienny miano szczywać na dziedzińcu zamkowym, zamkniętym szczelnie częstokołem, złapanego w sieciach w lesie, a zachowanego żywo, dla zabawy pańskiej, wilka. Rotmistrz usiadł w oknie rozweselony nieco tym konceptem. Puszczono ogary i wilka, i uderzono w harapy. Przestraszone a zranione od psów wilczysko, nic mając gdzie uciekać, rzuciło się do okna domu, przy którym siedział właśnie dziedzic. Kiedy wilk biegł prosto na rotmistrza, ten zbladł, przeląkł się, a w tem zamięszaniu ducha, opanowała go „hallucynacya” osobliwa; kiedy bowiem wilk w^rskoczył w okno, starzec przelękniony zawołał, składając ręce:

— Trawiński! daruj mi! daruj!

Wilk obalił Karlińskiego, wytłukł drugie, przeciwległe okno w izbie i uciekł do ogrodu, a ztamtąd pole.

Rotmistrzowi ze strachu pękł pępek i z tej niezwykłej przyczyny i „okazyi” utracił życie ów pan butny na pograni czu ukraińskie m.

Przerażeni śmiercią tą i wykrzyknikiem rotmistrza dworzanie, widzieli w zgonie tym surowszy od sprawiedliwości ziemskiej wyrok nieba, które, jak pokazało się i nad Byszowem było *nie jego*.

Skoro „zamknął oczy” rotmistrz, imię jego nawet zostało zapomniane prędko na tej ziemi, nad którą, wedle słów jego, niebo nawet do niego należało. Majątek przeszedł na pułkownika, który mieszkał od pewnego czasu w innych dobrach i dlategośmy go wypuścili tu z uwagi.

Jeden tylko Waśkiewicz, kiedy sobie podchmielił trochę, a co się mu zdarzało bardzo często, stale oplakiwał zgon pana swego i dobrodzieja; wtedy brał małą Antochnę swoją na ręce i szedł na cmentarz popłakać i zmówić pacierz na grobie rotmistrza. Ale i ten prędko zaprzestał tych pobożnych wycieczek, a to z tego oto powodu: Razu jednego, opowiadał sąsiadom swoim Waśkiewicz, stoję na mogiłę pana, mówię się pacierz, płaczę się, wtem, co się jest? Pod nogami się mojemi coś mi się przesunęło się! Patrę, ni ztąd ni zowąd, pies mi się, czarny się, wziął mi się!

Ten pies czarny na grobie pana tak przeraził sługę wiernego, że już odtąd więcej noga jego nie powstała na cmentarzu.

Dwaj przyjaciele, Orestes i Pilades, inaczej pan Joachim Puszcza i pan Franciszek Doliwa, okazali światu osobliwszy przykład wiernej, a niczem niezamąconej przyjaźni aż „do grobowej deski.” Po ukończeniu wyprawy na haj-

damaki, wrócili obaj na Polesie do swoich wiosek, leżących obok siebie, jak ich serca, bo przez stawek tylko. Żyli tu oni starym trybem „jak uczciwość każe,” aż nareszcie panem cześnikiem „rzuciło,” jak się on wyrażał zwykle o innych, ale *rzuciło* o mogiłę. Niepocieszony p. Franciszek długo opłakiwał stratę jego, aż i sam w końcu „zamknął oczy.”

Służalski został przy chorągwi i „był ręką prawą” pana Wilczopolskiego.

Ignacy sprzykrzywszy sobie wreszcie żywot żołnierza, powrócił na łono rodziny i tu łatwo dał się namówić ojcu i matce do stanu duchownego; widział to on teraz sam dobrze że „jestto spokojny kawałek chleba do śmierci.” Kiedy się ożenił i wyświęcił na kapłana, dostał wcale dobrą parafią i był w niej bardzo lubiony, jako mąż doświadczony, co młodość swoją nie za piecem domu, ale chodząc po żołnierskim chlebie strawił. Jeden tylko ojciec do ostatka nie mógł mu tego darować, że nie doszedł był „retoryki” w szkołach, i zawsze, patrząc na syna kiwał głową z politowaniem. Ksiądz Ignacy wybornie śpiewał basem, potem jednakże więcej przybyło mu zalet; z czasem wyrobił się z niego wcale dobry paroch, bo grunt serca był w nim poczciwy zawsze. Najsamprzód był tylko przyjacielem wiernym a gorliwym owieczek swoich; niósł im statecznie pomoc i radę we wszelkiej przygodzie; potem, z laty dojrzałszymi wziął się do żywotów świętych, a że modlił się zawsze szczerze, więc nie przeszło jeszcze pełna lat dziesięciu, kiedy na Ignacego patrzano już w dekanacie całym jako na kapłana wzorowego. Nieprzyjaźni jemu, czegoż to bywało nie wygadują! A to, że natura wilka do lasu ciągnie, a to, że suknia jakoby księża miała z niego kapłana utworzyć; ale najlepiej im wszystkim odpowiedział na to

ks. dziekan Kondratowicz i słówkiem jednym zamknął im wszystkim gęby: „ducli wieje gdzie chce, wyrzekł on, a Bóg wszystko naprawia i kłoni ku lepszemu!”

Cóż się stało z Wernyhorą? spytacie mię zapewne. Przyciśnięty od hajdamaków, krył się na wyspach Rosi, w Korsuniu u mielników. Tam go widział, przechowywujący się tamże posessor starostwa kaniowskiego pan Suchodolski i spisał z ust jego powszechnie znane u nas przepowiednie wieszczki ukraińskiego.

Wieszcz ten, po uspokojeniu rozruchów hajdamackich, osiadł we wsi Makedonach, około Kaniowa i tam żył cicho aż do śmierci. Opowiadają przecież, że koniec jego był osobliwy; że jakoby w późnej starości wieszczka, ukazał się mu na wzgórzu otaczającym wieś, rycerz jakiś na koniu białym i ztamtąd skinął na niego, mówiąc doń te tylko słowa: A co? pora ci już!

Odtąd niestało we wsi wieszczka Ukrainy.

KONIEC.

25 w
698/4P2

12.3.1914

w Drukarni Gazety Polskiej